



MARIE FERRARELLA

Róža z Teksasu

ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Czyje to, dziewczyno?

Pytanie Archy'ego Wainwrighta eksplodowało niczym grzmot, pożerając śmiertelną ciszę, która zapadła moment wcześniej. Owa głucha cisza nastąpiła po oświadczeniu, które Rose wygłosiła niemal bezdźwięcznie przy stole w jadalni, gdzie właśnie zasiadała do kolacji z ojcem, bratem i siostrą.

Nie miała najmniejszej ochoty dzielić się tą informacją. Gdyby to tylko od niej zależało, oszczędziłaby najbliższym owych wieści. Bo przecież żaden ojciec nie wysłucha ze spokojem, że jego trzydziestojednoletnia niezamężna córka zaszła właśnie w ciążę. A już na pewno nie chciał tego przyjąć do wiadomości Archy Wainwright, człowiek o wybuchowym charakterze, szanowany właściciel ziemski wywodzący się z jednego z dwóch najstarszych rodów w Mission Creek w stanie Teksas.

Niestety, nie był to przypadek skoku w bok, który da się zakamuflować. Rose była dopiero w szóstym tygodniu ciąży, ale czuła, że lada moment jej ciało zdradzi tajemnicę, i to pomimo jej wciąż szczupłej talii, mimo tego że nadal mieściła się w swoich ubraniach. Ona po prostu czuła, że jest w ciąży. I było to nie do wytrzymania.

Być może sprawiał to wszechpotężny ciężar jej sekretu. A może po prostu stała się wyjątkowo wrażliwa. Począwszy od tamtego dnia, kiedy

to zamknęła się w łazience w swoim skrzydle rozrastającego się wciąż domu na ranchu i wstrzymując oddech czekała, jaki będzie wynik testu, decydujący o jej dalszym losie.

Nie, poprawiła się Rose. To nieprawda. To nie wtedy. Jej świat przewrócił się do góry nogami w momencie, gdy uległa czarowi Matta, kiedy się w nim zakochała. A jeszcze dokładniej, gdy zobaczyła go po raz pierwszy. Przechylił się nad blatem w bibliotece i spytał z tym swoim diabelskim błyskiem w oku, czy jeśli znajdzie tam coś interesującego, będzie mu wolno zabrać to ze sobą. Przytaknęła niepewnie. Na to on położył rękę na jej dłoni i wyznał, że tak naprawdę chodzi mu o bibliotekarkę.

Pamięta dotąd, jak się wtedy zaczerwieniła, dosłownie do korzeni swych kruczoczarnych włosów. Poczuli się dotknięta jego bezwstydnym uwodzeniem. W końcu, jak by nie patrzeć, Matt był kim był. Nosił nazwisko Carson - a zatem był jej wrogiem. Zakazanym owocem.

Przynajmniej dla dziewczyny o nazwisku Wainwright. I dla kobiety o nazwisku Wainwright, bo Rose była już kobietą. Gdzie ona miała głowę? Ganiła się w myślach za swą słabość, widząc, jak różowawa twarz jej ojca oblała się głęboką czerwienią. Co ona sobie myślała, zakochując się w Carsonie? A potem na domiar złego kochając się z nim? Kompletnie straciła rozum, nie ma innego wyjaśnienia.

Tak, tak, zwariowała. Do szczętu i nieodwracalnie zwariowała. Oszalała na jego punkcie. Niczego to nie zmieniło, oczywiście. Ani ich sytuacji, ani skutków ubocznych. Ona, Rose Wainwright, zaszła w ciążę z Carsonem.

Tego w każdym razie nikt nigdy się nie dowie.

Stojąc wówczas w łazience, wrzuciła test do pojemnika na śmieci, osunęła się na podłogę i niemal wypłakała oczy. Potem położyła rękę na płaskim brzuchu i szlochała z kolei w imieniu nienarodzonego dziecka. Bo ona z miejsca to dziecko pokochała.

Nie mogła ukryć ciąży ani faktu, że płód się rozwija. Postanowiła zatem chronić tych, których kocha i nie zdradzić nikomu nazwiska ojca dziecka. Pośród tych, których kochała, poczesne miejsce zajmował Matt Carson, a Rose nie chciała dolewać oliwy do ognia.

Utrzymanie tego jednego ważnego nazwiska w sekrecie niosło ze sobą przykre konsekwencje. Na przykład konieczność wysłuchiwania gniewnych tyrad ojca. Albo znoszenie potępiającego spojrzenia starszego brata Justina, który piastował urząd szeryfa Mission Ridge, miasteczka sąsiadującego z rozległym ranczem Wainwrightów. Nie wspominając już o niedowierzających spojrzeniach jej młodszej siostry Susan.

Rose nie widziała jednak alternatywy. Podjęła już decyzję, że urodzi to dziecko. Nie szukała rady u nikogo. Gdyby wyjawiała swemu ojcu nazwisko ojca jej dziecka, wywołałaby burzę porównywalną chyba jedynie z gwałtownym początkiem sławetnego sporu dwu rodów: Carsonów i Wainwrightów. Spór ów rozdzielił nieodwołalnie zaprzyjaźnione dotąd rodziny, które od tamtej pory, przez minione siedemdziesiąt pięć lat, trzymały się od siebie z daleka.

Ani słowem nie wspomniała też Mattowi o dziecku. W końcu ślub między Carsonem i Wainwrightówną tak czy owak był nie do pomyślenia. Bała się również, że Matt popełni jakieś głupstwo. Na przykład zechce ożenić się z nią wyłącznie z powodu tego dziecka i w ten sposób utraci swoich bliskich. Nie zniosłaby chyba, gdyby do tego doszło.

Jej zahamowania wynikały również z dużo bardziej przykrych powodów. Nie chciała powiadomić Matta o swej ciąży, bo a nuż odwróciłby się od niej, stwierdzając, że nie chce mieć z tym nic wspólnego. Że sama jest sobie winna, bo przecież obiecała się zabezpieczać. Rose wołała zatem, by jej podejrzenia nie zostały nigdy potwierdzone.

Z drugiej strony świadomość, że nosi w sobie dziecko Matta, jeszcze bardziej zbliżyła ją do niego. Starła się zatem ze wszystkich sił nie wszczynać żadnych sporów, które mogłyby przyspieszyć koniec ich tajemnego romansu.

Bolało ją samo wspomnienie dnia, kiedy z nim wreszcie zerwała. To wtedy skłamała po raz pierwszy w swym dorosłym życiu. Oznajmiła Mattowi, że nie widzi powodów, dla których mieliby się dłużej spotykać. Że czuje się nim znudzona, że jej się przejadł.

Mówiąc te słowa, czuła gorycz w ustach. Jeszcze większą gorycz wywołało w niej jego spojrzenie, bolesny żal w jego niebieskich oczach, ból, który to ona mu zadała.

Niestety, dotarła do punktu, w którym nie znajdowała innego rozwiązania.

Zacisnęła teraz dłonie na kolanach, wpatrując się w pierwszego mężczyznę swojego życia: własnego ojca.

Archy tymczasem masował klatkę piersiową kolistymi ruchami i przyszpilał córkę wzrokiem do krzesła, jakby mógł dzięki temu uzyskać jej odpowiedź.

- No? - spytał znów, gdy jej milczenie się przeciągało. - Co to za kot latał za twoją spódnicą? Jak się nazywa ten popapraniec, którego skórę

przybiję do wrót stodoły? - Jego oczy pod krzaczastymi brwiami zwięzły się w ledwo widoczne szparki. - Powiedz to, Rosie, a pożałuje, że w ogóle pchał się na ten świat.

Rose uniosła głowę. Zawsze była mu posłuszna, ale to nie znaczy, że ma kręgosłup z rozgotowanego spaghetti. W końcu jest ponad wszystko córką swego ojca, a co za tym idzie, odziedziczyła jego nieugięty charakter.

- Nie.

- Nie? - huknął Archy osłupiały.

Rose nigdy dotąd nie sprzeciwiała mu się tak stanowczo, nigdy nie śmiała podważać jego autorytetu.

Susan i Justin wymienili spojrzenia, czekając na nieuniknione konsekwencje krótkiego „nie”.

Archy gapił się oniemiały na swoją starszą córkę. Dopiero co trzymał w swoich dużych dłoniach kruche niemowlę, zdumiony, że coś tak maleńkiego wykazuje tak wielką wolę życia. Mógłby przysiąc, że to było wczoraj. Rose Ann Wainwright była wcześniakiem, urodziła się dwa miesiące przed terminem. Lekarz dawał jej pięćdziesiąt procent szansy na przeżycie pierwszych czterdziestu ośmiu godzin.

I oto jego Teksaska Róża przechytryła wszystkich. Mało powiedzieć, że przeżyła, ona najpiękniej rozkwitła. Rose była najspokojniejszym z trójki jego dzieci, lecz Archy zawsze wiedział, że pod tymi pozorami kryje się jego upór.

Pomimo to słuchała go wręcz do przesady, a on w skrytości ducha przyznawał, że bardzo mu to odpowiada. Dlatego teraz jej odmowa tak go zaskoczyła. Był zszokowany buntem, który widział w jej oczach.

Jego zdziwienie szybko przeszło w złość.

- A cóż ma znaczyć to „nie”, do diaska?

Rose mocniej zacisnęła pięści. Powtarzała sobie w cichości ducha, że to dla dobra wszystkich. Musi być silna i za nic nie wolno jej zdradzić pewnego nazwiska.

- Po prostu nie. - Uniosła znów głowę, ze świadomością, że brat i siostra patrzą na nią tak, jakby ni stąd, ni zowąd przeistoczyła się na ich oczach w gigantycznego kondora. Podjęła głóśniej, pewniejsza siebie:

- Nie, nie powiem ci, kto jest ojcem. I nie wyjdę za niego za mąż. I nie pozwolę ci nikogo obrażać w moim imieniu.

- W naszym imieniu, dziewczyno, w naszym imieniu - przypomniał jej ojciec rozgorączkowany, z oczami pociemniałymi jak teksańskie niebo tuż przed nadejściem tornado. - Nie jesteś byle kundlem, nazywasz się Wainwright. Do diaska, dziewczyno, tutaj to jeszcze coś znaczy.

Nie odwróciła wzroku, choć o niczym innym nie marzyła. Ale to nie jest dobra pora na ucieczkę. Musi stanąć z ojcem twarzą w twarz. W imię swojego dziecka i dla jego ojca.

- Wiem, tato.

Archy z trudem hamował wybuch złości.

- Nie, chyba nie masz o tym zielonego pojęcia. Bo gdybyś miała, nie doprowadziłabyś się do takiego stanu. - Złagodził swój głos z wysiłkiem, kiedy na nią spojrzał. - Masz co do tego pewność, dziewczyno? Jesteś chuda jak tyka. Może to jakaś pomyłka. No wiesz, chodzi mi o ten kalendarz. - Nie - odparła cicho. - To nie jest pomyłka. Patrzyła mu prosto w twarz. Widziała, że odbiera

mu ostatnią linię obrony, ostatnią nadzieję. Poruszył ją eufemistycznym krążeniem wokół kobiecego miesięcznego cyklu. Jej ojciec odznaczał się raczej kowbojską delikatnością. Archy Wainwright nie radził sobie z niczym, czego nie mógł złapać na lasso i oswoić. Starał się jednak, na swój niezdarny sposób.

I na swój niezdarny sposób kochał ją. Rose wiedziała to na pewno. Nieważne, jakim ogniem na nią zionął i jak głośno krzyczał. Nie potrafił okazywać pozytywnych uczuć, uzewnętrzniał jedynie nieopanowany gniew.

Twarz Archy'ego skurczyła się parę centymetrów.

- Więc naprawdę...?

Zrobiło jej się go żal, powiedziałaaby mu prawdę, gdyby tylko mogła.

- Tak, naprawdę.

Archy miał wrażenie, że stracił czucie w całym ciele. Zdrętwiał tak samo jak wtedy, gdy jego brat przypadkiem wypuścił z ręki broń i postrzelił go w udo.

- I chcesz je zatrzymać?

Pytanie było na pół retoryczne, bowiem uważał, że jego córka nie pozbyłaby się nowego życia lekką ręką. Sparaliżowała go raczej wiadomość, że jego dziecina, jego córeczka, nosi w sobie nasienie innego mężczyzny. I to na domiar złego nie znanego mu mężczyzny. Kompletnie odebrało mu dech. Rose podniosła oczy na ojca, nie mówiąc ani słowa. Nie musiała nic mówić. Odpowiedź była w jej oczach.

Archy wypuścił powietrze zirytowany, a rozmaite myśli walczyły z jego sercem. Jak on ją teraz ustrzeże przed ludzkimi językami, skoro już

zaszła tak daleko?

- I dobrze - warknął - bo nosisz w sobie życie, i to na dodatek w połowie Wainwrighta. Martwi mnie tylko ta druga połowa. Dlaczego ty mi, na Boga, nie powiesz, kto to?

Rose obawiała się, że jeszcze chwila, a rozplącze się i zacznie krzyczeć. Odkąd nosiła w sobie to dziecko, jej emocje przeskakiwały z jednej skrajności w drugą i nie dawały się okiełznać.

- Bo najpierw byś go zabił, a potem Justin by cię zamknął - odparła Susan, stając w obronie starszej siostry.

Ojciec rzucił pod nosem niezrozumiale coś, czego lepiej nie powtarzać na głos. Machnął zniecierpliwiony na starszą córkę i przeniósł wzrok na syna.

- Nagadaj jej do rozumu, Justin. To jej święty obowiązek powiedzieć ojcu, co za gówniarz jej to zrobił.

Zabrzmiało to tak, jakby Rose została zgwałcona, a ona przeżyła najpiękniejszą chwilę swojego życia.

- A nie przyszło ci do głowy, że zrobiliśmy to razem? - spytała spokojnie.

Brwi ojca zmarszczyła nowa fala złości.

- Co powiedziałaś?

W jego głosie zabrzmiała jakaś groźna nuta. W każdym innym wypadku Rose wycofałaby swoje słowa. Tym razem musiała stawić mu czoła.

- To jest dziecko miłości, tato. - Zaszło jej w ustach, kiedy próbowała przedstawić mu swoje racje. - Czyli zrobiliśmy je, ojciec dziecka i ja...

Archy przerwał jej gwałtownie.

- Nie chcę tego słuchać! - fuknął. - Poza tym - dodał - co ty wiesz o miłości? Całe życie przesiedziałaś z nosem w książkach.

Justin zaśmiał się krótko. Dobrze wiedział, że siostra jest zupełnie inna, niż przedstawia to sobie ich ojciec. Jak to mówią: Cicha woda brzegi rwie.

- To chociaż raz wystawiła nos z książki - skomentował.

Ojciec rzucił mu wrogie spojrzenie. Kłopoty wisiały w powietrzu. Justin był bliski tego, żeby znaleźć się w samym ich centrum.

- Rosie, powiedz mu, kto to, zanim ruszy w miasto ze swoją dubeltówką, grożąc śmiercią każdemu facetowi, który wyrósł z krótkich majtek.

Rose zacisnęła wargi. Brat w żaden sposób nie wydobędzie z niej tej informacji. Ojciec jak nie zabiłby Matta choćby gołymi rękami, a następnie ktoś z rodziny Carsonów zlikwidowałby jej ojca, i tak by to szło dalej, nakręcając okrutny spór.

- To moja sprawa, tato. Jestem dorosła i nie muszę ci mówić wszystkiego, jeśli nie chcę.

Justin przytaknął.- Tak, ona ma rację.

Archy spodziewał się, że syn go wesprze. Nie przewidział takiej niesubordynacji.

- Ona nosi w swoim piecu chleb, chłopcze, ale to jest piec Wainwrightów! - wrzasnął. - Nie zamierzam zostać pośmiewiskiem całego okręgu, nie życzę sobie, żeby mnie ludzie obgadywali za plecami.

Susan przewróciła oczami. Ojciec był nie do zniesienia zaściankowy.

- Tato, jest dwudziesty pierwszy wiek. Nikt już nie rzuca kamieniami w upadłe dziewice.

Ojciec objął ją nienawistnym spojrzeniem.

- Zamilcz, Suzy, albo każę twojemu bratu zamknąć cię w pokoju i więzić tam do późnej starości, aż będziesz wkładała zęby do szklanki obok łóżka.

To była droga donikąd. Zdenerwowana Rose zdjęła z kolan serwetkę i wstała. Chciała stamtąd uciec.

- Jesteś niemożliwy.

Jej ojciec okrążył stół niczym długodystansowiec i wyprzedził ją. Był wciąż w zadziwiająco dobrej formie jak na swój wiek i posturę. Chwycił ją za ramiona i nie pozwolił jej wyjść. Justin też był już na nogach, gotowy do interwencji w razie potrzeby. Na razie trzymał się z boku.

- Ja jestem głową tej przeklętej rodziny i na razie, ja tu rządę. Masz mi w tej chwili powiedzieć, kim jest ten sukinsyn, któremu zabrakło jaj, żeby mi spojrzeć w twarz jak mężczyzna mężczyźnie. Rose popatrzyła na jego dłonie na swoich ramionach. Zreflektował się i opuścił ręce.

Dopiero wówczas poinformowała go:

- On nic nie wie.

Archy rozdziawił usta i wlepił w nią wzrok.

- A co on jest, głupek jakiś?

Rose od razu stanęła w obronie Matta:

- Nie powiedziałam mu o niczym.

Archy jej nie rozumiał. W jego świecie prawdziwy mężczyzna wypija piwo, którego nawarzył, i wywiązuje się ze swoich zobowiązań,

jeśli jakieś zaciągnął. Ale żeby do tego doprowadzić, trzeba go znać. Chyba że Rose nie mówi mu prawdy. Tak, na pewno została zgwałcona, pomyślał nagle.

- Dlaczegoż to?

Rose marzyła tylko o tym, by ojciec dał jej już spokój.

- To moja sprawa.

- I moja też, bo dotyczy mojej rodziny. - Urwał, zbierając siły. Czuł, że przynajmniej na razie nadaremnie wali głową o ścianę. I że tymczasem musi trochę odpuścić. - Nie pozwolę, żeby ludzie wycierali sobie tobą gębę, jakbyś była jakimś nędznym śmieciem. Do czasu, kiedy to wszystko nie ucichnie, zamieszkas z moją siostrą.

- Nic nie ucichnie, tato - zauważył spokojnie Justin. - Rosie spodziewa się dziecka.

Ojciec machnął ręką na syna. - Ty mi się tu nie wymądrzaj. Ja swoje wiem. Potem się z tym rozprawię.

Z niczym się nie rozprawisz, tato, ja się z tym rozprawię, myślała Rose. Nie powiedziała tego na głos, żeby bez potrzeby nie jątrzyć. Musi walczyć z sensem.

- Ciocia Beth mieszka w Nowym Jorku - zaproponowała.

Archy zawisł groźnie nad swoją córką. Jej nieposłuszeństwo przepełniło miarę jego cierpliwości. Nie miał ochoty znosić więcej sprzeciwów z jej strony.

- To co? - zapytał.

Miała już na końcu języka, że nie pojedzie do Nowego Jorku, ale momentalnie to przemyślała. I doszła do wniosku, że być może dobrze jej zrobi taki dystans, odsunięcie się od tego miejsca i tych ludzi.

Całe swoje dotychczasowe życie przemieszkała pod dachem ojca. Lubiła to, lubiła być blisko kochanych przez siebie osób. Nie wyrywała się, jak inni młodzi, z rodzinnego gniazda. Ale teraz sytuacja uległa radykalnej zmianie i Rose nie zniosłaby dzień po dniu oskarżycielskich spojrzeń ojca. A co ważniejsze, nie mogła pozostać w Mission Creek, bo każdego dnia groziło to niespodziewanym spotkaniem z Mattem.

Gdyby on zobaczył, że jest ciężarna, nie miałby cienia wątpliwości, że to jego dziecko. Co więcej, gdyby zachował się honorowo i poprosił ją o rękę, brakłoby jej sił, by mu odmówić. W rezultacie doprowadziłoby to do ostatecznej rozgrywki między dwoma najbardziej kochanymi przez nią mężczyznami: Mattem i ojcem. Nie chciała wziąć tego na swoje sumienie.

- No to pójde się spakować - oznajmiła w końcu i zakręciła się na pięcie. Jej bliscy odprowadzali ją wzrokiem w milczeniu, nie kryjąc zaskoczenia.

- Jeszcze trochę i z Rosie zrobi się niezła sekutnicą - mruknął Archy raczej do siebie niż do pozostałych przy stole dzieci. - Niby robi, co jej każesz, ale stawia na swoim. - Potrząsnął głową. - Zupełnie jak jej matka.

- Co w ciebie wstąpiło, do cholery?! - wołał Flynt Carson, wpadając jak burza do stajni. Patrzył na swojego młodszego brata, oczekując od niego odpowiedzi.

Ta, którą uzyskał, nie przypadła mu do gustu.

Matt nie przerywał czyszczenia upręży. Robił to co najmniej od godziny. To było na pewno lepsze niż zajeżdżanie jeepa. Akurat tarł zapamiętałe wąski brzeg siodła.

- Nie wiem, o czym mówisz.

Flynt prześliznął się nad słowami brata, jakby wcale nie padły. Przez

minione dwa tygodnie obserwował, jak jego zrównoważony zazwyczaj brat z każdym dniem staje się bardziej opryskliwy.

- Nigdy nie byłeś łagodnym barankiem, ale ostatnio, gdybym był psem albo małym dzieckiem, trzymałbym się od ciebie z daleka, żebyś mnie nie kopnął.

Matt parsknął:- Dobra myśl. - Sięgnął po nową szmatę. Flynt położył rękę na ramieniu brata, zmuszając go, żeby przerwał pracę i spojrzał na niego.

- Coś cię gryzie.

Matt wiedział, że brat przyszedł do niego w dobrej wierze, a mimo to nie mógł mu niczego zdradzić. Nikomu ze swoich bliskich nie mógł tego powiedzieć. Zrzucił rękę brata i wrócił do polerowania skóry, w której już niemal wytarł dziurę.

- Nie chcę o tym mówić.

Flynt przesunął się, by znaleźć się w jego polu widzenia.

- Być może, ale mamy już po uszy twoich humorów i nie zamierzamy dłużej tego tolerować.

Matt uniósł brwi, spoglądając na niego.

- To zejście mi z drogi.

- Nie zawsze jest to możliwe. - Flynt nie miał zwyczaju wtrącać się w cudze sprawy. Jednak w rodzinie wszystkich obowiązują pewne prawa.

- Słuchaj, jeśli chodzi o kobietę...

Matt rzucił mu ostre spojrzenie, ściskając w dłoni szmatę.

- Skąd ci przyszło do głowy, że chodzi o kobietę?

Trafiłem, pomyślał Flynt. A zatem pogłoski o Matcie i jakiejś tajemniczej kobiecie są prawdą. Poczul dla brata współczucie.

- Znam te objawy. Nic tak nie skręca człowiekowi flaków jak kobieta. Kręci gwałtowniej niż mikser. Mo- im zdaniem facet ma tylko trzy wyjścia z podobnej sytuacji. Ożenić się z tą kobietą, dać jej do zrozumienia, żeby się odczepiła, albo o niej zapomnieć. - Sytuacja wyglądała na trudną, dodał zatem: - Tylko wybierz któreś z tych rozwiązań, zanim ktoś z nas zechce cię zlinczować, żeby wreszcie się ciebie pozbyć. Matt rzucił szmatę na bok i westchnął:

- To nie takie proste.

W oczach starszego brata zobaczył zrozumienie.

- No, słucham - rzucił Flynt.

Coś kusiło Matta, żeby podzielić się z bratem swoimi faktycznymi problemami, wiedział jednak, że popełniłby wielki błąd. Jego romans zaczął się w tajemnicy i oboje kochankowie byli świadomi jego konsekwencji.

- Nie mam nic do powiedzenia. Flynt stracił cierpliwość.

- Cholera, Matt, gdzieś ty się nauczył takiej zaciętości?

Matt zgiął się wpół, żeby podnieść szmatę. Musiał się czymś zająć, choćby tą pozbawioną sensu robotą.

- To rodzinne.

- Jak cię zabijemy, to przestanie być rodzinne. - Uśmiech na twarzy Flynta zbladł. Tak, jego brat wpadł, i to wpadł po uszy. Nic innego nie doprowadziłoby go do tak opłakanego stanu. To musi być ta tajemnicza kobieta. - Daj spokój. Jeśli tak cię to gryzie, to może spróbuj z nią pogadać i załagodzić konflikt. Matt zaśmiał się krótko.

- Już go załagodziła. Rzuciła mnie. Flynt spojrzał na niego zdębiały.

- Rzuciła cię? Chcesz powiedzieć, że ta kobieta ma dobry gust? -

Objął go ramieniem w milczącym męskim porozumieniu. - Wybacz, stary, wyrwało mi się. No to może lepiej daj sobie z nią spokój.

- Właśnie staram się przekonać się do tego. - I nic z tego nie wychodziło. Bez ustanku myślał wyłącznie o Rose.

- Bez większego skutku, co? Matt znowu westchnął.

- W ogóle bez skutku. Siedzi mi w głowie bez przerwy, aż mnie wszystko boli.

Flynt skinął głową. Sam poznał ten stan, a zatem wiedział, jakie to tortury.

- Czyli albo to jest miłość, albo kupiłeś sobie bieliznę rozmiar za małą.

- Brawo. Może panie z kółka kościelnego wyhaftują sobie tę maksymę na kuchennych ręcznikach.

- Posłuchaj, braciszku, naprawdę łatwo pomylić pożądanie z tym słowem na M, które Carsonom tak trudno przechodzi przez gardło.

Odczekaj, wyluzuj się. To twój pierwszy raz, to minie. Bo jeśli to drugi raz, będzie tylko gorzej.

Matt spojrzał mu w oczy.

- Już jest gorzej.

Zawsze był prostolinijny i szczery. - To czemu tu jeszcze siedzisz i tracisz czas na próżne gadki? Leć do niej. Kto to jest, a propos?

Matt nie wiedział, czy Flynt udaje, czy naprawdę pyta. Ale i tak w żadnym wypadku nie mógł mu zdradzić prawdy. Westchnął i pokręcił głową.

- No dobra, nie mów. Ale zrób z tym coś, braciszku. Jeśli twój dobry humor nie powróci, twoje dni są policzone. - Flynt doskonale

wiedział, kiedy się wycofać. Minał bramę i przystanął na moment, by coś dodać. - Przyjmij to jako przestrożę.

Matt milczał. Zażarcie polerował siodło i przeklinał się w duchu, że postawił nogę w tej przeklętej bibliotece i zakochał się w bibliotekarce. Powinien był trzymać się bydła.

ROZDZIAŁ DRUGI

- No, dobre wieści, Harrison - oznajmił Ben Ashton, wsadzając głowę do biura prokuratora okręgowego, kiedy usłyszał ze środka wypowiedziane nieobecny głosem:

- Proszę.

Zrelaksowana twarz prokuratora okręgowego Spence'a Harrisona stężała w jednej chwili. Prywatny detektyw nie wpadł bynajmniej po to, by zamienić z nim parę słów na temat zbliżającej się sprawy. On przyszedł z bardzo prywatnym interesem, który dotyczył Spence'a i trzech jego najbliższych przyjaciół. Wszyscy czterej mieli pecha znaleźć się w pobliżu dziewiątego dołka na polu golfowym klubu Lone Star w pewną sobotę, kiedy akurat ktoś podrzucił tam niemowlę płci żeńskiej.

Spence wraz z kolegami znalazł to dziecko, zapłakane i mokre, skropione przez system ogrodowych zraszaczy. Te same zraszacze przypadkiem zniszczyły list przypięty do dziecięcego kocyka, który wedle wszelkich znaków na niebie i na ziemi adresowany był do ojca małej. Każdy z czterech mężczyzn mógł ewentualnie być ojcem tego dziecka, wszyscy czterej także często bywali w tym miejscu o tej porze. Najlepszy sposób rozstrzygnięcia, tej kwestii stanowiło oczywiście dobrowolne

badanie krwi, test DNA. Flynt Carson postanowił zaopiekować się dziewczynką, dopóki sprawa ostatecznie się nie wyjaśni. Miał po temu swoje powody. Ale potem Towarzystwo Opieki nad Dziećmi wzięło od niego próbkę krwi i odesłało do laboratorium. Wynik badania wykluczył jego ojcostwo.

Spence zgłosił się do badania drugi, na ochotnika. Nie mógł sobie pozwolić choćby na cień skandalu, zwłaszcza ze względu na swe polityczne ambicje.

Czyli Ashton przyszedł do niego z wynikami badań, myślał. Starał się wyczytać coś z jego twarzy. Nie mógł się zdecydować, czy uśmiech detektywa oznacza, że poszukiwanie rodziców dziecka zakończyło się w jakiś inny sposób, czy może jego test na DNA wypadł negatywnie. Był prawie przekonany, że nie ma szansy, żeby to było jego dziecko.

Pohamował westchnienie. Był przygotowany na dobre wiadomości. Wskazał na krzesło na wprost swojego mahoniowego biurka.

Ashton uściskał mu rękę.

- Nie mam czasu siadać, Harrison. Zajrzałem tylko, żeby powiedzieć, że to nie pańskie dziecko.

Spence wbił wzrok w swojego gościa.

- Tyle mogłem panu sam powiedzieć.- I powiedział pan - przypomniał żartem detektyw. - Ale policja lubi widzieć dowody i je weryfikować.

W końcu za to mu płacimy, pomyślał Spence, żeby grał adwokata diabła i żeby znalazł prawdziwych rodziców. Oparł się wygodnie.

- Kogo pan teraz sprawdzi? Obaj znali odpowiedź.

Spence i Flynt byli czyści, do zbadania zostali zatem Tyler Murdoch

i Michael O'Day.

Biedny Michael, pożałował go Spence. Kiedy go wyciągali z szatni w miejsce Luke'a Callaghana, bo brakowało im czwartego do gry, facet przypuszczał zapewne, że się rozerwie. Luke bujał gdzieś w miejscach dostępnych wyłącznie dla nieprzyzwoicie bogatych. Michael nie widział nic złego w tym, by go zastąpić. Nie przewidział, co go spotka.

Prawdopodobnie znalazł się po prostu w niewłaściwym miejscu w niewłaściwym czasie. A może nie. Tak czy owak, musi teraz dopełnić obowiązku. I chociaż jego związek z pozostałymi trzema nie sięga dalekiej przeszłości, zmuszony jest poddać się badaniu.

Ashton zbierał się tymczasem do wyjścia. Spence zatrzymał go jeszcze pytaniem:

- Chce pan znać moje zdanie?

Detektyw przystanął w drzwiach, czekając uprzejmie.

- Nie znajdzie pan ojca. Traci pan czas.

- Ale skąd - sprzeciwił się Ashton. - Mamy przecież udowodnić, że żaden z was czterech nie jest ojcem dziecka. I że to czysty przypadek, że znaleźliście niemowlę tam, gdzie bywacie co sobotę. - Uśmiechnął się. - Poza tym pan mi za to płaci. Spence przytaknął.

- Tak, przepraszam, jeśli się zirytowałem. Ta cała sprawa... - Machnął ręką, pozwalając słowom wygasnąć w ciszy. Nie potrafił wyrazić swojego niepokoju. Spuścił wzrok na dokument, który czytał, zanim wpadł do niego gość. Spotkanie skończone. - Niech pan mnie o wszystkim informuje, Ben.

- Nie ma sprawy.

Drzwi zamknęły się za detektywem.

Spence sięgnął po słuchawkę, żeby uprzedzić Tylera o rychłej wizycie Ashtona. Instynkt podpowiadał mu, że to Tyler pójdzie na kolejny ogień. Zresztą ma to sens. Detektyw zechce oczyścić Tylera, zanim media wezmą plotkę w swoje macki. Nic tak nie podnieca mediów jak choćby pyłek brudu na byłych bohaterach wojennych, którym udało się wrócić z wojny w Zatoce Perskiej, odnaleźć się w cywilizowanym świecie i na dodatek zdobyć pieniądze i ludzki szacunek.

Wszyscy kochają bohaterów. I wszyscy, z jakiegoś nieodgadnionego powodu, radują się, jeśli jakiś bohater co nieco się splami.

Wzdychając, Spence zaczął wystukiwać numer.

- Masz wszystko, co ci potrzebne?

Rose składała właśnie bluzkę, która niedługo będzie na nią za ciasna. Odwróciła się. W drzwiach sypialni stał ojciec.

Archy Wainwright, wysoki, wciąż mocnej budowy, wyglądał w tej chwili na nieco zagubionego. Rose mignęło w pamięci wspomnienie z dzieciństwa. Kiedy była małą dziewczynką, ojciec jawił jej się jako prawdziwy olbrzym.

Szkoda, że dzieciństwo tak szybko się kończy, myślała z żalem.

Przez kilka minionych miesięcy ojciec skurczył się trochę w jej oczach. Nie było to wcale skutkiem żadnych dolegliwości jego dojrzałego wieku. Od niepamiętnych czasów jej ojciec zajmował niewzruszone stanowisko w kwestii sporu, który rozgorzał lata przed jej narodzeniem i skłócił jej rodzinę z rodziną Carsonów. A powodem owej waśni była zwyczajna plotka. Gdyby było inaczej...

Ale nie jest, powiedziała sobie Rose. Lecz ona jest silna i da sobie z tym radę. Taką żywiła nadzieję.

Wrzuciła bluzkę do otwartej walizki, jednej z trzech walizek rozłożonych na jej ogromnym łóżku, z których każda znajdowała się w innej fazie pakowania.

- Tak, mam wszystko.

Mówi tak chłodno, myślał Archy. Nie był do tego przyzwyczajony. Rose tak nie robiła. Odchrząknął zmieszany.

- Kiedy wyjeżdżasz?

- Jutro - rzuciła oschle, jakby nie rozmawiali o jej wygnaniu, lecz o jakichś krótkich wakacjach, z których wróci, nim jej łóżko całkiem wystygnie. Podjęła łagodniej po krótkiej pauzie: - Jak skończę, pojedę zobaczyć się do Mission Creek.

Archy skinął głową. Sentymenty były mu obce, ale rozumiał potrzebę córki.

- Podrzucić cię?

Rose uznała to za zły pomysł. Chciała być sama ze swymi myślami. A w jej myślach królował Matt i miejsca, które wspólnie odwiedzali w ciągu minionych miesięcy. Pragnęła zachować ten czas w czułej pamięci, niezależnie od tego, że ich romans się skończył.

- Nie. Umiem sama prowadzić.

Archy zaczął się wycofywać. Rozsądek podpowiadał mu, że najlepiej więcej się nie odzywać. Tyle że uczucia ojcowskie doszły do głosu zaraz po rozsądku. Miał potrzebę, żeby jakoś to wszystko ogarnąć, ale niestety nie był w stanie.

- Co ty miałaś w głowie, dziewczyno? O nas zapomniałaś?

Rose ściągnęła ramiona, poczuła się zaatakowana.

- Nie - rzuciła. - Ale nie masz prawa rządzić każdą chwilą mojego

zycia, tato. Ja też nie wtrącam się w twoje sprawy.

Aż zagotował się ze złości. Co to w ogóle za porównanie?

- Ty jesteś dzieckiem, ja jestem dorosły.

W przeszłości wystarczył ledwie cień gniewu zarysowany na twarzy ojca, by Rose brała nogi za pas. Ale dawno już skończyła sześć lat.

- Mylisz się, oboje jesteśmy dorośli, i oboje mamy prawo robić, na co nam przyjdzie ochota. - Uniosła dumnie głowę, wiedząc, że ma rację. - I każde z nas ma prawo ponosić konsekwencje swoich czynów.

Archy uciekł się wobec tego do jeszcze innego argumentu:

- Łamiesz serce swojej matki.

Mało brakowało, a Rose wybuchnęłaby śmiechem. Jak on śmie mieszać w to matkę, po tym, co jej zrobił? Z powodu jego grzechów matka rozwiodła się z nim i wyjechała przed wielu laty z miasta. Z powrotem ściągnęła ją dopiero niedyspozycja jej starej matki, babki Rose. Kate Wainwright spędzała teraz część swojego czasu na ogromnym ranczu, w małym domku, który zbudował dla niej były mąż.

- Podejrzewam, że zatroszczyłeś się o to przede mną. - Widziała, jak twarz ojca zalewa głęboka czerwień. Walczył z sobą, by nie rzucić w nią słowami, które miał na końcu języka. - Ja też umiem grać w tę grę, tato. Żadnemu z nas nie wyjdzie to na dobre.

Złość Archy'ego przygasła, jak zduszony płomień. Napłynęły do niego wspomnienia, z którymi nie czuł się na siłach zmierzyć. Nie akceptował u siebie ckliwości. Wziął w ramiona swoją starszą córkę.

- Gdybyś czegoś potrzebowała.

Zrozumiała, co chciał jej powiedzieć. Skinęła głową. Jej miękkie włosy musnęły jego szeroką klatkę piersiową, oddała mu uścisk.

- Wiem, do kogo zadzwonić.

Archy wyszedł, zanim padło następne słowo, przestraszony, że zawładną nim niestosowne emocje.

Barmanka poprawiła plakietkę z imieniem, która ogłaszała każdemu, kto minął drzwi klubu golfowego, że ma do czynienia z Daisy. Daisy Parker to nie było jej prawdziwe imię i nazwisko. Przybrała je do czasu, gdy będzie mogła odkryć swą autentyczną tożsamość. Zdziwiliby się ci, o których jej chodziło, że ta tleniona blondynka o nieco wyniosłych manierach, odmieniona dzięki sprawnej ręce chirurga plastycznego z Londynu, to nikt inny jak dziewczyna, która wyrosła pośród nich. Haley Mercado. Ta sama Haley Mercado, której rodzina miała związki z teksaską mafią, która z kolei jej teraz poszukiwała.

Zakreśliła się, żeby odebrać zamówienie od nowego gościa. Właśnie przed chwilą usłyszała stuk kobiecych obcasów na hiszpańskich kafelkach.

Twarz przybrała w swój najjaśniejszy uśmiech i podeszła do kobiety, w której rozpoznała Rose Wainwright.

- Co się tak smucisz, kochanie? - spytała głębokim teksaskim akcentem.

Rose usiadła na stołku i omiotła wzrokiem prawie pustą salę.- Tak się rozglądam.

Haley przekrzywiła głowę. Jej niegdyś kruczoczarne włosy, teraz w odcieniu złoty blond, oparły się o jej ramię.

- Wybierasz się gdzieś?

Rose przytaknęła i odparła, wzięwszy głęboki oddech:

- Aha, do Nowego Jorku.

Nie zabrzmiało to jak wielkie szczęście, uznała barmanka.

- W interesach czy dla przyjemności?

- I tak, i tak. - Rose zaśmiała się pod nosem. - Albo ani tak, ani tak.

Haley dostrzegła w drzwiach swojego szefa i skinęła mu głową.

Ledwie dwadzieścia minut wcześniej szef nieświadomie dostarczył jej cennych informacji. Poprosił ją, żeby stanęła za barem w czwartkowy wieczór, podczas dużej prywatnej imprezy. Im dłużej, nie narzucając się, pracowała, tym więcej informacji udawało jej się wychwycić. Jeżeli szczęście jej dopisze, już wkrótce jej męczarnia dobiegnie końca.

Haley współczuła Rose i nie chciała jej przeszkadzać. Ale ta dziewczyna wyglądała na kogoś, kto musi się wygadać.

- To co sobie życzysz? To co zwykle? Rose potrząsnęła głową.

- Nie. Proszę tylko ginger ale.

Kiedy Haley widziała w barze dwukrotnie starszą córkę Wainwrightów, Rose piła wówczas białe wino. Haley uniosła brwi.

- Na pewno nie chcesz wina? Rose pokręciła głową.

- Muszę mieć jasny umysł.

Haley sięgnęła po butelkę ginger ale. Zdjęła kapsel i naląła imbirowy napój do szklanki.

- Nigdy nie widziałam, żebyś za dużo wypila.

- Cóż, zaczynam nowe życie - odparła Rose. Haley odstawiła butelkę z resztką płynu na dnie.

- Nowy Jork i napój musujący. Jeszcze jakieś nowości?

Rose zacisnęła wargi, udawała głęboko zamyśloną.

- Nie, to chyba wszystko. - Objęła masywną szklankę, którą kelnerka postawiła przed nią na barze.

- Masz taką minę, jakbyś się wcale nie cieszyła z tej wycieczki.

Rose machnęła ręką.

- Po prostu mam dużo spraw.

Nie, to nie w tym celu FBI wyposażyło Haley w odpowiedni sprzęt nagrywający. Żadne słowo tej nieszczęśliwej kobiety nie pomoże Haley osiągnąć celu, odzyskać swojego życia. Jednak nie mogła tak zostawić smutku w oczach Rose.

Pochyliła się, kładąc rękę na jej dłoni.

- Kochanie, jeśli chcesz się przed kimś wygadać, wiesz, gdzie mnie szukać.

Rose uśmiechnęła się, wzruszona propozycją.- Dzięki, ale wyjeżdżam do Nowego Jorku.

- Mają tam taki nowy wynalazek, nazywa się telefon. Ludzie mówią z jednej strony do mikrofonu, a z drugiej strony w słuchawce wszystko słychać. Wyobrażasz sobie?

Rose posłała jej uśmiech.

Haley też się uśmiechnęła i zmrużyła oczy. Zrobiła tego dnia chociaż jeden dobry uczynek.

- No, od razu mi lepiej.

Matt zrozumiał wreszcie stare sztampowe powiedzenie. Pojął, co to znaczy odchodzić od zmysłów, ponieważ on właśnie miał wrażenie, że znalazł się w takim stanie.

Nie miał zielonego pojęcia, co dalej.

Potem stwierdził, że Flynt ma rację i należy wziąć byka za rogi, póki mocniej nie ubodzie, i wybrał się do Rose.

Ale Rose nie było.

Nie zastał jej w bibliotece, nie znalazł jej nigdzie indziej w mieście. Kiedy w końcu załamał się i zadzwonił do jej domu, kobieta, która podniosła słuchawkę, poinformowała go, że Rose jest niedostępna. I nic więcej, żadnych szczegółów. Zniecierpliwiony zapytał, kiedy Rose wróci. W odpowiedzi usłyszał jedynie, że w tej chwili jej nie ma. Potem w słuchawce zapadła martwa cisza.

Rzucił słuchawkę na widełki. O co tu chodzi, cholera? Niedostępna! W tym cały kłopot. Rose jest dla niego niedostępna, ponieważ on nazywa się Carson. Ale przecież było już inaczej. Ona przyciąga go jak światło ćmę. Jest wyczarowana, najprawdziwszy cud w jego ramionach. Wspomnienie spędzonej z nią nocy, która przeciągnęła się do brzasku, przyczepiło się do niego jak rzep, zabarwiając każdy moment jego dnia i nocy.

Dalej nie może tego tak ciągnąć!

Niech to szlag. Mężczyzna powinien się otrzepać i iść dalej, a on nie potrafi zrzucić z siebie jej czarów. Koniecznie chciał jej to powiedzieć. Odnaleźć ją i porozmawiać w cztery oczy.

To nie może się urwać w taki sposób, jak coś kompletnie pozbawione znaczenia.

Nie chodziło mu wcale o jego zranioną dumę, chodziło o serce. Czy ona tego nie dostrzega? Jest taka mądra, tak zawsze wnikliwa. Dlaczego nie widzi, co z nim zrobiła, zrywając znajomość?

Matt próbował różnych sztuczek, by sobie pomóc. Na przykład wmawiał sobie, że to był tylko przelotny flirt, niewiele warta przygoda miłosna. Lecz od początku towarzyszyła mu świadomość, że mija się z prawdą.

A skoro tak, to doszedł do wniosku, że musi się napić. Poprosi tylko jednego drinka. Jeden duży i mocny, taki żeby zwał z nóg.

Wpadł do Men's Grilla przy klubie golfowym Lone Star, i usadowił się na wysokim stołku. Kilka miesięcy wcześniej ktoś wysadził właściwego Men's Grilla w powietrze. Teraz odbudowywano knajpę, przenosząc lokal na razie do tymczasowej siedziby obok.

Spojrzał skrzywiony w lustro.

Haley wypatrzyła go przy pełnym klientów barze. Młodszy brat Flynta Carsona. Flynt był niegdyś jednym z najlepszych przyjaciół jej brata Ricky'ego, nim życie zmówiło się przeciw nim i posłało każdego z nich w inną stronę.

Podeszła do Matta z drugiej strony baru.

- Cześć, przystojniaku. Jak się uśmiechniesz, będziesz jeszcze ładniejszy.

Nie pytając, nalała mu szklankę czystej whisky i postawiła przed nim. Matt wziął drinka z lekkim skinieniem głowy.

- Dzięki, Daisy. Niestety, nie mam powodów do radości. - Wlał do gardła zawartość szklanki i odstawił ją pustą na ladę. - Powtórz.

Posłusznie sięgnęła po butelkę.

- Hej, zwolnij trochę. Chyba nie chcesz przysporzyć szeryfowi dodatkowej roboty? W czym problem?

Spojrzał na nią, unosząc brwi. Nagle zatęsknił boleśnie za oczami Rose. I za to, co mu zrobiła, wysłał ją w myślach do diabła.

- W niczym - mruknął. - We wszystkim.

- To chyba wszystko rozumiem.

Haley patrzyła, jak Matt połyka jednym haustem drugiego drinka, i

nie zaproponowała mu trzeciego. W takim tempie Matt zapracowałby na tego kaca.

- Taa. - Zaśmiał się gorzko. - Mnie też się tak zdawało. - Wbił wzrok w pustą szklanę. Pustą jak on sam. - Ale ona mnie oszukała.

- Ona?

Skinął głową, nienawidził u siebie tej bezradności. Gdzie ona się podziewa, do diabła? Pochylił się nad barem, zniżając głos. Barmanka też musiała się ku niemu nachylić.

- Normalnie zniknęła. Nie mogę jej nigdzie znaleźć. Haley z marszu pomyślała o kobiecie, która wpadła

do Men's Grilla przed dwoma dniami. Miała takie samo zatroskane spojrzenie jak Matt. Nie trzeba geniusza, żeby to słusznie połączyć.

- Ona? - powtórzyła pytanie. - Nie chodzi ci przypadkiem o Rose Wainwright?

Rzucił jej nieprzyjazne spojrzenie, potem rozejrzał się, czy nikt jej nie słyszał. Raczej nie, w takim hałasie to mało prawdopodobne.

- Skąd ty...?

Wargi Daisy wygięły się w pocieszającym uśmiechu.

- Nie martw się, kotku, nikomu ani słowa. Znam te wasze rodzinne kłótnie. Moim zdaniem szkoda zdrowia. Ale mnie nikt o zdanie nie pytał.

Do diabła z kłótniami, do diabła ze wszystkim innym prócz tej jednej kobiety, która tak skręca mu kiszki, że czuje się jak precel.- Rose tu była? Kiedy? Co mówiła? Barmanka przytaknęła.

- Przedwczoraj. Powiedziała, że wyjeżdża.

- Wyjeżdża? - A zatem nie mylił się, ona naprawdę zniknęła. - Nie mówiła, dokąd jedzie?

- Do Nowego Jorku.
- Do Nowego Jorku? - powtórzył jak echo.

Już miał oświadczyć, że Daisy myli się, że z pewnością się przesłyszała. Rose nigdy nie ciągnęło do Nowego Jorku. Raptem coś mu się przypomniało. Rose ma ciotkę na Manhattanie. Nazywa się Beth Wainwright. Odetchnął z wielką ulgą. A zatem nie ulotniła się, nie umknęła w nieznane. Wie, gdzie jej szukać. Odzyska ją. Wdzięczny za pomoc, Matt wyciągnął się nad ladą, chwycił Daisy za ramię i pocałował ją w usta.

- Dzięki.

Daisy wachlowała się ręką.

- Nie ma za co. - Puściła do niego oko. - To było miłusie, ale nie zastąpi napiwku.

Matt wyprostował się, wyjął z portfela dwudziestodolarówkę i rzucił ją na ladę ze słowami:

- Reszta dla ciebie. I dziękuję.

Po raz pierwszy od dwóch dni wiedział, na czym stoi.

Dzwonek do drzwi brzęczał nieprzerwanie, wdzierając się w owijającą Rose melancholię.

Nie zdołała wyrwać się z tego nastroju, choć bardzo się starała. Jej ciotka była kochana, ciągnęła ją po różnych rozrywkowych miejscach, jak sama to nazywała, bo postawiła sobie za cel przywołanie uśmiechu na twarz bratanicy. A ta robiła, co mogła, żeby nie afiszować się przy niej ze swoim nieszczęściem, czuła przy tym, że jej oszustwo wypada dość nieudolnie.

Przypuszczała, że gwałtowna walka, która się w niej toczy, zamieni

się z czasem w drobne potyczki i Matt Carson przestanie dla niej istnieć. Za jakiś milion lat czy coś koło tego.

- Możesz otworzyć, kochanie? Mam całe ręce w kawiorze! -
zawołała z kuchni Beth.

Rose o nic więcej nie pytała. Przywykła już do dziwactw swojej oryginalnej ciotki.

Nie miała najmniejszej ochoty zamienić z nikim nawet słowa, ale nie wypadało jej odmawiać Beth.

- Tak, oczywiście.

Przekręcając zamek i naciskając klamkę myślała, że powinna ucieszyć się z powodu niespodziewanego gościa, który może okazać się miłą odmianą.

No ale zdecydowanie nie to miała na myśli.

Otworzyła szeroko usta.

Na progu domu jej ciotki stał Matt Carson.

ROZDZIAŁ TRZECI

Był ostatnią osobą, którą Rose spodziewała się ujrzeć w Nowym Jorku. Przez ułamek sekundy łudziła się nawet, że to halucynacje. Jej serce i głowa były nim do tego stopnia przepełnione, że pocieszała się, iż widzi go w zupełnie kim innym.

Ale to naprawdę był on.

Żywy i prawdziwy.

Jej serce potrzebowało kilka dodatkowych chwil, by się nareszcie uspokoić. Był to jednak wymuszony spokój.

- Skąd się tu wzięłeś?

Wyobrażał sobie tę rozmowę przez całą drogę z Teksasu. Zastanawiał się, co jej powie i jak, i niemal do ostatniej chwili szukał zasadnych argumentów i właściwych słów. Teraz, stojąc przed nią, zgłupiał i powiedział pierwszą rzecz, jaka mu przyszła do głowy. To znaczy prawdę.

- Szukam cię.

Powstrzymała się, by nie rzucić mu się w ramiona. Nie, to wykluczone. To by ją tylko sporo kosztowało. Już przez to przeszła, pożegnała się i zakończyła sprawę. Nie zamierzała podejmować tego samego wolnego tańca po raz drugi.

- No to mnie znalazłeś. - Ścisnęła mocniej klamkę, gotowa zatrzaskać drzwi. - A teraz idź sobie.

To był zły ruch. Matta opanowała złość, jego ból i uraza rozgorzały niebezpiecznie.

- Nigdzie nie pójde. Do diabła, kobieto, pokonałem ponad tysiąc kilometrów, żeby z tobą porozmawiać.

Stał tam, nieprzyzwoicie przystojny. Rose pragnęła objąć go i wyznać mu, że nosi w sobie jego dziecko. Ich dziecko.

Jakimś cudem znalazła w sobie siłę, by tego uniknąć.

- Straciłeś tylko swój czas i pieniądze. Nie mamy o czym rozmawiać. - Wyprostowała ramiona. Starła się mówić lodowatym, odpychającym tonem, aczkolwiek przychodziło jej to z trudem i bolało. I wcale nie pomagało i nie uśmierzało bólu, kiedy przypominała sobie, że przyświeca jej szlachetny cel. - Wszystko, co miałam ci do powiedzenia, powiedziałam w Mission Creek.

Matt zmrużył oczy. Zmagał się ze sobą, by nie wepchnąć się do środka na siłę. Nie przyjechał taki kawał drogi, żeby ją przestraszyć, ale też i nie po to, żeby się teraz zakręcić na pięcie i wracać do domu.

- Może ty swoje powiedziałaś, ale ja nie...

Urwał. W drzwiach pojawiła się niewysoka, piersiasta, ciemnowłosa kobieta w czarnym kaftanie zdobnym w granatowe smoki. Jej twarz w kształcie serca rozpromieniła się na jego widok, w jej ciemnych oczach zaśniły ogniki.

- Jakiś problem, kochanie?

Jej słowa adresowane były do Rose. Jej oczy nie opuszczały Matta, który czuł się, jakby był przez nią skrupulatnie analizowany, centymetr po centymetrze.

- No no, kim jest ten czarujący demon? - Kobieta zaśmiała się miękko, pochyliła do przodu i położyła mu rękę na ramieniu. - Jeśli sprzedaje pan jakieś prenumeraty, proszę mnie zapisać od razu na sześć magazynów. A może da się pan zaprosić do środka i spróbuje mnie przekonać, żebym kupiła jeszcze więcej?

O Boże, nie. Rose wpadła w panikę. To była ostatnia rzecz, jakiej by sobie życzyła.

- Ciociu Beth, to jest... - Nie dokończyła, trzęsła się cała w środku.

To pewnie przez tę ciążę, myślała zrozpaczona i tylko modliła się w duchu, żeby nie przytrafiła jej się jakaś głupia katastrofa. Na przykład, żeby nie straciła przytomności w tym progu. W głowie jej się kręciło jak na karuzeli i z wielkim trudem zachowywała równowagę.

- Wiem, kto to jest, kochanie - rzekła Beth, usiłując równocześnie zrobić piękne oczy i zachować spokój. Mrugnęła do gościa.

Bratanica opowiedziała jej całą historię z Mattem dwa dni temu w niecałe pół godziny po przyjeździe. Beth szczyła się tym, że ludzie jej się zwierniają, i to nawet ci, którzy robią to niechętnie. Albo zwłaszcza z tego powodu, że wielu robi to niechętnie. Wierzyła, że człowiek najlepiej radzi sobie z tajemnicami, którymi się z kimś podzieli. Dotyczyło to podwójnie przykrych, niepokojących, pociągających za sobą zmartwienie sekretów. Beth doskonale wiedziała, że nie zaplanowana ciąża znacząco zakłóciła życie Rose.

- Takie piękne oczy i taką przystojną twarz może mieć tylko jeden z synów Forda Carsona. Zgadując po twoim wieku... - Beth przekrzywiła głowę, udając, że mu się bacznie przygląda. Wiedziała, że Rose byłaby zła, gdyby wysnęło jej się, że wie, o co chodzi, i gdyby poinformowała Matta o stanie swojej bratanicy. - Powiedziałabym, że jesteś Matt.

Matt zagapił się na krzykliwie ubraną kobietę u boku Rose. Wyglądała dokładnie tak, jak opisała ją niegdyś jej bratanica. Należała do owych kobiet w nieokreślonym wieku, które wszędzie były i wszystkiego spróbowały. Wiedział też, że Beth jest starszą siostrą Archy'ego Wainwrighta, a zatem musi mieć co najmniej sześćdziesiąt parę lat. Jak na swój wiek trzymała się znakomicie. Trudno by dopatrzeć się na jej twarzy zmarszczek prócz paru drobnych linii wokół ust. Rose powiedziała mu, że Beth nazywa je zmarszczkami śmiechu.

- Tak, zgadza się.

- No to nie stój tak w zimnym holu, kochany. - Beth zrobiła krok w jego stronę i pociągnęła go do przestronnego sześciopokojowego apartamentu w Central Park West. - Wejdz i rozgość się.

- On właśnie wychodzi - rzekła z naciskiem Rose, patrząc znacząco

na Matta.

Czyżby naprawdę aż tak jej zależało, by się go pozbyć? Czy jest tylko biednym zakochanym idiotą, który po raz pierwszy przychodzi, nie kryjąc swych uczuć? Nie miał porównania ani miarki, którą mógłby to zmierzyć. Nigdy do żadnej kobiety nie czuł tego, co czuł do Rose. Ale wygląda na to, że to jednostronne uczucie.

- Nie, on nie może tak odejść - sprzeciwiła się słodko gospodyni. - Dopiero co przyszedł. - Kończąc dysputę, wzięła ręce Matta w swe upierścienione dłonie, nie dając mu się ruszyć. - A teraz wejdź, kochany, i zrzuc te zabłocone buciory.

Matt, jej więzień, nie miał wyboru. Pozwolił jej zaciągnąć się do mieszkania.

Przekroczył próg i rozejrzał się, cokolwiek skołowany. Do głowy mu nie przyszło, że w tak zatłoczonym i hałaśliwym mieście, i to na dodatek na dwudziestym piętrze, zostanie coś podobnego. Ogromny salon ze sklepionym sufitem umeblowany był nowocześnie. Na całej powierzchni podłogi rozciągała się niewiarygodnie biała wykładzina. Ściany zdobiły fotografie Beth z różnymi znakomitościami oraz całym asortymentem mężów, i kilka zdjęć reklamowych z czasów jej kariery aktorskiej. Na każdym z nich rzucała się w oczy energia tej kobiety. Pamiętając o butach, spuścił wzrok na dywan, nieskazitelny jak nie tknięta ludzką stopą dzika plaża.

- Jak się pani udaje, że jest taki biały?

Beth mrugnęła do niego z udaną urazą. Matt zgadywał, że w młodości ta kobieta była jak dynamit i zapewne jeszcze i teraz niełatwo ją pokonać.

- Wszystko da się zrobić, kochany, jak masz dość pieniędzy.

Nie zgodziłby się z nią, bo nie mógł kupić za pieniądze kobiety, którą kocha.

- Wchodź. - Beth pokazała mu znaczącym gestem skórzaną włoską sofę w odcieniu błękitu włoskiego nieba. - Siadaj.

Rose była przekonana, że ciotka ma dobre zamiary, ale sytuacja zaczynała wymykać spod jej kontroli. Spojrzała na Beth.

- Ciociu, mogę cię prosić?

Beth rozsiadła się tymczasem wygodnie obok Matta i podniosła wzrok na bratanicę.

- No prosz.

Rose skinęła głową w stronę przedpokoju.

- Nie tutaj.

Matt pochylił się ku gospodyni.

- Chyba chodzi jej o to, żebym nie słyszał. Beth zaraz przytaknęła.

- Ja też tak myślę, kochany. Zawsze była uparta. Ale wierz mi, warto na nią czekać. - Wstała, poklepawszy go po ręce, i ruszyła w stronę Rose, a jej kaftan kołysał się majestatycznie. - Proszę, kochanie, jestem do twojej dyspozycji. Do którego pokoju chcesz iść?

- Do twojego. - W tamtym pokoju mogła przynajmniej zamknąć za sobą drzwi. Rzeczywiście nie życzyła sobie, by Matt ją podsłuchiwał.

A niech to. Przyjechała tu, żeby się go pozbyć i żeby oszczędzić rodzinie wstydu z powodu swojego stanu. Dlaczego przywłókł się za nią i odsyła ją do punktu wyjścia?

Kogo ty chcesz oszukać? - szeptał jej jakiś głos, kiedy szła do pokoju ciotki. Jeszcze nie przestałaś o nim myśleć. Nawet nie próbowałaś

przestać.

Tak, to prawda. Nie zaczęła się dotąd z niego leczyć. No i jak miała rozpocząć tę kurację odwykową, widząc go znów przed sobą? Musi przekonać ciotkę, żeby przestała go tak obskakiwać, bo inaczej nigdy nie zacznie.

Stając w progu pokoju ciotki, zaczęła, aż Beth wejdzie do środka, i dokładnie zamknęła drzwi. Beth patrzyła na nią cierpliwie. Rozłożyła ręce szerokim gestem, zapewne pozostałością z jej teatralnych lat.

- No dobrze, kochanie, jestem do twojej dyspozycji. Co masz mi do powiedzenia?

Rose za skarby świata nie chciała urazić uczuć swojej ciotki. Oczekiwała od niej jedynie zrozumienia.

- Nie chcę, żebyś go zachęcała, żeby tu został. Beth zaśmiała się i potrząsnęła głową.- On nie potrzebuje mojej zachęty, kochanie. Sam tu przyjechał taki szmat drogi. - Westchnęła tak, jak wzdychała, dochodząc do ostatniej strony wzruszającego romansu. - Tylko dla ciebie.

Poruszona i sfrustrowana, Rose zaczęła krążyć po pokoju.

- Nie chcę go widzieć.

Beth skrzywiła się zabawnie i spoważniała. Jej łagodny głos miał w sobie niemal hipnotyczną szczerłość.

- Ależ chcesz.

Rose nie miała ochoty na sprzeczkę, i tak było jej ciężko.

- Ciociu...

Beth była bezdżietna, miała tylko dorosłego pasierba, syna jednego ze swoich zmarłych już mężów. Gregory pracował na wieży wiertniczej w Chile. Nie miała szansy pomatkować mu i wszystkie swoje nie wyko-

rzystane instynkty macierzyńskie przelała na bratanicę.

- Daj sobie czas, kochanie. Pobądź trochę z dala od bliskich.

Między wami naprawdę iskrzy. Zauważyłam to w pierwszej sekundzie, gdy spojrzeliście na siebie. Do diabła, ja to czułam w drugim pokoju.

Rose z zasady nie sprzeciwiała się nikomu z rodziny, ale nowa sytuacja zmieniła niektóre z jej zasad.

- Byłaś chyba w kuchni, kiedy się zobaczyliśmy - zaznaczyła.

Beth, zgodnie ze swoim zwyczajem, zmieniła kurs, dostosowując się do nowego prądu.- No właśnie mówię, że nawet tam to czułam. A tak długo iskrzyło, że zdążyłam do was dojeść. - Wzięła dłoń bratanicy i zmusiła ją, by na nią spojrzała. - Kochanie, nie pozwól, żeby jakaś głupia kłótnia, z którą żadne z was nie ma nic wspólnego, zrujnowała waszą piękną przyszłość.

Rose westchnęła, zabierając rękę.

- Nie chodzi tylko o kłótnię, ciociu. A nawet gdyby, dla ojca ona wcale nie jest głupia.

Beth prychnęła i machnęła ręką.

- Archy zawsze niezłomnie trwał przy swoich błędach. - Objęła szczupłe ramiona Rose konspiracyjnym gestem, podnosząc się lekko. Rose była od niej wyższa o dobre dziesięć centymetrów. - Kochanie, myślisz, że gdyby on pokochał jakąś Carsonównę, pozwoliłby, żeby jakiś dawny spór stanął mu na przeszkodzie? - Roześmiała się, przypominając sobie młodość swojego brata, zanim stabilizacja i wiek wymusiły na nim, by pogrzebał swe rozszalałe instynkty. - Na pewno by tak nie zrobił, kiedy był w wieku Matta. Twój ojciec był wtedy diabłem wcielonym. Gdyby zakochał się w jakiejś Carsonównie...

- Ale się nie zakochał - zauważyła Rose. - A ja tak. Beth uśmiechnęła się od ucha do ucha.

- No widzisz, sama się do tego przyznajesz. Dałam się złapać w pułapkę, myślała Rose.

Ciotka uchodziła za wyjątkową ekscentryczkę, co nie pozbawiało jej sprytu. - Może - zgodziła się częściowo. - Ale zdałam sobie sprawę, że to błąd.

Fiołkowe oczy Beth, identyczne jak oczy Rose, rozmarzyły się na wspomnienie niektórych z jej małżeństw i romansów.

- Miłość nigdy nie jest błędem, kochanie. Jesteście jak Romeo i Julia. - Objęła bratanicę pokrzepiającym spojrzeniem. - Tylko że wy doczekacie szczęśliwego zakończenia.

Rose przysięgłaby, że ciotka składa jej jakąś obietnicę. A przecież to niemożliwe. Nikt nie mógł jej tego obiecać. Była o tym głęboko przeświadczona.

- Nie, po prostu doczekaliśmy końca - stwierdziła stanowczo.

Beth otworzyła drzwi i wybierała się z powrotem do salonu.

- Nic nie słyszałam, kochanie. Chyba mówiłaś do mojego głuchego ucha.

Rose uniosła podejrzliwie brwi.

- Wczoraj mówiłaś, że to drugie ucho. Beth odwróciła się do niej niewzruszona.

- Te rzeczy mają skłonność się zmieniać, kochanie. Wiesz, że u mnie nic nie jest normalne.

Rose podeszła do ciotki szybkim krokiem. Nie pozwoli jej odejść, póki Beth nie obieca, że przestanie się wtrącać.

- Ciociu, pamiętasz jakieś szczegóły tego sporu?

- Czy pamiętam? - Zaśmiała się. - Bębiono mi tym nad głowę niemal każdego dnia, kiedy byłam dzieckiem. Dopiero jak skończyłam dziesięć lat, uświadomiłam sobie, że to nie jakaś bajka Ezopa, tylko rzeczywistość.

Rose ujęła ciotkę za ramiona.

- A pamiętasz, jak Jace Carson oświadczył się córce burmistrza, bo myślał, że ona jest z nim w ciąży? Nie kochał jej wcale, ale był gotów zachować się uczciwie.

Beth uniosła palec, przerywając jej.

- Nie ożenił się. Okazało się, że to dziecko zrobił jej ogrodnik. Córka burmistrza bała się, że jej ojciec tego nie zaakceptuje, więc trzymała to w tajemnicy, póki mogła, a potem oskarżyła Jace'a. Ale wszystko dobrze się skończyło. Dla wszystkich prócz nieszczęsnej Lou Lou. Lou Lou Wainwright popełniła samobójstwo, ponieważ nie mogła wyjść za mąż za swoją długoletnią miłość, Jace'a Carsona. To zdarzenie stało się początkiem wrogości między Carsonami i Wainwrightami.

Beth zmieniała temat, wymykała się. Rose czym prędzej zawróciła jej uwagę na właściwą ścieżkę.

- Chodzi mi o to, że Jace ożeniłby się z nią tylko z obowiązku.

Beth spojrzała na swoją bratanicę uważnie, starając się ją przejrzeć.

- Boisz się więc, że jeśli Matt się dowie, postąpi podobnie.

- No właśnie. Dziwne, myślała Beth, że dwoje zakochanych w sobie ludzi może być zarazem tak ślepych. Chociaż, szczerze mówiąc, podobnie było z nią i Garrisonem.

Otrząsnęła się, nie dając się porwać wspomnieniom.

- To nie znaczy, że uważam, że twój mężczyzna nie jest człowiekiem honoru. Ale moim zdaniem, kochanie, nikt nie skłoniłby go do zrobienia czegokolwiek wbrew jego woli.

- I o to chodzi - upierała się Rose. - On chciałby zachować się honorowo.

Beth przekrzywiła głowę, starając się nadażyć za Rose.

- A ty nie chcesz, żeby się tak zachował?

- Nie chcę, żeby się ze mną żenił wyłącznie z powodu honoru albo żeby dać nazwisko dziecku. - Okręciła się i spojrzała Beth prosto w oczy.

- Chciałabym, żeby poślubił mnie z miłości. Dlatego, że chce tego dziecka. A nie dlatego, że przypadkiem zaszłam z nim w ciążę. Nie widzisz różnicy, ciociu?

- Tak, widzę. Ale jeśli ty nie widzisz, że ten chłopak kocha cię do szaleństwa, do zdartych podeszew swoich kowbojskich butów, to chyba musimy odbyć naprawdę poważną rozmowę.

Rose uniosła rękę.

- Mowy nie ma, żadnych rozmów. Chcę tylko, żeby on się stąd wyniósł. Żebym mogła dalej układać sobie życie.

Beth nabrała przekonania, że współczesna młodzież nie ma pojęcia o miłości. Każdy upiera się tylko egoistycznie przy swoim.

- A cóż by to było za życie bez niego? Tyle ci mogę powiedzieć, jak już rzuciłam na niego okiem.

Z tymi słowy Beth opuściła swój pokój i dostojnie popłynęła do salonu. Rose nie zdołała nawet wynaleźć kolejnego argumentu.

Wchodząc, Beth obdarzyła Matta promiennym uśmiechem. Natychmiast poderwał się z sofy. No proszę, przystojny i dobrze

wychowany, ucieszyła się. Potrafiła rozpoznać cenną zdobycz, kiedy na taką trafiała. Teraz chodzi o to, żeby wbić to do głowy Rose.

- Przepraszam, że zostawiłam cię tak długo samego, Matt.

Zauważyła, że w międzyczasie otworzył oprawny w pozłocaną skórę album, który spoczywał na małym stoliku, i przeglądał go. Z miejsca wykorzystała tę okoliczność.

- Och, widzę, że znalazłeś mój album. Owładnięta nostalgią opadła obok niego na sofę,

żeby wraz z nim zajrzeć w swoją barwną przeszłość. Matta omal nie zawiódł refleks. Na stronie na wprost niego widniało zdjęcie nagiej, pulchnej kobiety, która zakryła piórami jedynie strategiczne miejsca na swym ciele. Przeniósł wzrok z albumu na Beth.

- To pani? - spytał.

- Tak. - Miała wówczas osiemnaście lat, dopiero co opuściła ranczo. Zdawało jej się teraz, że to historia z zamierzchłej przeszłości, a równocześnie, jakby to wszystko działo się ledwie wczoraj.

- Grałam na Broadwayu. Na Off Broadwayu, w zasadzie. I to takim dalekim Off. - Torowała sobie wówczas drogę do profesjonalnego teatru, a po drodze zdobyła wiele mile wspomnianych teraz doświadczeń i równie wielu mężczyzn. Westchnęła z tęsknotą. - To dopiero było życie! - Posłała Mattowi uśmiech. - Ale nie przyjechałeś tu, żeby wysłuchiwać moich wspomnień.

Matt czuł się bardzo swobodnie w towarzystwie tej niemłodej już kobiety, którą znał przecież tak krótko. Tak znakomicie czuł się z Beth Wainwright Montgomery Cannon Williams i tak dalej, jak z Rose. A raczej tak jak czuł się w towarzystwie Rose, zanim go rzuciła. Może to

jakieś cechy rodzinne, myślał. Rose daleko było co prawda do otwartości i oryginalności ciotki. Szczerze mówiąc, cieszyło go to, bo gdyby była identyczna jak Beth, musiałby odstać swoje w kolejce, żeby mieć ją dla siebie.

Wyczuwał też w Beth sprzymierzeńca w swojej sprawie i w związku z tym postanowił zachęcić ją do kontynuowania reminiscencji z przeszłości.

- Nie, proszę mówić dalej.

Beth poklepała jego dłoń, jej fiołkowe oczy buzowały niczym świeżo odkorkowany szampan w wysokim kieliszku.

- Jesteś nie tylko przystojny, jesteś też mądry - Roześmiała się, zerkając na bratanicę nad głową Matta.

- To prawdziwy czaruś, Rose.

- Tak - rzekła Rose, patrząc znacząco na Matta.

- Ale czar jest nietrwały.

Ta uwaga ubodła go prosto w serce, jak dobrze wycelowana strzała. Co on tam robi? Poniża się przed kobietą, która go odrzuciła. Która mu oświadczyła, że owszem, bawiła się nieźle, ale już jej się znudził i pora wracać do poprzednich zajęć.

Gdzie się, do diabła, podziała jego duma?

- Skoro już tu jestem - usłyszał własny głos - mogę chyba wykorzystać zaległe wakacje. Ale w tym mieście bardzo łatwo się pogubić - mówił do Beth, kompletnie ignorując Rose. - Przydałby mi się przewodnik.

- Czekał na propozycję, której był pewny. Beth nie kwapiła się jednak z ofertą, a zatem ponowił pytanie:

- Może pani? Zechciałyby mi pani pomóc?

Ku jego zaskoczeniu Beth pokręciła głową.

- Och, mój drogi, więcej niż chętnie, ale prowadzę akurat zajęcia ze sztuki aktorskiej. - Po tych słowach rozpromieniła się, jakby ni stąd, ni zowąd coś zupełnie genialnego wpadło jej do głowy. Matt podejrzewał jednak, że nie była to wcale nowa myśl. - Za to Rose jest wolna.

Matt nie spojrział nawet w stronę Rose.

- Obawiam się, że nie zna dobrze miasta.

- Zna je o wiele lepiej, niż przypuszczasz. Przesunął się, obrócił się do Rose, która stała po jego drugiej stronie. Zbladła, czy tylko mu się wydawało?

- W porządku, skoro tak pani mówi. To jak? Oprowadzisz mnie po mieście?

Dlaczego grają w jakąś głupią grę? Dlaczego on nie wraca do domu?

- Nie sędzę, żebyś naprawdę chciał zobaczyć Nowy Jork - odparła.

Matt czuł, że znowu podgrzewa się w nim złość. Tak, Rose niewątpliwie potrafi ustawić go jak nikt inny.

- Powiedziałem przecież, że chcę, prawda? Dlaczego zawsze mi się przeciwstawiasz?

Rose nie była w nastroju na dyplomatyczne dyskusje.

- Może dlatego, że ty nigdy nie mówisz tego, co myślisz.

- Dzieci, dzieci, w tej chwili przestańcie i pogódźcie się albo wyśle was oboje spać bez kolacji. - Kompletna bzdura, nawet w żartach, pomyślała Beth, ledwo wymówiwszy te słowa. - No, jeśli uważacie, że to zbyt surowa kara, to na pewno przynajmniej bez deseru. - Puściła do nich

oko.

Rose splotła przed sobą ręce i westchnęła głęboko. Pewnie zachowuje się jak dziecko, kłócąc się bez przerwy. Zapowiada się na to, że Matt nie wyjedzie, dopóki ona nie obieca mu choćby krótkiej wycieczki po mieście. Uznała w końcu, że to i tak mniejsze zło.

- No dobrze, pójdę z tobą do miasta, jeśli naprawdę chcesz zwiedzać.- Uwielbiam takie serdeczne zaproszenia - rzekł z sarkazmem.

Beth wtrąciła się zaraz na wszelki wypadek.

- Powiedz „tak” mój drogi i pogódźcie się, a potem pokażę ci twój pokój.

Rose popatrzyła przerażona na ciotkę i na Matta, modląc się w duchu, by słowa Beth okazały się jakąś metaforą.

- On tu zostaje?

- Widziałam obok niego walizkę, kiedy stał w holu, rozumiem, że to jego.

To niech sobie tam stoi, myślała Rose. Razem z nim.

- Chyba nie musi tu zamieszkać tylko dlatego, że przyjechał z walizką? To nie hotel. - Powiedziawszy to, od razu tego pożałowała, słusznie przewidując, co teraz nastąpi.

Beth jej nie zawiodła.

- Nie, oczywiście, że nie, ale ciebie mimo to przyjął.

Rose myślała szybko, jak wyjść z tego ambarasu.

- Ja jestem członkiem rodziny.

Ciotka ledwo skinęła głową, przytakując jej. Przed kilku laty omal nie pożegnała się z życiem na stole operacyjnym. To doświadczenie kazało jej na nowo nawiązać kontakt z siłą wyższą.

- W oczach Boga wszyscy stanowimy jedną wielką rodzinę, moja droga. - Obróciła się do Matta. - A nasz gość potrzebuje pokoju, prawda, kochany? Matt wstał.

- Wybierałem się właśnie do hotelu. Podpierając się na oparciu sofy, Beth dźwignęła się do góry.

- Zaoszczędzę ci tego kłopotu. Trzecie drzwi na lewo. Pokój gościnny. Uwielbiam przyjmować gości - przyznała.

- Pani Wainwright...

- Mów mi Beth, bardzo proszę. I nie chcę więcej o tym słyszeć. Nie sprzeczasz się ze mną, robisz mi przykrość. A przecież nie chcesz, żeby było mi przykro, prawda?

Pokręcił głową, a Rose otworzyła usta, żeby zaprotestować.

- Ale...

- Dobrze. - Ciotka klasnęła w dłonie. - No to postanowione. Zostajesz tutaj. To duże mieszkanie. Nie będziemy wchodzić sobie w drogę.

Chyba że coś zaaranżuję, dodała zaraz w myślach.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Rose nie mogła przestać myśleć, że Matt znajduje się w sąsiednim pokoju, a co więcej, że się tam właśnie rozpakowuje.

Po drugiej stronie sypialni jej ciotki znajdował się drugi pokój gościnny. Dlaczego Beth tam go nie wysłała? Dlaczego wybrała pokój sąsiadujący z jej sypialnią? Co chce przez to osiągnąć? W Rose rozbu-

chały się teraz hormony, nie panowała nad emocjami. I tak nie było jej łatwo, a tu na dodatek musi odpierać atak barbarzyńców u bram, a co gorsze - znosić ich towarzystwo.

Matt poinformował Beth, że chce zostać w Nowym Jorku tydzień albo dwa. Mówiąc to, patrzył na Rose, jakby to od niej uzależniona była długość tego pobytu.

Gdyby ją o to zapytał, siedziałby już w samolocie i leciał z powrotem do domu, myślała zdenerwowana.

Postanowiła poprosić Beth, by cofnęła swoje zaproszenie. Wyszła z sypialni i poszła szukać ciotki.

Tymczasem wpadła na jakąś małą armię ludzi, którzy wnosili przykryte naczynia z potrawami na taras. Wiodąc za nimi wzrokiem, znalazła Beth, która właśnie brylowała na tarasie. Stała jak zawsze w samym środku, w swym powiewającym kaftanie, i łagodnym głosem wydawała polecenia niczym generał rozstawiający oddziały wojska.

Rose wystąpiła przed chudego, młodego mężczyznę w czarnej liberii, który niósł niewielkie pudełko. Miała wrażenie, że znalazła się na Atlantydzie dosłownie moment przed fatalnym trzęsieniem ziemi.

Ruszyła prosto w kierunku Beth.

- Ciociu, co to wszystko znaczy?

- Tu będzie w sam raz, moja droga - mówiła właśnie ciotka do młodej kobiety z miską sałaty, rzucając bratanicy krótkie spojrzenie przez ramię. - Jak to co? Kolacja, kochanie. Nie widzisz?

Na tarasie stały już kryształowe kieliszki, bardzo fantazyjna butelka, jak się potem okazało, z napojem imbirowym, oraz szampan. Przystawki czekały na stole zasłanym kremowym koronkowym obrusem, park za

oknem z wolna niknął w zapadającym zmroku.

- Jakbyś rzuciła steki na patelnię i podała sałatę, to bym wiedziała, że jest kolacja - powiedziała Rose.

- A to tutaj, to jest raczej jakaś konspiracja.

Beth zaśmiała się i poklepała ją po policzku.

- Nonsens, Rose, nie ma w tym żadnej konspiracji.

- Zbliżyła się do niej i zniżyła głos. - Nie przejmuj się, to normalne, niektóre kobiety w twoim stanie reagują paranoicznie. Rose zeszywniała i obróciła się. Spojrzała w stronę salonu, by upewnić się, że w pobliżu nie ma Matta.

- Ciociu - zaczęła przez zęby. To miał być rodzinny sekret, a Beth mówi takie rzeczy w tłumie obcych ludzi!

- Mówię szeptem, kochanie - odezwała się Beth spokojnym głosem.

- Nawet ty mnie nie słyszysz. - Zwróciła się do kolejnego mężczyzny, który wkroczył akurat na taras z małym wąskim pudełkiem. - Proszę to tam położyć. Zaraz się tym zajmę.

I zaczęła wyjmować z pudełka długie cienkie świece, nie zważając zupełnie na zdenerwowanie Rose. Rose wytrzeszczyła oczy.

- Świece?! - zawołała, gdy ciotka zapaliła pierwszą z nich, a potem następną. - Zamówiłaś świece? Od kiedy to jadamy kolację przy świecach?

- Są kolacje - zaczęła Beth, unosząc i opuszczając chytrze swoje delikatnie rzeźbione łuki brwiowe - i kolacje.

W tej chwili dla Rose stało się jasne, że to ona ma być głównym daniem przy tym stole.

- To wykluczone - zaprotestowała ostro.

Beth wpuściła zapalniczkę do czeluści swojej kieszeni.

- Kolacja? - spytała niewinnie. Jakby nie wiedziała, o czym mowa.

- Nie - stanowczo powiedziała Rose. - Chodzi mi o to, co chcesz zyskać dzięki tej kolacji.

Ciotka spojrzała na nią. Na jej twarzy nie było cienia podstępnych zamiarów. Rose zrozumiała, skąd wzięła się opinia o ciotce jako o wytrawnej aktorce.

- Pełne żołądki i uśmiechy, kochanie - odparła Beth. - To mój jedyny cel. - Przeniosła wzrok na kelnerów, których zamówiła ze swojej ulubionej restauracji „U Claude'a", i skinęła głową, wyraźnie zadowolona. - Wybornie.

Kelnerzy odsunęli się na bok, stapiając się z tłem jak taktowne dobre wróżki. Rose spojrzała na stół i nagle dotarł do niej oczywisty fakt.

Obrzuciła Beth oskarżającym wzrokiem.

- Dlaczego tu są tylko dwa nakrycia? Ciotka odparła najprościej jak to możliwe:

- Bo tylko dwie osoby zasiądą do stołu.

Rose zdenerwowała się już myślą, że będą jeść tę uroczystą kolację we troje. Zadając pytanie, na które zresztą z góry znała odpowiedź, miała złe przeczucia. Łudziła się beznadziejnie, że może jednak się myli.

- Jakie dwie osoby?

Beth odpowiedziała jej z młodzieńczym zapałem.

- Zgadnij.

- O nie. - Stanowczo pokręciła głową. - Wybacz, ale to niemożliwe.

Nie zgadzam się zostać z nim sama. Absolutnie odmawiam.

Beth zupełnie zlekceważyła desperację w słowach bratanicy.

- Nic na to nie poradzisz, kochanie. Ja mam dzisiaj lekcje w college'u. Załamana Rose poszukiwała jakiegoś ratunku.

- W takim razie pójdę tam z tobą. Jeszcze nigdy nie widziałam twoich lekcji.

Beth machnęła ręką z lekceważeniem.

- Nudy. Nie spodobałoby ci się.

- Najwyżej zasnę - nie poddawała się Rose. - Odpoczynek dobrze mi robi.

Ciotka raz jeszcze zlustrowała stół.

- Nie. Ty musisz jeść. Masz jeść za dwóch. - Objęła Rose ramieniem. - W drugim pokoju siedzi bardzo sympatyczny młody człowiek. Na pewno nie przeskoczy stołu i nie wykorzysta cię. - Odsunęła się i posłała Rose szelmowski uśmiech, patrząc na zarys jej figury. - Stąd widzę, że już się nawzajem wykorzystaliście.

Rose przypomniała sobie, jak jej ojciec ciskał gromy z powodu uporu i nieustępliwości swojej starszej siostry. Nie wspominając już jej nieortodoksyjności, którą określił mianem postrzelenia. Raz w życiu jej ojciec był wtedy powściągliwy w słowach.

Czuła, że za chwilę rozboli ją głowa. Rozboli ją całe ciało.

- Ciociu, nie pomagasz mi w ten sposób. Beth rzuciła okiem na zegarek.

- Czemu, kochanie? Nie wiem, o czym mówisz. Chciałam tylko, żebyś zjadła smaczną kolację, kiedy wyjdę. A teraz będzie ci przyjemniej, bo jest Matt, który dotrzyma ci towarzystwa. - Zbierała się do wyjścia. Prawdziwa aktorka doskonale wie, kiedy ma wejść, a kiedy wyjść. Nawet jeśli jest to aktorka na emeryturze. - Wierz mi, mogło ci się trafić o wiele

gorzej. A tak będziesz miała po drugiej stronie stołu młodego przystojnego mężczyznę. - Puściła do niej oko. - Już ja to wiem.

Rose była u kresu wytrzymałości. Ciotka widocznie znajduje w tym przyjemność, ona przeciwnie. Potrzebowała wyłącznie ciszy i spokoju.

- Staram się zostawić to za sobą. Beth spojrzała wymownie na jej brzuch.

- Obawiam się, że część tego będzie niedługo przed tobą. - Urwała, żeby cmoknąć w przelocie policzek bratanicy i ucisnąć jej rękę. -

Wszystko będzie dobrze, Rose, obiecuję.

Rose zmarszczyła czoło. Nic nie będzie dobrze. Wiedziała to i już się z tym pogodziła. Dlaczego Beth nie potrafi przyjąć tego do wiadomości?

- Nie masz żadnych podstaw do składania podobnych obietnic.

Beth potrząsnęła głową.

- Czasem, słuchając cię, przysięgłabym, że słyszę twojego ojca.

Przestań, Rose - złąła ją żartobliwie i wycofała się z tarasu.

Rose została z kurczakiem, słodką kukurydzą w sosie winnym, tłuczonymi ziemniakami i ssaniem w żołądku. Zaciśnęła usta i jak zahipnotyzowana zapatrzyła się na płomień najbliższej stojącej świecy.

Czy może pomyśleć sobie jakieś życzenie, chociaż to nie jest świeca na urodzinowym torcie? Jeśli tak, wiedziałyby, czego sobie życzyć.

Chciałyby cofnąć czas i zrobić wszystko inaczej. Postąpić właściwie. Nie zaszłyby wówczas w ciążę, a jej romans z Mattem trwałby trochę dłużej.

Niestety, wszystko jakoś wymknęło jej się z rąk. Nie powinna była zająć w ciążę. Przecież się starannie zabezpieczała. Wybrała się z wizytą do swojego lekarza i poprosiła o pigułki antykoncepcyjne. A lekarz,

wypisując jej receptę, uczciwie ją uprzedził, że nawet najlepsze zabezpieczenie nie daje stuprocentowej pewności.

No i tak się właśnie stało w jej przypadku, myślała z żalem. Co za idiotyzm zakochiwać się w Carsonie, kiedy nosi się nazwisko Wainwright. Co za głupota, żeby skakać na skraju przepaści na terenie nawiedzonym przez trzęsienia ziemi.

A ona, myślała z ręką na brzuchu, skoczyła raz a dobrze, i trzęsienie ziemi wisi w powietrzu.

Uda się uniknąć nieprzyjaznego żywiołu, jeżeli będzie milczała. To od niej zależy, czy da się powstrzymać nawałnicę. Bo gdyby wyznała rodzinie, kto jest ojcem jej dziecka, uwikłałaby ich w piekielną katastrofę.

Podobny skutek odniosłaby, zawiadamiając Matta, że nosi w sobie jego dziecko. Dlatego tak ważne jest, żeby pozbyć się go z Nowego Jorku jak najszybciej. Żadnych romantycznych kolacji przy świecach. Im dłużej Matt tu zostanie, tym większe ryzyko, że Rose załamie się i powie mu o dziecku.

Nie wyszłaby za niego tylko po to, żeby dać nazwisko dziecku. A równocześnie, gdyby jej się nie oświadczył, jej serce złamałoby się na dobre. Nie miała żadnej gwarancji, że Matt poprosi ją o rękę. Nigdy dotąd nie rozmawiali o małżeństwie, nigdy nawet o tym nie wspomnieli. Każde z nich w duchu pogodziło się z faktem, że ten temat jest dla nich z góry zamknięty. Ich związek miał zatem być wyłącznie namiętnym romanssem.

To miał być romans bez żadnych zobowiązań.

A teraz groziło im wzajemne zobowiązanie.

- No, no!

Rose zakręciła się.

Matt patrzył nie na nią, lecz na stół. Uśmiechnęła się mimo wszystko na ten widok. Tak, on zawsze okazywał słabość do smacznego jedzenia.

Podszedł do stołu, wysunął krzesło i trzymał je dla Rose. Nie miała wyboru, usiadła.

- Twoja ciotka zawsze tak dobrze jada?

To tylko kolacja, jedna kolacja. Chyba nie ma w tym nic złego? Rose też była głodna. Rozłożyła serwetkę na kolanach, unikając wzroku Matta.

- Dziś wieczór w ogóle nie je.

Beth wpadła do niego przed wyjściem i powiedziała mu, co go czeka, ale Matt udawał teraz, że nic nie wie.

- Widzę tylko dwa nakrycia. Będziemy sami przy stole? Rose nagle opuścił apetyt.

- Jedz, ja nie jestem głodna. Odłożył trzymany w ręku widelec.

- Nie będę jadł sam. Jestem głodny, ale nie jestem świnia. - Zauważył uśmiech prześlizgujący się po jej twarzy. Ucieszył się, zapominał już, jak jej uśmiech rozświetla wszystko dokoła. - Co?

Rose poliała sosem sałatę, tylko po to, aby zająć czymś ręce.

- Przypomniało mi się, jak na pikniku zmiotłeś wszystko prócz koszyka. - Podniosła na niego wzrok. - Miałeś wilczy apetyt.

Zlustrował ją wzrokiem. Nie zdawał sobie sprawy, że w tak krótkim czasie można się za kimś tak ogromnie stęsknić.

- Taa, pamiętam.

Rose czuła, że czerwień przelewa się z jej karku na policzki.

- Mówię o jedzeniu.

- Tak, na jedzenie też.

Usiłował skupić się na posiłku, choćby dla formy, niezależnie od głodu. Od czasu do czasu rzucał jakieś zdanie. Wytrzymał tak cały kwadrans. Potem nie był już w stanie powstrzymać się przed pytaniem, które dręczyło go, odkąd zasiadł do stołu. Odsunął gwałtownie talerz i z zaskoczenia wziął ją za rękę.

- Rose, dlaczego zerwałaś? A niech to. A już łudziła się, że obejdzie się bez scen. Zabrała rękę i uniosła ramiona.

- Mówiłam ci już, coś się skończyło.

- Nieprawda. - Jeśli ona tak sobie wmawia, to znaczy, że okłamuje i jego, i siebie. - Czuję, że wciąż coś nas łączy - upierał się. Chciał ją znowu wziąć za rękę. - To chemia.

W ostatniej chwili cofnęła dłoń. Patrzył na nią z takim napięciem, że z trudem to znosiła. Starła się to zbagatelizować.

- To ta pogoda. Coś wisi w powietrzu.

Nie chciał dłużej udawać. Lecz nie mógł jej też powiedzieć, co odkrył w swoim sercu, jeżeli ona nie czuła w swoim tego samego. Jeżeli wciąż zaprzecza, wciąż utrzymuje, że nic już nie ma między nimi.

- Możesz oświadczyć szczerze i z pełną odpowiedzialnością, że nic do mnie nie czujesz? No, kim dla ciebie jestem?

Czuję, i to wiele, ale to niczego nie zmieni, myślała. Po raz wtóry uniosła ramiona i opuściła je swobodnie.

- Przyjacielem - powiedziała cicho. Odwróciła od niego wzrok. Ujął ją za brodę i zmusił, żeby spojrzała mu w oczy.

- Nie o tym mówię.

Jej oczy zwęziły się, zaparła się na całego.

- Ale ja o tym właśnie mówię. Stanął nad nią i pociągnął ją do góry.

- Pocałuj mnie. Nie, tego za nic nie chciała. Dlatego że o niczym innym nie marzyła.

Próbowała wywinąć się jakoś, ale Matt trzymał ją mocno.

- Matt...

Przyciągnął jej dłoń do piersi.

- Pocałuj mnie. Jeśli naprawdę nic do mnie nie czujesz, spadam stąd. To chyba prosty sprawdzian. - Wpatrywał się badawczo w jej twarz, usiłując zobaczyć tam, czy robi z siebie kompletnego dumia, czy może jednak jego instynkt słusznie mu podpowiada. - Odrzucony mężczyzna prosi cię tylko o jedno, zwykły test, nic więcej.

Rose spanikowała. Jeżeli go pocałuje, zdradzi się.

- Odrzucony mężczyzna powinien dostać ostatni posiłek, a nie ostatni pocałunek.

- Zmieniliśmy już kilka zasad - przypomniał jej, myśląc o tym, że pokochali się niemal wbrew własnej woli. - Możemy zmienić jeszcze kilka.

- Matt...

Nie miała dokąd uciec. Westchnęła głośno. Zrobi to, zdecydowała nagle. Zrobi to i będzie udawać. Pocałuje go, jakby całowała własnego brata. Jeśli tylko wyobrazi sobie, że to nie on, tylko Justin, uda jej się. Modliła się w duchu, by jej postanowienie nie okazało się koszmarnym błędem.

- Niech będzie, więc jeden pocałunek. A potem wyjedziesz, tak? - Jeżeli nic do mnie nie czujesz - odparł Matt.

Wzięła głęboki oddech i zbliżyła do niego twarz, układając wargi

tak, jakby zmuszała się do pocałowania żaby.

Wziął jej twarz w dłonie. Starła się oddychać równo i spokojnie, bo usta Matta były coraz bliżej.

Justin, Justin, Justin, wbijała sobie do głowy.

Bezskutecznie.

Gdy tylko poczuła jego dotyk, jej serce rozpoczęło galopadę. Czemu nie potrafi zapanować nad własnym ciałem? Starła się zapobiec wybuchowi trzeciej wojny światowej w swoim domu i mieście, to czemu tutaj zapomina o swoim głównym celu?

Problem nie tkwił jednak w jej umyśle. To cała reszta, jej ciało, tak bardzo za nim tęskniła. Zaczęła tęsknić w chwili pożegnania na tylnej klatce schodowej biblioteki. Sama wybrała to miejsce. Bezpieczny, neutralny grunt, gdzie Matt nie mógłby wylać na nią swojej złości ani zgarnąć jej w ramiona i zrobić dokładnie tego, co właśnie teraz robił.

Sprawiał, że miękła i rozpuszczała się.

Czyżby zapomniała, jak wygląda Justin? Przecież kazała sobie myśleć o bracie, a nie o tym, jak kochała się z Mattem. Nie miała się do czego uciec ani czym wygasić ognia, który zaczynał trawić jej wnętrze. Nie miała pod ręką nic, czym zdołałaby schłodzić tę gorączkę.

Matt wziął ją w objęcia i teraz czuła już także jego ciało, nie tylko same wargi. Przyciskał ją mocno. Miała w głowie tylko jedno: ostatni raz, kiedy się kochali.

Pragnęła to powtórzyć.

Nie, nie będzie żadnego następnego razu. Nigdy. Czyżby już zapomniała? Miała być silna i dzielna. Cicha woda brzegi rwie i tak dalej.

Cicha woda? Przecież ona tonie. Tonie w szybkim tempie.

Matt pragnął jej natychmiast, tu i teraz, na tym elegancko zastawionym stole, między zjedzonym częściowo kurczakiem i nietkniętym jeszcze deserem. Tylko Rose była mu potrzebna do życia. Umierał bez niej, a teraz rozpaczliwie pragnął zaspokoić swój głód jej dotykiem, smakiem i zapachem.

Ona też miała na niego apetyt. Matt o tym wiedział, czuł to. W jej pocałunku i w jej przytulonym ciele znalazł najbardziej wiarygodny dowód jej uczuć.

Rose go pożąda. To w takim razie czemu wciąż tak usilnie temu zaprzecza? Dlaczego unieważnia ich najcenniejsze więzy? Z jakiego powodu tak zapiera się, żeby mu nie ulec? I dlaczego uciekła?

Nie dostrzegał w tym wszystkim najmniejszego sensu.

Do diabła z sensem, do diabła z zasadami. Byli sami, pod gwiaździstym niebem, dwadzieścia pięter nad nieprawdopodobnie bujną zielenią parku w samym sercu najbardziej kipiącego życiem miasta w tym kraju. Słyszał, jak zamykają się drzwi frontowe. Wiedział, że Beth zostawiła ich na parę godzin. Sama go o tym zapewniła.

Mieli czas, żeby się kochać. On miał czas, by przekonać Rose, że należy tylko do niego, a on do niej.

Rose zlekła się, fala lęku zmyła dręczące ją erotyczne marzenia. Tak nie może dalej być. Czuła, że w każdej chwili może skapitulować. Matt zawsze miał nad nią władzę, od samego początku.

Od pierwszego pocałunku pozbawił ją jakiegokolwiek zdolności oporu. Nie, to nie może się powtórzyć. W ciągu kilku ostatnich miesięcy, a zwłaszcza przez minione sześć tygodni Rose bardzo dojrzała. Zaś konsekwencje, które niegdyś zdawały się mglistymi zjawami gdzieś daleko

na horyzoncie, stały się twardą rzeczywistością, która groziła, że ją zdławi.

Oparła mocno ręce o jego klatkę piersiową, zdecydowana, by uwolnić się, póki jeszcze pora. Potrzebowała tylko sekundy, by złapać oddech, który wyparował w gorączce tej bliskości.

- Rose, przecież chciałaś, żebym cię pocałował. To, co zrobiłaś, nie było chłodne ani obojętne.

Rose weszła w rolę kłótlivej sekutnicy i zamierzała rzucić się na niego z zaciśniętymi pięściami.

- Ty egoistyczna...

Puścił jej talię i złapał za nadgarstki. Ale dużo skuteczniej powstrzymał ją wzrokiem.

- Chciałaś, żebym cię pocałował - powtórzył. - Rów- nie mocno, jak ja pragnęłam cię pocałować. Przestań wreszcie udawać i wracaj ze mną do Mission Creek.

Życzyła sobie tego z całego serca.

Ale czy on nie dostrzega, że to beznadziejne? Nawet bez dziecka, które dodatkowo komplikuje sytuację.

- Po co? Żeby spotykać się z tobą po kryjomu i kraść kilka minut z twojego cennego czasu?

Tak, to prawda, Matt wcale nie miał ochoty tego zmieniać. Było mu z tym wygodnie.

- Co w tym złego?

Rose wyrwała mu się gwałtownym szarpnięciem.

- Wszystko. Ten pocałunek udowadnia tylko jedno. Że pociągasz mnie fizycznie. Tak samo lubię czekoladę, ale jak zjem jej za dużo,

rzucam ją. Staram się więc jeść po troszeczku.

Matt usiłował zrozumieć coś z jej aluzji i pozostał głupi.

- Co masz na myśli? Że chcesz się spotykać z innymi mężczyznami?

Uczepiła się tego, co sam jej podpowiedział. Wykorzystałaby wszystko, każdy wykręt, byle tylko trzymać się jak najdalej od jego objęć i pocałunków.

- Tak, z milionami innych facetów. Teraz sobie pójdziesz?

Matt chciał jednak zyskać trochę czasu.

- Nie.

Zasiadł z powrotem przy stole, tym razem do zimnego kurczaka.- Jestem na wakacjach. A ty jesteś moim przewodnikiem.

Patrzyła na niego z niedowierzaniem.

- Przecież właśnie oznajmiłam ci...

- Nie jestem głuchy. Będę respektował twoje życzenia. Rozumiem cię. - Każdym słowem wbijał sobie nóż w serce, ale udawał, że wszystko jest w porządku. - Nie umawialiśmy się przecież, że nie będziemy się spotykać z innymi - przypomniał jej.

Nie kocha jej. Rose zdała sobie z tego sprawę z przeszywającym bólem w okolicy serca. Zraniła wyłącznie jego dumę, tylko duma kazała mu jechać za nią. Teraz na domiar złego otrzymał dowód, że wciąż ją pociąga. Dokładnie o to mu chodziło, o nic więcej.

Durny pajac.

Matt zabrał się do deseru, nie czując właściwie, co wkłada do ust. Był zmuszony grać dalej i ukrywać przed Rose swoje autentyczne uczucia.

- Pycha. Radzę ci spróbować.

Rose o mały włos nie rzuciła mu ciastkiem w twarz.

- Dziękuję. Straciłam apetyt.

Z tymi słowy opuściła taras. Na szczęście Matt nie zdążył zobaczyć jej łez.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Beth wróciła do domu zmęczona. Pamiętała jednak, żeby przyłożyć ucho do drzwi swojego apartamentu, zanim przekreśli klucz w zamku.

Zrobiła to i zmarszczyła brwi strapiona. Uprzytomniła sobie, że to drzwi przeciwpożarowe i żadną miarą nie usłyszy niczego, co dzieje się po drugiej stronie, jeśli w ogóle coś się tam dzieje.

Godzinę temu skończyła lekcje. Zamiast iść od razu do domu, wybrała się z kilkoma swoimi studentami na filiżankę cappuccino. Oj, bywało, wspominała z czułością, że balowała w mieście do świtu, racząc się napojami o znacznie większej mocy. Niestety, myślała z żalem, wszyscy zmuszeni są iść na kompromis ze swoim wiekiem. I jej to także dotyczy.

Kiedy studenci zaczęli się rozchodzić, napomykając, że następnego dnia muszą wstać wcześniej za zajęcia, Beth, w romantycznym nastroju, przejechała się jeszcze przez park dorożką. Jechało jej się tak cudownie jak przed laty. Poprzednim razem odbyła taką przejażdżkę ze swoim zmarłym mężem, Edwardem.

Ten ostatni był najlepszy, myślała, wpadając w sentymentalny nastrój. Był jej aniołem stróżem. Z całą pewnością pozostałby dotąd

małżeństwem, gdyby Edward nie zmarł na atak serca.

Życzyła swojej bratanicy takiej miłości, jaką znalazła w końcu z Edwardem.

Rose ma ją właśnie pod nosem. Ten chłopak Carsonów kryje w sobie spory potencjał. Wystarczyło jej tylko na niego spojrzeć. Zobaczyła to w jego oczach. To prawda, jego oczy były oknami duszy.

Nie pozwoli, by stary, bezsensowny spór zniweczył szanse Rose. Matt z miejsca przypadł jej do gustu. Być może trochę i z tego powodu, że przypominał jej ostatniego męża.

Westchnęła i włożyła klucz do dziurki. Obróciła go powoli i uchyliła drzwi.

Cisza.

Dyskretnie i uważnie otworzyła drzwi nieco szerzej, tyle tylko, by zdołała się przez nie przecisnąć. Weszła na palcach ostrożnie i rozejrzała się. Liczyła na to, że ujrzy porozrzucane na podłodze ubrania, tworzące ścieżkę od tarasu do drzwi sypialni Rose.

Tymczasem nie widziała żadnych ubrań, żadnego bałaganu. Wszystko było na swoim miejscu, dokładnie tak, jak przed jej wyjściem.

Walcząc z rozczarowaniem, Beth pomaszerowała na taras. Inspekcja nie wypadła zadowalająco. Świece zostały zgaszone. Korzystano tylko z jednego talerza. Na drugim leżała sałata, którą ktoś najwyraźniej bawił się, ale nawet jej nie spróbował. To pewnie Rose, stwierdziła przygnębiona.

Westchnęła głęboko. Świece, księżyc i muzyka, i wciąż nic. To będzie trudniejsze, niż sądziła.

Wracając do salonu, zamknęła za sobą drzwi na taras. Pracownicy od Claude'a mieli zjawić się następnego ranka, posprzątać i zabrać

naczynia. Beth była jednak o wiele bardziej zainteresowana tym, co dzieje się w mieszkaniu.

Nie śpią jeszcze? Siedzą zamknięci każde w swoim pokoju i spoglądają tęsknie na dzielącą ich ścianę? Wyobrażała to sobie. Oboje są zbyt uparci, żeby zrobić pierwszy krok, a każde z nich umiera z miłości do tego drugiego.

To jest sytuacja godna scenicznego dramatu. Może któregoś dnia uda jej się go sklecić. Ale na razie musi pozbierać protagonistów przyszłego dramatu i pokazać im światło.

Przygryzła wargi, dumając, z kim odbyć rozmowę jeszcze tego wieczoru. A może lepiej wziąć na wstrzymanie i poczekać, co przyniesie rano?

Zostawianie spraw ich własnemu biegowi nie leżało co prawda w naturze Beth, ale też nigdy nie ulegała bezkrytycznie emocjom. Była świadoma ryzyka, jakie niesie ze sobą zbyt stanowcze popychanie czegokolwiek do przodu.

Jej rozważania przerwało raptem skrzypienie otwieranych w głębi korytarza drzwi. Po chwili zobaczyła Matta, który wyłonił się z cienia. Niósł w ręce walizkę.

Wyglądało to poważnie. Beth natychmiast znalazła się przy nim. Objęła go długim, baczym spojrzeniem, zawieszając wzrok na walizce.

- Rozumiem, że należysz do tych ekscentryków, którzy nawet wybierając się na krótki spacer, nie potrafią rozstać się ze swoimi rzeczami.

Matt był zaskoczony, nie spodziewał się spotkać jej na nogach o tej porze. Sądził, że wszyscy domownicy już śpią. Zapomniał, że jest w

mieście, które nigdy nie śpi. Niechybnie dotyczy to także niektórych jego mieszkańców, pomyślał.

Nie znał wszystkich nazwisk, jakie Beth odziedziczyła po swoich licznych mężach, nie wiedział też, które z nich nosi obecnie. Zwracał się zatem do niej jej nazwiskiem panińskim.

- Wracam do domu, pani Wainwright.

Ale nie bez mojej bratanicy, powiedziała sobie w myśli Beth. Położyła rękę na walizce Matta z oczywistym zamiarem.

- Daj mi ją, chłopcze. - W jego oczach widziała protest. - Nie chciałabym o nią walczyć, ale zrobię to, jeśli mnie do tego zmusisz. I nie patrz na mnie takim wzrokiem, nie jestem starą wariatką. Jestem za to o wiele silniejsza, niż ci się wydaje.

Matt roześmiał się.

- Nie uważam pani za wariatkę. Ani za starą - do- dał szybko.

Potrafił na pierwszy rzut oka poznać próżność. Co prawda próżność Beth była ujmująca, ale i tak przeczuwał, że w kwestii wieku mógłby łatwo zranić jej uczucia.

Uśmiechnęła się do niego szeroko, klepiąc go w policzek. Kochany chłopiec.

- Wiedziała, że nie bez powodu od razu cię polubiłam. Odstaw walizkę, chłopcze, i usiądź na minutkę.

Nie chciał jej odmawiać. Z drugiej strony nie widział sensu w pozostawaniu tam choćby minutę dłużej. Rose życzy sobie, by się wyniósł. Nie zamierzał błagać jej, żeby to ponownie rozważyła.

Mężczyzna ma w końcu swoją dumę.

- Będzie najlepiej, jak sobie pójde.

Beth nie przyjmowała do wiadomości takiej odpowiedzi.

- Wy młodzi tak się wszyscy gdzieś spieszycie, a jak już docieracie na miejsce, nigdy wam się nie podoba. Zostań trochę. Daj sobie szansę.

Już dał sobie szansę i pofatygował się aż tutaj, żeby nakłonić Rose do powrotu. Gdyby żywiła do niego prawdziwie ciepłe uczucia, nie trzeba by jej było w ogóle namawiać. Wystarczyłby pocałunek na tarasie. Dla niego był zadowalającym dowodem. Może jednak Rose ma rację. Może to wyłącznie fizyczny pociąg. Pożądanie, które mija z czasem.

- Popełniłem już błąd, że tu w ogóle przyjechałem. Beth potrząsnęła stanowczo głową.- Nie, robisz błąd, poddając się.

To brzmi tak przekonywająco. Czy Rose coś ciotce mówiła?

- Skąd ma pani tę pewność?

Siadając na sofie w salonie, Beth gestem poprosiła go o zajęcie miejsca. Dosiadł się, nie miał wyjścia. Łudził się, że usłyszy coś, co rzeczywiście do niego przemówi.

- Jestem już stara. W każdym razie starsza - poprawiła się Beth. - Przeżywałam to więcej razy, niż ty masz palców u rąk i nóg. No i doskonale znam się na ludziach. Nawet minuty wam się nie przyglądałam, a już mnie uderzyło, jak bardzo się kochacie.

To aktorka, dramatyzuje i przesadza, myślał Matt. Nie da się na to nabrać, nie odzyska nadziei bez jakiegoś namacalnego dowodu. Siedział cicho, bo nie potrafił powiedzieć jej tego w jakiś grzeczny sposób.

- Ona sama oświadczyła mi, że to koniec, pani Wainwright.

- Beth - poprawiła go. - Jak słyszę „pani Wainwright”, to od razu widzę swoją matkę. A wierz mi, że w niczym jej nie przypominam - zapewniła go.

Jej matka była purytańska i konserwatywna. Całe życie spędziła u boku jednego mężczyzny. Stała przy nim, rodziła mu dzieci i znosiła ze stoickim spokojem jego obraźliwe słowa. Pomimo to Beth nigdy nie była pewna, czy matka kochała jej ojca. Przy jej łożu śmierci przysięgła sobie, że rękami i nogami będzie się bronić przed takim życiem.

- Mów dalej, nie chciałam ci przerywać. - Uśmiechnęła się do niego zachęcająco.

Matt zacytował jej dowód, który z tuzin razy roztrząsał wte i wewte.

- Rose stwierdziła, że to koniec. Powiedziała to tutaj, powiedziała to w Mission Creek. Muszę jej uwierzyć, nie widzę innego rozwiązania.

Beth wystąpiła z natychmiastową ripostą.

- A co mówią ci jej oczy?

Spojrzał na nią zmieszany. Spodziewał się z jej strony płomiennej przemowy na rzecz ich romansu, ale nie czegoś takiego.

- Jej oczy?

- No tak, jej oczy. Ciało podporządkowuje się umysłowi. Słowa są bez znaczenia, chłopcze. Przekonasz się o tym, jeśli jeszcze tego nie wiesz. Uczucia kryją się w oczach. Chyba że masz do czynienia z agentem CIA. Clarence był w CIA.

Ta kobieta zmienia kierunek szybciej niż piłeczka pingpongowa podczas mistrzowskich rozgrywek.

- Clarence?

Z ust Beth wymknęło się tęskne i niewiarygodnie młodzięcze westchnienie. W jednej chwili przeniosła się do czasu, gdy nie śniło jej się jeszcze o trzydziestce, a jej doświadczenie życiowe nie było tak bogate.

- Clarence Montgomery. - Mrugnęła lubieżnie. - James Bond

mógłby się od niego niejednej rzeczy nauczyć. Ja się nauczyłam. - Zdała sobie sprawę, że zbacza z tematu. - Wybacz tę mimowolną dygresję. Na czym skończyłam?

- Pytała mnie pani, czy zaglądałem w oczy Rose - odparł uprzejmie. Beth rozpromieniła się.

- A tak. - Podniosła na niego wzrok. - No i co? Oczy Rose były niczym dzikie fiołki na łące. Absolutnie hipnotyczne.

- To przez nie wpadłem. - Wykrzywił wargi z dezaprobatą. - Co gorsze, mogę nigdy z tego nie wyjść.

Poklepała jego dłoń uspokajająco.

- Wyjdiesz, mój chłopcze, wyjdiesz, ale na pewno nie wtedy, kiedy zwiejesz do domu.

Mogliby tak ciągnąć ten temat przez calutką noc, i nic by to nie zmieniło.

- Ja nie uciekam. Po prostu patrzę realnie. Beth przygwoździła go spojrzeniem.

- Ty dałeś za wygraną.

Wzruszył ramionami i odwrócił wzrok,

- Może po prostu doszedłem do wniosku, że nie potrzebuję wakacji.

Przycisnęła jego dłoń swoją.

- Może wakacji nie, ale kobiety potrzebujesz. A ona potrzebuje ciebie. - Zniżyła głos. - Bardziej, niż ci się wydaje.

Czy ta kobieta zwyczajnie wymyśla, czy ma jakieś podstawy, by tak twierdzić? Matt zadał sobie to pytanie, a potem zwrócił się z nim do Beth.

- Tak? Mówiła coś? Powiedziała coś o mnie?

W jego głosie słysząc było skrywane zainteresowanie. Beth bardzo

kusiło, żeby wyznać mu całą prawdę. Ale w ten sposób zdradziłaby zaufanie bratanicy, a tego nie mogła zrobić, choćby z najszlachetniejszych pobudek.

Zresztą nie wykorzystwała jeszcze wszystkich dostępnych środków. Trzeba je najpierw wypróbować.

- Zajrzałam jej w oczy - powiedziała.

Znowu te oczy. Zaczyna gadać jak Cyganka, co zamiast z listków herbaty czy kart, wróży z oczu. Niezły chwyt, ale jego to nie rusza.

- No cóż, ja chyba nie posiadam tego daru - powiedział, wstając.

Beth chwyciła go za rękaw i pociągnęła z powrotem na sofę.

- Nie szkodzi, Matt. Mam go za ciebie. Zostań - namawiała go. -

Chociaż dzisiaj. - Zerknęła na czarną noc za drzwiami na taras. - To nie pora wałęsać się po Nowym Jorku. Gwarantuję ci, że zrobiono już w mieście porządek, ale daleko mu do spokoju Mission Creek. Nie wychodź i nie szukaj guza.

Największego nabił sobie akurat w pobliżu, pomyślał. W pokoju obok.

Beth miała jednak słuszość. Nie ma sensu łązić po nocy. Nie zarezerwował sobie nawet biletu powrotnego. - Może ma pani rację.

Beth ucieszyła się, szczęśliwa, że tak łatwo się poddał.

- Matthew, drogi chłopcze, szybko przekonasz się, że ja nigdy się nie mylę. A jak się zdarzy, że nie mam racji, robię wszystko, żebym ją miała. - Mrugnęła do niego, dając mu do myślenia, czy żartuje, czy też mówi serio. - A teraz marsz do łóżka. Przygotowałam dla ciebie na jutro plan zwiedzania, musisz nabrać sił.

Matt zdał sobie sprawę, że powtarzanie jego deklaracji powrotu do

domu straciło sens. Może faktycznie pospieszył się, za szybko dał za wygraną. Może uciekał od czegoś, czego nie potrafi dokładnie nazwać, a co przeraża go swym ogromem.

Towarzyszyło mu w życiu takie oto motto: zaangażowanie emocjonalne to zbyt duży kłopot. Teraz te słowa straciły aktualność.

Skinał głową, ulegając tymczasowo namowom Beth.

- W porządku, chyba nic się nie stanie, jak zostanę na noc.

Beth podniosła się i wzięła jego walizkę, która stała obok.

- I trochę dłużej. A teraz zmykaj, dupku - powiedziała z najdoskonalszym teksaskim akcentem, wskazując hol.

Roześmiał się i pocałował ją w policzek.

- Dobranoc, ciociu Beth. - Zabrał walizkę z jej rąk. Tak, myślała odprowadzając go wzrokiem, wszystko się uda. I ona tego doczeka. Rose jest uparta, ale sam Archy wrzasnął kiedyś na Beth, gdy mieszkali jeszcze pod jednym dachem, że świat nie widział większego charakterniaka niż jego siostra.

Rose obudziła się na wpół żywa.

Większą część nocy wierciła się i przewracała. Mężczyzna, który znajdował się ledwie kilka metrów od niej, nie dawał jej spać. Ten sam mężczyzna, którego chciała widzieć w swoim łóżku, przeciwnie do tego wszystkiego, co mu nagadała.

Kiedy nareszcie zdrzemnęła się o brzasku, dostała ataku nudności. Pobieгла do łazienki i pochyliła głowę nad porcelanową misą, modląc się w duchu, żeby Matt nie zbudził się i nie usłyszał jej przypadkiem albo sam nie poczuł nagłej potrzeby skorzystania z łazienki.

Przysięgłaby, że to dziecko pozbawia ją wszelkich sił witalnych,

bladła przez nie tylko i chudła. A może to beznadziejność jej sytuacji jest wszystkiemu winna?

Była zbyt wyczerpana, żeby szukać w tej chwili rozwiązania tej kwestii. Nie miała siły dosłownie na nic, a zwłaszcza na spotkania z Mattem.

Potem ktoś zastukał do drzwi jej sypialni. Rose zdenerwowała się. Miała wrażenie, że jej mózg jest szkolną tablicą, po której ktoś drapie ostrymi pazurami.

- Odejdź, ja nie żyję! - zawołała i naciągnęła poduszkę na głowę, pragnąc, żeby jej słowa stały się prawdą. Ciekawe, czy można umrzeć z rozpaczy?

Słyszała spod poduszki, że ktoś porusza klamką. Wiedziała, że Beth chce dobrze, ale czuła się zbyt słaba, żeby mierzyć się z rana z jej żywiołem. Nie, nie tego ranka. Wyglądając spod poduszki, chciała z miejsca wymigać się z wszelkich planów Beth.

Słowa uwięzły jej w gardle.

Na progu jej pokoju stał Matt, wcale nie ciotka.

Poduszka zleciała na podłogę. Rose podciągnęła się do pozycji siedzącej, naciągając do siebie koc, jakby mężczyzna stojący w drzwiach po raz pierwszy widział ją nagą.

Dlaczego, na Boga, nie zostawi jej i nie pozwoli umrzeć w spokoju?

Matt miał przed oczami najpiękniejszą kobietę na świecie. Nie szpeciły tej urody przyprószone snem powieki ani zburzone włosy. Sam jej widok podniecał go.

Gdyby był innym facetem, zerwałby z narzuconymi sobie ograniczeniami i w jednej chwili wskoczyłby do jej łóżka. Był pewien, że

przy minimalnym wysiłku starłby protest z jej ust. Smak jej warg z poprzedniego wieczoru pozostał na jego wargach, zostawił trwały ślad w jego duszy i w pamięci.

Nie, myślał znowu, nie musiałyby się wysilać.

Posłał jej uśmiech, przypominając sobie paplaninę Beth.- Ładny dzień mamy.

Rose głośno wypuściła powietrze, wytrącona z równowagi.

- Tak, ładny, wiem to bez twojej pomocy. - Pokazała mu światło, które sączyło się do pokoju przez okno. - Czy masz dla mnie jeszcze inne wstrząsające wiadomości?

Drażliwa bestia. Nie jest do tego przyzwyczajony. Będzie musiał pokonać tę przeszkodę. Oparł się o framugę i skrzyżował ręce na piersi. Mógłby tak stać, patrzeć na nią i fruwać gdzieś myślami.

Gdyby to było możliwe! Musiał, niestety, przejść do rzeczy i odpowiedzieć jej coś.

- Zastanawiałem się, kiedy zaczniemy?

- Zaczniemy? - powtórzyła półprzytomnie. Co on, do diabła, sugeruje? Co znowu wymyśliła Beth? - Co mamy zacząć?

Spojrzał na nią rozbijając.

- Zapomniałaś, że masz być moim przewodnikiem? Twoja ciotka była tak miła, że przygotowała mi plan zwiedzania.

Rose miała ochotę wyć. Do diabła z planem! Beth powinna trzymać jej stronę, a nie bratać się z wrogiem.

- Dalej udajesz turystę?

Uważała, że ten podstęp poszedł w odstawkę poprzedniego wieczoru. Przecież on nie ma najmniejszej ochoty oglądać miasta. Pragnie

jedynie zaspokoić swoją dumę, którą zraniła, porzucając go. Matt uśmiechnął się do niej. Walczyła ze sobą, żeby mu nie ulec.

- To moja wersja i będę się jej trzymał. - Patrzył jej prosto w oczy. Może Beth potrafi czytać z oczu. On nie posiadał tej zdolności. Nie wiedział, co chodzi Rose po głowie, kiedy tak na niego patrzy, dla niego czytelna była wyłącznie jej złość. - Podobno to najbardziej fascynujące miasto w tym kraju. Spróbuj mnie zafascynować.

- Ja nie jestem Nowym Jorkiem.

- Ale znasz go lepiej ode mnie - zauważył. - Chyba nie chciałabyś, żebym się zgubił? To niebezpieczne, mogłoby mi się przytrafić coś złego. Nie wybaczyłabyś sobie do końca życia.

Rose westchnęła. Prawie całą jej tolerancję pochłaniało dziecko. Matt i Beth wydzielali jakieś resztki. Znajdowała się w mniejszości, co nie nastawiało jej pozytywnie ani przyjaźnie do świata.

- Nie bądź taki pewny.

A on właśnie był pewny swego. Założyłby się nawet śmiało. Postawiłby farmę, ranczo i jeszcze kawał ziemi. Zrobił krok i wszedł do pokoju. Rose patrzyła na niego pełna rezerwy.

- Przyniosę ci śniadanie. Zostało trochę sałatki owocowej z wczorajszego wieczoru.

Skrzywiła się z niesmakiem.

- Tylko sok jabłkowy.

Ostatnimi czasy nic więcej nie była w stanie przełknąć rano, a zdarzało się, że i ów sok ją odrzucał. - Nie chcesz kawy?

Na samo wspomnienie kawy skręcał jej się żołądek.

- Nie, żadnej kawy. - Zaczęła gramolić się z łóżka. Matt stał wciąż

w tym samym miejscu i patrzył na nią. - Chciałabym się ubrać.

- Ostatnio nie przeszkadzało ci, że patrzę, jak się ubierasz - przypomniał jej z chytrym uśmiechem.

Ona też to pamiętała. Pamiętała, jak wślizgiwała się w sukienkę otulona jego ciepłym spojrzeniem.

- To było wtedy, a teraz jest teraz. - Matt ani drgnął. Podniosła pantofel i rzuciła w niego. - Idź sobie.

- Już idę, idę. - Uchylił się ze śmiechem i wyszedł. Pantofel trafił w zamknięte drzwi i wylądował na podłodze.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

W tymczasowej siedzibie baru Men's Grill, Spencer Harrison wyłączył swój telefon komórkowy i zmarszczył czoło. Nikt nie odpowiadał. Nie po raz pierwszy zresztą. Wygląda na to, że to nie przelewki.

Nie miał najmniejszej ochoty zadrećcać się bez powodu. A jednak, wkroczywszy w trzecią dekadę życia i zostawszy prokuratorem okręgowym, Spence wpisał się w najgorszy scenariusz w swym dotychczasowym życiu. Nieporównanie gorszy niż służba w marines, podczas której został jeńcem wojennym w towarzystwie swoich kumpli: Tylera, Ricky'ego i Flynta.

To Spence dodawał im wtedy otuchy, z głęboką wiarą, że ktoś, zapewne ich dowódca, Phil Westin, odnajdzie ich i pomoże wydostać się z tego piekła. I tak się stało. Westin wymyślił i zrealizował plan uwolnienia swoich chłopców. Spence, były młodociany przestępca, dla którego

przewidziano rychły koniec, pewnego dnia został w cudowny sposób ściągnięty z prowadzącej do destrukcji ścieżki. Podarowano mu wówczas drugą szansę. Od tamtej pory jego znakiem rozpoznawczym był optymizm. Mimo to życie wchodziło weń z butami, podkopując jego optymistyczne skłonności. Spence dość wcześnie poznał pewną paskudną cechę życia, które podnosi się i wali cię prosto między oczy, kiedy najmniej się tego spodziewasz.

Do diabła z tym, wystarczy zobaczyć, co stało się z ich dowódcą. Został wysłany do Ameryki Środkowej z tajną misją. Miał tam zgnieść pewnego narkotykowego bosa, którego długie macki sięgały coraz dalej w głąb Teksasu. Spence wiedział, że Westinowi może się udać rozprawa z El Jafe'em, jeżeli w ogóle komuś ma się udać.

Gdyby Westin został w marines, mówiłoby się, że zaginął w toku działań. Teraz po prostu nikt nie wiedział, gdzie facet się podziewa. Na domiar złego, Spence nie mógł złapać Luke'a.

Jak się orientował, nikt nie widział go od kilku tygodni. Luke Callaghan był ekscentrycznym milionerem i playboyem, i nie musiał się przed nikim tłumaczyć. A jednak było coś niepokojącego w tym braku kontaktu. Luke mógł, oczywiście, wyrwać się gdzieś w ułamku sekundy, kiedy tylko przyszła mu ochota, i często znikał.

Ale tym razem... Spence siedział zadumany, obserwując bacznie, jak bursztynowy płyn zalewa wnętrze szklanki, którą kręcił w rękę. Tym razem czuł, że jest inaczej. Wcześniej przyjaciel był jednak jakoś osiągalny, choćby przez pager wbudowany w jego zegarek marki Rolex, czy też telefon komórkowy, z którym się nie rozstawał.

Spence nie mógł się z nim skontaktować w żaden z tych sposobów.

Wówczas poczuł strach, który rósł z każdą chwilą.

Wiedział, że Luke posługuje się komórką najwyższej jakości, cudem techniki, który jest wyłącznie w użyciu członków rządu. Telefon ten nie zna awarii i nigdy nie traci zasięgu. A zatem, co się dzieje?

Gdzie, u diabła, podziewa się Luke?

Podniósł wzrok i spojrzał w stronę drzwi, przywołany tam jakimś ruchem. Tyler Murdoch i Flynt Carson weszli właśnie do środka. Dzwonił do nich wcześniej, prosząc o to spotkanie.

- No, znowu razem w wodopoju - stwierdził Flynt, witając się skinieniem głowy, i usiadł.

Po drugiej stronie Spence'a siadł Tyler i się rozejrzał. Ten był ekspert w rozróżkach wyglądał na zdenerwowanego. Flynt spytał z ciekawości:

- No, co jest? - i spojrzał na swojego sąsiada przy stole.

Tyler bezgranicznie ufał Flyntowi i Spence'owi, choć nigdy nie przyznałby się do tego w żywe oczy. Oddałby za nich życie. A gdyby znalazł się kiedykolwiek w skrajnym położeniu, czekałby na odsiecz spokojnie pod warunkiem, że przyszlaby z rąk któregoś z nich, ewentualnie jeszcze Luke'a, Westina czy nawet Ricky'ego Mercado. Pomimo ostatnich zadrażeń między Rickym i pozostałymi kumplami.

- Od wybuchu bomby za każdym razem, kiedy tu wpadam, czuję się trochę nieswojo. - Zlustrował tymczasowy lokal. - Wydaje mi się, że za moment znowu coś huknie.

Flynt wzruszył ramionami, lekceważąc podobne lęki.

- Bomby z zasady nie wybuchają dwa razy w tym samym miejscu.

Tyler wziął do ręki jadłospis i otworzył go.

- To mnie wcale nie przekonuje.

- To nie miało z tobą nic wspólnego. To nie był przypadkowy wybuch - przypomniał mu Flynt. - Już wiemy, że ta bomba była przeznaczona dla Westina, żeby przeszkodzić mu w wyjeździe do Ameryki Środkowej z tą jego misją. Szeryf Stone chciał zyskać absolutną pewność, że nikt i nic nie stanie na przeszkodzie jego słodkim interesom z El Jafe'em, jego i tej jego bandzie pachołków.

Stone i inni mężczyźni należący do grupy, która nazwała się Jaskinią Lwa, od eksplozji siedzieli za kratkami i czekali na proces. Zlikwidowano przynajmniej jedną mackę El Jafe'a, ale wszyscy dobrze wiedzieli, że istnieje ich więcej. I to wcale nie mało.

- Stone niepotrzebnie się wysilił - zauważył cynicznie Tyler - wiedząc, że Westina i tak gdzieś tam dopadną.

Starał się nie martwić się o swojego byłego dowódcę, lecz nie przychodziło mu to łatwo. W Ameryce Środkowej nie brakuje miejsc, gdzie człowiek może zaginać bez wieści. Był jednak bezradny, a skoro tak, starał się nie zaprzętać sobie tym głowy bez ustanku. W zamian przeniósł spojrzenie na kelnerkę o miodowych włosach, która podeszła do ich stolika. Przez sekundę widział w niej coś znajomego, ale zaraz odrzucił taką ewentualność.

- Szkocką - zamówił i odwrócił się do kolegów. - Rozumiem, że wciąż nic nie wiadomo o Westinie?

Spence potrząsnął głową.

- Nic. - Zaczekał, aż Flynt zamówi i poprosił o powtórkę. - A skoro mowa o zaginionych, czy któryś z was dostał jakiś sygnał od Luke'a?

- Czemu pytasz? - spytał Tyler. - Sądzisz, że to jednak on jest

ojcem?

Pytanie padło z lewej flanki. Spence dokończył drinka i odstawił szklankę w chwili, gdy wróciła do nich kelnerka.

- Czyim ojcem?

- Dzieciaka, którego znalazł Flynt. Leny. No, stary, myślałem, że prokuratorzy okręgowi mają obowiązek być inteligentni - zażartował Tyler. - W twoim wypadku widocznie obniżyli wymagania. - Spojrzał baczniej na przyjaciela i jego uśmiech zniknął.

- Co jest, Harrison? Masz taką minę, jakbyś dźwigał na barkach cały świat. - Zaczął się niepokoić. Taka powaga jest niepodobna do Spence'a.

- W jakim celu nas tu dziś zwołałeś? Odebrawszy szklankę od kelnerki, Spence skinął głową z podziękowaniem i pociągnął porządny łyk. Chciał znieczulić się choćby na krótki moment.

- Żeby się pogapić na wasze wstrętne mordy - odparował, po czym dodał bardziej serio: - I żeby dowiedzieć się, czy Luke kontaktował się z którymś z was.

- Ze mną nie - zapewnił Flynt, pociągając z własnej szklanki.

- Ze mną też nie - dodał Tyler. - Nie sędzę, żeby gadał z Rickym. - Wszyscy trzej wiedzieli, że piąty członek ich koleżeńskej grupy, która przeszła razem przez Military Institute w Wirginii i wojnę z Zatoce, odłączył się od nich.

Rodzina Ricky'ego Mercado przez jego wuja miała powiązania z teksaską mafią. Wuj był głową jednej z mafijnych rodzin, zaś ojciec Ricky'ego, Johnny, należał do niej wyłącznie dla świętego spokoju. Został wciągnięty podstępnie i trwał tam wyłącznie ze względu na bezpieczeństwo najbliższych. Wysiłki Johnny'ego, żeby się od nich

odczepić, spełzały na niczym. Dla przestrogi mafia zlikwidowała jego żonę. Ricky z kolei wyraźnie uległ wabikowi mafii i opuścił dawnych przyjaciół z powodu sporu, jaki wywiązał się po śmierci jego siostry. Haley Mercado utonęła, znajdując się w towarzystwie Luke'a, Spence'a, Flynta i Tylera. Chłopcy wypili za dużo i zabrali Haley na łódź. Dziewczyna wypadła za burtę. Nawet tego nie zauważyli, a kiedy się zorientowali, że brak jednego pasażera, było już za późno. Ricky nigdy nie wybaczył tego swoim kumplom z wojska.

Tyler pochylił się do przodu i spojrzał na Spence'a.

- Martwisz się o Luke'a?
- Wszystko się może zdarzyć - rzekł Spence, broniąc swojego niepokoju. - Weź Westina.

Wszyscy trzej bardzo starali się nie tracić nadziei co do swojego byłego dowódcy.

- Nie przesadzaj z tym Lukiem - odezwał się Flynt. - Facet jest bogatszy od samego Pana Boga, a poza tym potrafi się pilnować.

- Tak samo mówiliśmy o Westinie - przypomniał im Spence.

Wyjął po raz kolejny telefon komórkowy.

Haley Mercado alias Daisy Parker, kelnerka z klubu golfowego Lone Star, słysząc, jak trzej mężczyźni, którym serwowała drinki, wspominają jej brata Ricky'ego, poczuła szybsze uderzenia serca. Byli to ci sami mężczyźni, których oskarżono o nieumyślne spowodowanie jej niby przypadkowej śmierci. Dowiedziała się o owych oskarżeniach po fakcie. Siedziała już wtedy w Londynie, gdzie przeszła operację plastyczną.

Haley sama wyreżyserowała swą pozorną śmierć, bo tylko dzięki

niej mogła pozostać przy życiu. Po jakimś czasie odkryła, że to sędzia Carl Bridges zorganizował jej ucieczkę, i to on uwolnił czterech mężczyzn od zarzutów. Ten sam sędzia opowiedział jej o matce i zaaranżował jej wizytę w szpitalnym pokoju matki w przebraniu zakonnicy. Było to ostatnie spotkanie matki i córki. Matka Haley tamtego wieczoru zmarła. Oficjalny powód jej zgonu nie był prawdziwy. Isadora Mercado została uduszona.

Trzej mężczyźni przy stoliku nie wymienili po raz drugi imienia Ricky'ego. Rozmawiali teraz o Luke'u. Zdaniem Spence'a, Luke zaginał. Strach ścisnął serce Haley.

Odeszła szybkim krokiem. Bała się, że któryś z nich mógłby ją w końcu rozpoznać, pomimo jej niebagatelnych starań, by ukryć swą tożsamość. Poruszanie się pośród nich incognito w niewielkim stopniu dodawało jej siły. Lecz wiązał się z tym również lęk, że jeden czy drugi spojrzy jej kiedyś w oczy i zobaczy w nich tamtą dziewczynę sprzed lat, która wlokła się za Lukiem krok w krok, zakochana w nim do szaleństwa.

Dziewczynę, z powodu której o mały włos nie wylądowali za kratkami.

Co jest? Przecież jest taka szczupła, że chyba może jeść? Matt Carson uśmiechnął się pod nosem.

To była pierwsza myśl, jaka wpadła mu do głowy, gdy któregoś pięknego dnia wszedł do biblioteki, szukając w starej gazecie poleconego mu przez kogoś artykułu na temat hodowli koni. Rose siedziała za usytuowanym centralnie biurkiem. Kiedy zbliżył się do niej, spytała uprzejmie, czym może mu służyć.

Zatrzymał dla siebie odpowiedź, która z miejsca przyszła mu do

głowy. Rose nie wyglądała na dziewczynę, która angażuje się w ryzykowną wymianę zdań. Zapytał zatem, czy mógłby zabrać ze sobą to, co sobie wybierze. Powiedziała: „Tak”. Wtedy dopiero spytał, czy mógłby zabrać ją.

O mały włos nie wyrzuciła go za drzwi. Wycofał się więc i zapytał o artykuł. Odesłała go do komputera. Znaczyło to, że miał zmierzyć się z czymś, od czego trzymał się z nabożną czcią z daleka. Musiał zdać się na litość Rose i poprosić ją o pomoc. A jej nie pozostawało nic innego, jak spełnić jego prośbę.

Gdy udało im się odnaleźć artykuł i wydrukować go, Matt był już kompletnie pod urokiem jej uśmiechu, jej delikatnego ciała, które poruszało się tak zgrabnie pod jasnoniebieską sukienką, i zapachu jaśminu, który unosił się wokół niej podniecającą chmurką, zawracając mu w głowie.

Poprosił ją o randkę, nie znając jej nazwiska. Ona też nie wiedziała jeszcze, z kim ma do czynienia.

A kiedy odkrył, że dziewczyna z biblioteki nosi nazwisko Wainwright, zaniepokoił się, ale to go nie powstrzymało. W końcu nie miał poważnych zamiarów, myślał wyłącznie o dobrej wspólnej zabawie.

Za to dla Rose odkrycie, że ma do czynienia z synem Forda Carsona, stanowiło istotną przeszkodę. Odrzuciła jego zaproszenie na kolację. Odrzucała jego zaproszenia za każdym razem, kiedy się do niej zwracał. Później wyznała mu, że ujęła ją jego wytrwałość. Matt zaczął regularnie odwiedzać bibliotekę, żeby „poszperać w książkach” i skruszyć w końcu jej opór.

Bowiem Rose nie odstawiała broni. Żadna kobieta dotąd nie robiła

mu tego. Był zatem podwójnie zdeterminowany, żeby ją złamać. Kilkumiesięczna kampania, która w jego oczach trwała nieskończenie, przyniosła jednak pozytywne skutki.

Boże, myślał teraz, czy naprawdę warto było tak się trudzić?

Kiedy pocałował ją po raz pierwszy, tłumaczył się przed nią, że miała w kąciku ust kropelkę waniliowych lodów. Identyczną wymówką posłużył się na własny użytek. Zbliżając się do jej warg, czuł, że serce wali mu jak uczniakowi. Smakowała niebiańsko i natychmiast się od niej uzależnił.

Niedługo potem kochali się po raz pierwszy. Pamiętał wszystkie szczegóły tamtego skapanego w słońcu popołudnia na otwartym polu. To także stało się jego nałogiem. Teraz zdawał sobie już sprawę, że uzależnił się zatrwającąco.

Od samego początku nigdy nie miał jej dość. Pocieszał się, że Rose, tak jak wszystko, straci kiedyś dla niego atrakcyjność. To było już regułą w jego dotychczasowym życiu, choć nie doświadczył nigdy podobnych emocji. Jak by na to nie patrzeć, Rose stanowiła jego specjalną zdobycz, podbijał ją na nowo za każdym razem, kiedy się kochali.

Tylko że podczas owej kampanii, kiedy ją oblegał i szturmował jej przysiółki, coś się z nim stało.

Do tego stopnia okopał się, tak się zaciął, by wygrywać wszystkie kolejne potyczki, że utracił zdolność powrotu na swoją stronę szachownicy. Zagubił się do szczytu.

Chciał się odnaleźć, odnaleźć tamtego mężczyznę, który kochał swoją wolność ponad wszystko na świecie. Kłopot w tym, że zapomniał już nawet, jak tamten ktoś wyglądał.

Zaczął podejrzewać, że wolność to tylko alternatywne określenie braku zakorzenienia.

Wstał od stołu w jadalni, gdzie pił kawę z półsenną Beth. Ich rozmowa urwała się w pół słowa, kiedy Rose wyszła ze swojej sypialni i dołączyła do nich.

Matt nie widział dotąd Rose w takim stroju. Miała na sobie krótką, zawiązywaną w pasie spódnicę, która odkrywała jej zgrabne nogi, i kusą bluzkę w odcieniu elektryzującego błękitu, ledwie sięgającą jej do pępka.

Na widok tej kobiety ślinka napłynęła mu do ust.

Po krótkim namyśle odstawił swoją wypełnioną do połowy filiżankę i odezwał się:

- Jesteś gotowa?

W tym momencie Beth obudziła się do życia.- Ale, kochanie, nie możesz wyjść bez śniadania - zwróciła się do Rose.

Ada, półletatowa gospodyni, krzątała się w kuchni. Beth wychyliła się na krzesło, żeby zerknąć do sąsiedniego pomieszczenia.

- Ado, przygotuj dla Rose jajka.

Na wspomnienie jedzenia, jakiegokolwiek jedzenia, Rose zacisnęła mocno usta, stanowczo rozkazując swojemu żołądkowi, by przestał jej podchodzić do gardła.

- Tylko jeżeli chcesz, żebym nimi pożonglowała.

- Rose robiła wszystko, by nie okazać, jak nieznośnie męczą ją nudności, postarała się nawet o żart.

Ciotka nie dawała jednak za wygraną.

- Śniadanie jest najważniejszym posiłkiem w ciągu dnia.

Co ona wyprawia? - myślała przerażona Rose. Przecież wie, że

kobiety w ciąży cierpią na poranne nudności.

- Ja nie jadłam śniadań - oznajmiła niewzruszenie Rose. - Strasznie się potem robię ociężała i nie mogę się ruszyć.

Matt pragnął, aby Rose była tego dnia w jak najlepszym nastroju. Bo był to Dzień Pierwszy jego planu zdobycia z powrotem jej łask. Chwytał ją za rękę, a ona się wyrwała.

- Będę twoją przewodniczką, Matt - powiedziała

- ale musimy ustalić pewne zasady. Podstawowa zasada numer jeden: trzymamy się od siebie z daleka, żadnego dotykania. Po rozmowie z Beth poprzedniej nocy Matt doszedł do wniosku, że jego plan wymaga wyjątkowej cierpliwości.

- A jeśli autobus będzie zatłoczony?

- Weźmiemy taksówkę. Ty będziesz siedział po jednej stronie, a ja po drugiej. - Słyszała jego westchnienie i podniosła wzrok na jego twarz. - Inaczej nie ma mowy.

Skinął potulnie głową, poddając się jej wyrokowi. W głębi serca był jednak przekonany, że Rose szybko o tym zapomni. Kobieta, która całowała go minionego wieczoru na tarasie, nie będzie w stanie nieskończenie długo trzymać się zasad, które zrekonstruowała tego ranka.

- Niech tak będzie, skoro to konieczne.

Sięgnął po swego stetsona, który leżał na małym stoliku w salonie, gdzie zostawił go poprzedniej nocy. Spotkał się wzrokiem z Beth i puścił do niej oko, a ona posłała mu konfidencjonalny uśmiech.

Oho, chyba coś szykują, zaczęła podejrzewać Rose. A przecież ona ma więcej do stracenia, bo gra w imieniu dwóch osób.

Wzięła swoją torebkę ze stolika w holu i popatrzyła na Matta.

- Od czego chcesz zacząć?

Chwilowo stracił wątek, skupiony na jej nogach.

- Może wybierzecie się na szczyt Empire State Building - wtrąciła Beth. - Widok stamtąd jest niesamowity, no i tam King Kong kochał się z Fay Wray.- O ile się nie mylę, to było ich ostatnie wspólne wyjście - włączyła się Rose. - Zaraz po tym zerwali.

Matt jak przez mgłę pamiętał oryginalną wersję tej historii. Patrząc zdezorientowany to na jedną, to na drugą z kobiet.

- Chyba za wami nie nadażam. Czy ktoś tu nazwał mnie zwierzęciem?

Rose walczyła z uśmiechem, który pchał jej się na usta, mimo że nakazała sobie chłód i obojętność.

- Nic takiego nie powiedziałam.

Wciskając się między dwoje młodych, Beth wzięła każde z nich pod ramię i odprowadziła ich do drzwi wyjściowych.

- A potem - ciągnęła - możecie iść do któregoś muzeum sztuki. To doskonały sposób na spędzenie popołudnia - mówiła Mattowi. - Oglądanie tych wszystkich obrazów, których autorzy spełniali swoje marzenia na płótnie, wkładając w to ogromną pasję. - Spojrzała znacząco na bratanicę.

Wymieniły spojrzenia.

- Chcesz mi coś powiedzieć, ciociu?

Twarz Beth zamieniła się w świadectwo najczystszej niewinności.

- Tylko tyle, że należy cieszyć się każdą chwilą, bo jest jedyna i niepowtarzalna.

Rose zerknęła na Matta przez zmrużone oczy.

- Coś jest na rzeczy.

- Jeśli chcesz mnie obrazić, uprzedzam, że mam twardą skórę. -

Teraz, gdy podjął decyzję, musiałaby wysilić się o wiele bardziej, żeby go odesłać do domu. Rose, nie była w stanie powstrzymać uśmiechu. W jej pamięci jego skóra nie była taka twarda. Był silny, pod jego skórą rysowały się mięśnie, których dorobił się, spędzając całe dnie w siodle. Ale w żadnym wypadku nie powiedziałaaby, że ma twardą skórę. Rose przystanęła nagle i skarciła się za takie myśli.

- Bawcie się dobrze, kochani - rzekła Beth, popychając ich do drzwi.

- Zapłacę za twoje myśli - szepnął Matt do ucha Rose. Jego oddech tymczasem dotarł do jej zmysłów, pieszcząc delikatną skórę jej szyi.

Lepiej jak zachowa swoje myśli dla siebie, stwierdziła. A najlepiej byłoby, gdyby w ogóle nie myślała.

Wsiadli do windy, Matt wyciągnął rękę, by nacisnąć guzik, i po drodze otarł się o jej pierś. Cofnęła się raptownie, jakby ją poparzył.

- Przepraszam - mruknął, udając, że był to czysty przypadek, a nie wyrachowana kalkulacja.

Wzruszyła ramionami, pokazując, że nic się nie stało. A przecież stało się.

Stojąc obok Matta w ciasnym pudełku windy, która mknęła szybko w dół dwudziestu pięter, Rose nie mogła zapomnieć o swoich uczuciach do niego.

Zwłaszcza że nic nie straciły na aktualności.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Gdy tylko wyszli na ulicę, porwało ich morze ludzi.

Matt bez trudu wyobraził sobie, że człowiek łatwo ginie w takim tłumie. Patrząc raz w lewo, raz w prawo, widział masy samochodów stłoczonych na jezdni i hordy ludzi oczekujących na zmianę świateł albo przechodzących właśnie na drugą stronę ulicy, walczących z przechodniami na chodnikach i usiłującymi wykonać zakręt pojazdami.

W życiu nie widział tyle życia wciśniętego w tak ciasną przestrzeń, nawet w zagrodach dla bydła podczas znakowania.

Poziom hałasu również odbiegał od jego przyzwyczajień. Z tego powodu nachylił głowę do Rose, mówiąc:

- Mówiłaś, że ilu mieszkańców ma to miasto?

Rose przesunęła się odrobinę, nie życzyła sobie, żeby jego oddech na skórze przeszkadzał jej funkcjonować. I tak nieustannie czuła obok siebie jego obecność.

- Nic nie mówiłam - zauważyła. Rozejrzała się, zastanawiając się, dokąd skierować kroki. - Około ośmiu milionów.

- Czy wszyscy wyszli teraz nagle na ulicę? Poprzedniego wieczoru, gdy jego samolot wylądował na lotnisku Kennedy'ego, Matt skupił się wyłącznie na tym, by znaleźć mieszkanie Beth, i prawie nic poza tym nie zwracało jego uwagi. Prosto z terminalu pospieszył ku taksówkom, które czekały tylko, żeby którąś z nich wybrał.

Wsiadł do pierwszego pojazdu, który stał przy krawężniku, i podał kierowcy adres Beth, który zdobył nie bez kłopotów. Podjechał pod sam budynek. Nie zauważyłby wtedy nawet stada pingwinów w osiemnastowiecznych królewskich strojach, gdyby spacerowały tam w holu. Powtarzał sobie w myślach, co ma powiedzieć Rose, i starał się trzymać nerwy na wodzy. Na nic więcej nie starczało miejsca w jego umyśle.

Tymczasem zalewające ulice Nowego Jorku morze ludzi zaczynało gdzieś wsiąkać.

- Nie - odparła Rose, z powagą na twarzy. - Nie wszyscy wyszli na ulice.

A zaraz potem wybuchnęła śmiechem, przypominając sobie swoją pierwszą reakcję na to miasto. Miała wówczas dziesięć lat i była kompletnie oszołomiona. Wtedy też było lato. Ale jakoś nie zapamiętała takiej potwornej duchoty. Tamtego lata ciocia Beth przyjechała do Mission Creek z wizytą.

Przed wyjazdem zaproponowała, że weźmie jedno z dzieci ze sobą na miesiąc do Nowego Jorku. Susan była za mała. Justin nie wyraził zainteresowania metropolią. Tylko Rose zgłosiła się na ochotnika, popychana ciekawością świata.

Wydawało jej się, że odbywa wycieczkę do krainy cudów. Beth zabrała ją do teatru, do muzeów i do Village. Zadbła o to, by Rose poznała wszystko, co Nowy Jork ma do zaoferowania w dziedzinie sztuki i kultury. Miłe wspomnienia, wywołujące uśmiech.

- Co? - Matt lubił patrzeć, jak uśmiech rozjaśnia twarz Rose, niczym słońce, które przebija się o świcie nad zacienioną ziemią.

- Przypomniał mi się pierwszy pobyt tutaj. Tyle różnych języków,

taka masa rozmaitych ludzi. Myślałam, że jestem w jakimś obcym kraju. Wiem, że to może być dosyć męczące - przyznała.

Delikatnie mówiąc, pomyślał. Zmrużył oczy i popatrzył przed siebie. Ulica była lekko pochyła. Widział wielką gromadę ludzi, którzy sunęli powoli chodnikiem.

- Dzisiaj jest jakaś parada? Rose nie zrozumiała go.

- W środku lipca nie ma żadnej parady.

- To co to jest? - Wskazał tłum kilka przecznic dalej.

Z trudem wypatrzyła wejście do metra u wylotu przecznicy.

- Nic, ludzie idą do pracy.

- Aha. - Dla niego wyglądało to na jakiś masowy pochód, ale w końcu ona lepiej się na tym zna. - Skoro tak twierdzisz...Podniósł wzrok na budynek, z którego właśnie wyszli, po czym spojrział na sąsiednie wieżowce.

Potrząsnął głową. Podobały mu się tylko jedno drapacze chmur: wysokie góry.

- Człowiek czuje się tu jak karzeł - mruknął. Rose popatrzyła w górę, a następnie na Matta. Kącik jej ust uniósł się lekko z jednej strony.

- Potrzeba chyba czegoś więcej niż kilku wysokich budynków, żeby cię przytłoczyć.

Zdziwiła go ta uwaga, rzucona tak zwyczajnie. Powoli zaczynał czuć w piersiach jakieś ciepło. Może jego przyjazd nie jest jednak zupełnie pozbawiony sensu? Może Beth ma rację i jest dla niego nadzieja.

- Dziękuję.

Rose uniosła ramiona. Zbyt późno zdała sobie sprawę, że popełniła błąd. Musi uważać, bo inaczej Matt pomyśli, że ona tylko udaje

obojętność.

- Po prostu mówię, jak jest.

Nie rozumiał jej zachowania, skoro naprawdę tak o nim myśli.

- To czemu...

Położyła palec na jego wargach, nie dając mu wyrzec ani słowa więcej.

- Zasada numer dwa - oznajmiła. - Ta wycieczka uda się pod warunkiem, że nie będziemy poruszać pewnych tematów. Na przykład niedawnej przeszłości. - Opuściła palec, bo zdała sobie sprawę, że jego wargi są niepokojąco blisko. - Postarajmy się tylko spędzić miło ten dzień, dobrze?

Gdyby wiedziała, jak bardzo musiał się kontrolować, żeby nie porwać jej w objęcia i nie całować, nie zważając na miejsce, aż do utraty przytomności. Chyba tylko jakimś cudem udawało mu się nie wypaść z roli, którą sobie narzucił.

- Dobrze, ale ty właśnie złamałaś zasadę numer jeden. - Rose spojrzała na niego zdumiona, a on zaraz to rozwinął: - Mieliśmy się nie dotykać, tak?

Nie potrafiła pohamować uśmiechu, chociaż w ten sposób działała na swoją niekorzyść.

- Ta zasada dotyczy ciebie, nie mnie.

- Aha. - Przez chwilę udawał, że się nad tym zastanawia. - To chyba niesprawiedliwe.

- Nie - powiedziała bardziej do siebie niż do niego. - Na świecie jest wiele niesprawiedliwości.

Nie mogła jednak dłużej rozwodzić się nad tym, nie mogła ciągle

rozpamiętywać niesprawiedliwości, która ich rozdzieliła i która odsunęła od niego ich dziecko. W przyływie stanowczości Rose przebudziła się:

- Więc tak. Ciocia Beth mówiła, żebyśmy zaczęli od Empire State. Łapmy taksówkę. Chociaż... - Zawiesiła głos, patrząc na ulicę, po której wlokła się nie kończąca się ławica samochodów, a wszystkie na dodatek trąbiły klaksonami. Ławica ta upstrzona była niemałą ilością taksówek, które poruszały się w tym samym tempie co pozostałe pojazdy. - Może więcej zobaczysz, jak pójdziemy piechotą.

Oceniając prędkość pojazdów, Matt pomyślał w duchu, że zapewne dużo lepiej będzie powłóczyć się i zaufać własnym nogom. Wziął Rose pod ramię.

W pierwszym odruchu chciała zostawić rękę przyciśniętą do jego boku, gdy zaczęli torować sobie drogę przez owo morze ludzi, ale zaraz odezwał się jej instynkt samozachowawczy i kazał wyplątać się, by zachować choćby strzęp linii granicznej, którą starała się narzucić im obojgu.

- Zasada numer jeden - przypomniała, zabierając rękę.

Matt przekrzywił głowę, przykazując sobie cierpliwość. Cierpliwy człowiek zdobywa wszystko, co tylko zechce.

- Zasada numer jeden - mruknął, opuszczając rękę wzdłuż ciała.

Rose z ulgą posłała mu uśmiech i poprowadziła do celu.

- Odlotowy widok - musiał przyznać Matt. Stali na tarasie widokowym na osiemdziesiątym piątym piętrze Empire State Building. Matt liczył na to, że będzie tam wiało i odetchnie od nieznośnego upału, który nawiedził miasto, lecz i na tej wysokości wilgotność powietrza była identyczna jak na dole.

- Jeśli ktoś lubi oglądać budynki - dodał.- Popatrz przez to, zobaczysz jeszcze więcej - poradziła Rose, wskazując na jeden ze srebrnych teleskopów ustawionych w równych odstępach wzdłuż tarasu. - Za dolara zobaczysz w zbliżeniu niesamowity widok.

- Właśnie widzę, i to całkiem za darmo. Kiedy chciał, potrafił prawić komplementy. Poczula gorąco, które po ułamku sekundy rozlało się rumieńcem na jej twarzy. Pomyślała, że jest wyjątkową idiotką. Jak może rumienić się z powodu komplementów Matta? Przecież ten facet widział ją nagą. Czemu czerwieni się jak jakaś małolata na widok swojej pierwszej miłości?

No, ale to była u niego nowość. Nigdy nie był skory do prawienia komplementów.

Nie odwróciła się mimo rumieńców, marzyła jedynie o chłodnym wietrze w miejsce fal gorąca, które ją atakowały.

- Czy ciocia trenowała cię jakoś specjalnie? - spytała nonszalancko. Potrząsnął głową, ukrywając sekretną pogawędkę, którą odbył z Beth około północy.

- Rozmawiałem z nią tylko o tym, co warto zobaczyć w mieście. Czemu pytasz?

Rose uniosła jedno ramię.

- Tak sobie. Jakoś miłe słówka do ciebie nie pasują. Upalny wiatr przesunął kilka kosmyków Rose na jej twarz. Matt delikatnie odsunął jeden z nich, a kiedy uniosła brwi, cofnął rękę. Zastanawiał się, jak długo jeszcze będzie go obowiązywała ta kara.

- Może nauczyłem się paru rzeczy, od kiedy mnie rzuciłaś.

Nie znosiła tego ostatniego słowa, czuła się przez nie podle. To miało być rozstanie za obopólną zgodą.

- Nie rzuciłam cię.

- Dobra - powiedział polubownie. - To niech będzie, że uciekłaś. -

W jego opinii tak to właśnie wyglądało. Uciekła na wysokich obcasach, którymi zdeptała jego serce.

Przesunęła się odrobinę w cień padający z zadaszenia.

- To też nieprawda - sprzeciwiła się. - Oboje tego chcieliśmy.

Bardzo starała się zaprezentować to zerwanie w taki sposób, jakby jemu też na tym zależało. Podejrzewała jednak, że w jego wypadku doprowadziła do tego jedynie urażona duma.

To był nieczysty cios, uznał Matt, a ona o tym wiedziała.

- Musielibyśmy oboje się zgodzić, żeby to była prawda. O ile mnie pamięć nie myli...

Rzuciła mu ostre spojrzenie.

- Zasada numer dwa.

Matt westchnął. Będzie musiał popracować nad sobą, żeby utrzymać w ryzach swój temperament. Nic nie zyska na siłę. Nie na tym etapie. -
Dobra.

Minął ją i podszedł do teleskopu. Zapaścił rękę do kieszeni w poszukiwaniu jednodolarówki, po czym wrzucił monetę do odpowiedniego otworu. Głuche kliknięcie oznaczało, że uniosła się osłona teleskopu. Pochylił się lekko i spojrział przez teleskop.

- Po tamtym dachu w dole łązi jakiś gołąb - oznajmił i przeniósł wzrok na Rose. Zbliżyła się do niego. - To nic niewarte, na ulicy jest ich pełno, i nie trzeba za to płacić.

Przechyliła głowę, jakby zastanawiała się nad słusnością jego słów.

- Ale to jest gołąb widziany z tarasu Empire State. - Patrzyła na niego uśmiechającymi się oczami. Czasami zachowuje się jak mały chłopiec, myślała. - Wszystko zależy od punktu widzenia.

Nie spuszczał z niej wzroku przez chwilę.

- Tak, pewnie tak.

Zdenerwowała się i uparcie przypisała to znowu swojej burzy hormonów, a nie słowom Matta.

Albo jego spojrzeniu, na przykład.

I jeszcze ten trudny do zniesienia skwar. Zaczęła się wachlować folderem informacyjnym, choć wiedziała, że to bezcelowe. Jej lekkie ubranie przyklejało się, jakby wykąpała się w miodzie. Słońce paliło niemiłosiernie, a na tej wysokości Rose odnosiła wrażenie, że promienie słońca prowadzą przeciw niej zaciętą prywatną wojnę. Spojrzała na Matta.- Znajdźmy jakieś chłodniejsze miejsce.

- To niemożliwe - odparł, odchodząc od teleskopu. Popatrzył jej w twarz. - Dopóki jestem obok ciebie.

No nie, czy on musi to mówić? I tak ciężko jej panować nad pożądaniem, mając go tak blisko, ale jak jeszcze zaczyna w ten sposób...

- Matt...

Matt uniósł brwi.

- Wymyśliłaś kolejną zasadę? Nie złamałem ani pierwszej, ani drugiej. Nie dotknąłem cię ani nie powiedziałem nic o twoim odejściu.

Wyraz jego oczu rozdrapywał jej serce.

- Może to był zły pomysł.

Zakreśliła się na pięcie i ruszyła zwawo do wyjścia i w stronę wind.

Matt pospieszył za nią i szybko ją przegonił. Uniósł ręce nad głowę.

- Patrz, mamó, bez trzymanki. - Potem spowaźniał. - Wybacz, to się nie powtórzy. - Patrzył na nią skruszony. - Obiecuję.

Rose westchnęła, prawdopodobnie straciła rozum, godząc się na tę wyprawę. Wkrótce Matt znowu zniknie, tak czy owak.

- W porządku. Obejrzyjmy teraz katedrę Świętego Patryka.

Tam przynajmniej Matt będzie zobligowany zachowywać się przyzwoicie. Ulice były już prawie kompletnie zakorkowane. W taki upał Rose z niechęcią myślała o metrze. A zatem szli piechotą z Empire State Building na Trzydziestej Czwartej ulicy do katedry pod wezwaniem Świętego Patryka, która mieści się przy Piątej Alei i Pięćdziesiątej ulicy.

Rose przywykła do dużo dłuższych wędrówek, które odbywała zawsze z ogromną przyjemnością i bez żadnego trudu. Ale to było kiedyś, gdy nie była w pierwszych tygodniach ciąży. Na domiar złego nie sprzyjał jej bezlitosny upał. W środku nocy trochę pokropiło, ale mizerny deszczyk nie przyniósł żadnej ulgi. Przeciwnie, zwiększył tylko wilgotność powietrza.

Koncentrowała się z coraz większym trudem, miała kłopot ze stawianiem jednej nogi przed drugą. Zdawało jej się, że bnie przez mgłę.

Po drodze kilka razy wymówiła się chęcią obejrzenia wystaw, żeby choć na moment przystanąć i złapać oddech. I żeby jej serce tak nie trzepotało.

Kiedy dobrnęli wreszcie do katedry, Rose była bliska płaczu. Przeżyła to tak, jakby dotarła do świętego miejsca. Wspaniałe gmach otoczył ją chłodem klimatyzacji. Idąc powoli główną nawą z bocznymi ołtarzami, witrażami i świętymi figurami, dziękowała Bogu, że dał jej

szansę ochłonać i zebrać siły.

W tej majestatycznej świątyni ogarnął ją smutek. Przed laty wyobrażała sobie swój ślub w wielkim, uroczystym przybranym kościele. Czas umykał, a ona nie spotkała na swojej drodze nikogo, kto poruszyłby jej serce.

Aż pewnego dnia zjawił się Matt.

Zerknęła na niego ukradkiem. Stał przed jednym z bocznych ołtarzy i czytał informacje na temat sportretowanego na nim świętego. Straciła dla niego głowę, ale nie zbliżyło jej to ani o krok do uroczystego kościelnego ślubu. Tkwiła wciąż w tym samym miejscu, w którym musiała zadowolić się marzeniami.

W końcu opuścili katedrę. Rose czuła się odświeżona, lecz gdy tylko znalazła się na zewnątrz, upał zaatakował ją na powrót. Chwyciła się poręczy i jak w transie schodziła powoli schodami na ulicę.

Miała wrażenie, jakby przekreślono ją przez wyżymaczkę. Powietrze było niemal dotykalne, czuła jego ciężar na każdym centymetrze skóry. Wyciągnęła po omacku rękę i uchwyciła się ramienia Matta. Bała się, że kolana nie utrzymają jej ciężaru.

- Łamiemy zasadę numer jeden? Och, zapomniałem. Ciebie nie obowiązuje, ona jest przeznaczona dla mnie. - Spojrzał na nią i jego żartobliwy ton wyparował momentalnie, tak jak nie chciała wyparować z upalnego powietrza wilgoć. - Rose, dobrze się czujesz?

Miała mocno zaczerwienione policzki, zupełnie jakby pomazała je czerwoną farbą.

Rose słyszała go jak przez mgłę, jego słowa odbiły się echem w jej głowie.- Czuje się... dobrze. Może... chodźmy gdzieś... wypijmy coś...

zimnego...

Słowa skapywały z jej ust. Zmagala się ze sobą, żeby nie zemdleć, gdy świat pojawiał się i znikał przed jej oczami jak na pokazie iluminacji. W następnej chwili światło zniknęło na dobre, a nogi jej zmiękły, jakby straciły kości.

- Rose!

Matt rzucił się ku niej i zdążył ją złapać, nim osunęła się na ziemię. Wziął ją na ręce. Serce mu waliło ze strachu, nie wiedział, co robić. Zawieźć ją do szpitala? Położyć ją na chodniku i czekać, aż dojdzie do siebie?

Wtem poczuł czyjaś dłoń na ramieniu.

Gwałtownie odwrócił głowę i ujrzał starszą drobną kobietę ubraną w letnią niebieską spódnicę, niebieską kamizelkę i białą bluzkę. Na głowie miała krótki niebieski welon, który skrywał część jej włosów, odsłaniając gęstą jeszcze białą czuprynę.

- Co jej się stało?

- Nie wiem - odparł Matt. - Nagle zemdlą.

- To pewnie ten upał. Niech pan ją wniesie na chwilę do środka - powiedziała kobieta. - Jestem siostra Mary Katherine. Ojciec Małkowski na pewno nie będzie miał nic przeciwko temu, żeby odpoczęła chwilę w jego biurze.

Zakonnica obróciła się i poprowadziła go po schodach. Matt kroczył za nią, zdumiony ilością ludzi, którzy szli swoją drogą, zerkając na nich, ale nawet się nie zatrzymując. Był wdzięczny, że zakonnica zachowała się niekonwencjonalnie.

Siostra Mary Katherine zaprowadziła go do niewielkiej kancelarii.

Stały tarcie półki zapchane książkami wzdłuż dwu ścian i zniszczona kanapa z bordowej skóry w rogu. Na wprost kanapy znajdowało się sfatygowane biurko i duże okno z widokiem na podwórze.

- Proszę ją tu położyć - poleciała zakonnica. Matt posłuchał jej.

Siostra Mary Katherine weszła

tymczasem do pomieszczenia, które okazało się być małą łazienką. Doszedł go stamtąd szum płynącej wody. Odsunął włosy z czoła Rose i wziął ją za rękę. Wciąż nie podnosiła powiek. Zdenerwowany, zmierzył jej puls.

- Skarżyła się na coś? - spytała zakonnica, wracając do pokoju.

- Nic nie mówiła.

Pocierał dłonie Rose, kompletnie wytracony z równowagi. Policzki Rose w dalszym ciągu płonęły czerwienią.

Siostra pochyliła się nad nią i położyła jej zimny, mokry ręcznik na czole.

- A może jest w ciąży?

- Nie - rzucił automatycznie i zaraz się zastanowił. Ta myśl nie przyszła mu dotąd do głowy. - To znaczy... Nie - stwierdził stanowczo jeszcze raz. Rose powiedziała mu przecież, gdyby zaszła w ciążę.

Powiedziałyby, na pewno?

Spojrzał na nią zagubiony. Miał przed sobą kobietę, dla której niechcący utracił serce. Która wywróciła jego świat do góry nogami, o nic go nigdy nie prosząc.

Zakonnica obok kiwała głową.

- No to chyba ta nieboska pogoda, proszę wybaczyć żart - dodała z błyskiem w oku. - Dlatego trzymamy tu teraz zapas soli trzeźwiących. -

Pokazała mu małą buteleczkę, którą ścisnęła w dłoni. - Zdarza się teraz coraz więcej kobiet, które tracą głowę i ni stąd, ni zowąd lądują na ziemi. - Położyła rękę na ramieniu Matta. - Jestem pewna, że ta młoda dama szybko dojdzie do siebie. Niech pan jej teraz pilnuje. Lepiej żeby nie spadła z kanapy, już dość ma kłopotów na dzisiaj. - Zaczekała, aż Matt zbliżył ręce do Rose i przystawiła otwartą buteleczkę do jej nosa.

Gryzący zapach zaatakował nozdrza Rose. Poruszyła się, żeby odsunąć się od nieprzyjemnej woni. Z jej ust wydobył się słaby jęk. Nagle szarpnęła się i o mały włos nie usiadła raptownie, gdyby nie to, że ktoś ją trzymał.

Zamrugła, by zobaczyć, gdzie się znajduje. Pamiętała tylko, że stała przed katedrą Świętego Patryka i próbowała zatrzymać wirujący świat.

- Co... co się stało?

Matt poczuł ulgę. Odsunął od siebie na razie nie- winne pytanie zakonnicy. Uznał je za absurd. Ale ten absurd nie dawał mu spokoju.

- Zemdlałaś.

Nigdy do tej pory nie zdarzyło się nic podobnego, to dobre dla jakichś słabeuszy, ale na pewno nie dla niej.

- Ale skąd! - zaprotestowała z niedowierzaniem.

- Nieźle pani nastraszyła tego młodego człowieka

- odezwała się siostra Mary Katherine.

Rose patrzyła na Matta zdębiała.

- Ty mnie przyniosłeś z powrotem do kościoła?

- To w tej chwili najchłodniejsze miejsce - powiedziała jej zakonnica. - Jestem siostra Mary Katherine, może pani tu zostać, jak

długo pani zechce. Albo zawołam dla pani taksówkę, jeśli woli pani przenieść się gdzie indziej.

- Nie, nie trzeba, nic mi nie jest - zapewniała ją Rose, próbując usiąść. Problem w tym, że Matt wciąż jej na to nie pozwalał. - Matt, puść mnie. Już mi przeszło.

- W porządku. Zasada numer jeden. Usłyszała wyraźną gorycz w jego głosie.

- To prośba, a nie zasada numer jeden. - Przygryzła wargi, w dalszym ciągu kręciło jej się w głowie.

- Naprawdę zemdlałam?

- Upadłaś nieprzytomna. - Zauważył, że spojrzała w dół na swoje ciało. Pewnie szuka jakichś zadrapań czy guzów, myślał. - Złapałem cię w samą porę, jeszcze chwila i walnęłabyś o ziemię. Popatrzyła na niego z żalem.

- Chyba powinnam ci podziękować, że tym razem złamałeś zasadę. Z jej policzków z wolna znikająca czerwień. Wracała do siebie, znowu była normalną Rose.

- Jeśli chcesz...

Siostra Mary Katherine splotła przed sobą dłonie, zadowolona, że nie jest im już potrzebna.

- No, to teraz wybaczcie mi, moi drodzy, mam ja swoje sprawy.

- Już idziemy - powiedziała Rose, podnosząc się. Kiedy stanęła, miała jeszcze trochę miękkie nogi, ale jakoś ją mimo wszystko trzymały. - Bardzo dziękuję.

Siostra Mary Katherine uścisnęła jej dłoń.

- Niech mi pani nie dziękuje, niech pani podziękuje temu

młodzieńcowi, moja droga. To on panią złapał.

Tak, pomyślała Rose, patrząc w stronę Matta. To fakt, on mnie złapał.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Nadzwyczaj przystojny młody mężczyzna, który stał przed Beth Wainwright, wylewał przed nią swoje serce, naśladowując manierę Marlona Brando głosem, który sublimował jego własne, o wiele bogatsze tony.

Tucker Stephens był jednym z osiemnastu młodych adeptów sztuki aktorskiej, którzy uczęszczali na jej zajęcia i zbierali się dwa razy w tygodniu na trzy godziny, by wysłuchać jej rad i skorzystać z doświadczeń. Tego wieczoru zgromadzili się w jej salonie. Robiło się późno.

Występ Tuckera był niezły, może z wyjątkiem tego drażniącego akcentu, którego się nauczył. A jednak Beth żadną miarą nie mogła się skupić. Jej myśli krążyły w zupełnie innych rejonach.

Minął tydzień.

Przez ten tydzień Matt w dalszym ciągu odgrywał cierpliwego turystę, a Rose wciąż grała rolę jego uprzejmej, acz zdystansowanej przewodniczki. Beth знаła to wszystko z relacji Matta. Wiedziała też, że zaczyna mu chodzić po głowie, żeby dać za wygraną. Nie był typem jaskiniowca, który chwyciłby dziewczynę za włosy i zaciągnął do swojej groty, żeby ją tam więzić, aż wróci jej rozum.

Dla Beth była to tylko kolejna cecha Matta, która przemawiała na jego korzyść. Musi przecież istnieć jakiś sposób, by skrócić tę pogoń za Rose, by wreszcie przejrzała i odrzuciła swoje sztywne szlachetne senty-

menty i trzymała się mężczyzny, dzięki któremu jej życie nabierze wartości, jeśli tylko mu na to pozwoli.

Wiedziała w głębi serca, że Matt jest drugą połówką Rose, a co więcej, była przekonana, że jej bratanica także ma tę świadomość. Gdyby tylko nie ten przekłety upór Wainwrightów...

Rose potrzebuje katalizatora, stwierdziła Beth, kiedy Tucker krzyknął coś właśnie do wyobrażonej żony odgrywanego przez siebie bohatera, którą tenże skrzywdził. Czegoś, co posunie akcję do przodu i pchnie ją w ramiona Matta.

Czegoś albo kogoś...

Raptem wpadło jej coś do głowy i szybko się tam zakorzeniło. Na jej twarzy pojawił się uśmiech.

Tucker zakończył akurat swoją scenę, żegnany skromnymi oklaskami pozostałych studentów.

Trudno przychodzi im cieszyć się czymś zwycięstwem. Już ze sobą konkurują, myślała z żalem Beth.

- Bardzo dobrze, Tucker - powiedziała, podnosząc się z fotela, na którym królowała podczas lekcji. - To wszystko na dzisiaj. - Studenci zaczęli się zbierać. - Proszę, żebyście wszyscy przećwiczyli te sceny, które wybraliśmy na dzisiejszych zajęciach. Bądźcie z nimi gotowi na następne spotkanie. - I niczym królowa posyłająca swoich żołnierzy na wojnę, pomachała im na pożegnanie. Zatrzymała tylko Bryce'a Keatona.

Rok temu Bryce zdobył nagrodę aktorską. Polecała go nawet swojemu staremu przyjacielowi, który produkował wtedy sztukę na Off-Broadwayu. Bryce ukończył już szkołę, ale wciąż uczęszczał na jej zajęcia, twierdząc, że cały czas uczy się od niej czegoś nowego.

Oboje darzyli się wzajemną sympatią.

- Bryce - zwróciła się do niego Beth. - Mógłbyś zostać chwilę dłużej? Chciałabym z tobą o czymś porozmawiać.

Spostrzegła, że jeden z wychodzących studentów szturcha drugiego w żebra. Łatwo zgadywała, co sobie myślą. Uśmiechnęła się pod nosem. Zawsze lubiła być w centrum uwagi. Tajemnicza kobieta, o której ludzie snują tylko domysły. Bryce zrobił sobie przerwę w nauce między maturą i college'em. Przez kilka lat włóczył się po Europie i zdobył mnóstwo doświadczeń, poznał świat. Był starszy od swoich kolegów z zajęć, a wydawał się jeszcze dojrzalszy.

Za to Beth wciąż myślała o sobie jak o kobiecie, która nie przekroczyła dwudziestego dziewiątego roku życia.

Bryce posłał jej uśmiech, gdy zamykała drzwi.

- Tak, o co chodzi? - spytał. - Zauważyłem, że coś nie gra, kiedy Tucker się prezentował. Mam ukrócić jego aktorskie ambicje? Beth machnęła na to ręką.

- To bardzo miło z twojej strony, mój drogi. Nie, nie o to chodzi. - Uśmiechnęła się do niego. - Daleko mu do ciebie, ale ty też byłeś taki, jak dołączyłeś do mojej klasy.

Mówiąc to, powoli obeszła go dokoła, oglądając go ze wszystkich stron, jakby robiła to po raz pierwszy. Przyszedł na zajęcia od stóp do głów w czerni, i to właśnie podpowiedziało jej pewien pomysł. Im dłużej o tym myślała, tym bardziej jej się to podobało.

Tak, Bryce ma odpowiednie ciało, oceniła w milczeniu. Musiała jednak zadać mu pytanie:

- Mówiłeś mi, zdaje się, że w college'u biegałeś.

- Tak, to prawda.

Stanęła na wprost niego. Był od niej sporo wyższy.

- Jak szybko biegasz?

- Czemu pani pyta? Chce się pani ze mną ścigać? Mówił podobnie jak Matt, tak samo zaciągał. Zateśniła za rodzinnymi stronami.

Uśmiechnęła się znowu.

- Może później. Jaki jest twój najlepszy wynik? Bryce wyklepał ostatni zapamiętany przez siebie czas.

- Pokonuję sto metrów w dziesięć sekund. Klasnęła w dłonie i uśmiechnęła się z entuzjazmem.

- Wspaniale. - Nadawał się idealnie. Jej oczy za- błyszcząły jaśniejszym blaskiem. - Co byś powiedział na to, żeby wspomóc Kupidyna, Bryce? Skrzyżował ramiona na piersi i spojrzał na nią.

- A jakie zadanie ma Kupidyn?

Opadła na fotel, nie spuszczać wzroku z młodego mężczyzny. Była bardzo zadowolona ze swojego planu.

- Ma kogoś napaść.

Bryce potrząsnął głową. Jego uśmiech nosił w sobie cień zmieszania.

- Napaść?

- Myślę, mój drogi, że właśnie potrzeba ci odrobiny improwizacji, żebyś zachował swoją aktorską świeżość.

- A gdzie miałyby się odbyć ten spektakl? Na Off - Broadwayu?

Tak, to rzeczywiście było daleko od Broadwayu, bardzo daleko.

- W muzeum Metropolitan. A dokładniej w alei za muzeum.

- No dobrze, naprawdę mnie pani zaintrygowała. - Przysiadł na

poręczy jej fotela. - Proszę o pozostałe szczegóły.

Była pewna, że Bryce w to wejdzie. To właśnie najbardziej w nim lubiła. Tę otwartość i tego ducha.

- Z przyjemnością, mój drogi.

Matt był zupełnie obojętny wobec sztuki. Musiał się do tego przyznać, przemierzając w nieskończone godziny nieskończoną liczbę sal muzeum Metropolitan. Rose pokazała mu co prawda kilka rzeczy, które nawet przypadły mu do gustu, zwłaszcza ten obraz nad wodą jakiegoś Moneta czy Maneta, czy kogoś takiego. Nazwiska tylko przepływały mu przez głowę.

Mówiąc szczerze, najbardziej podobała mu się w muzeum klimatyzacja, ale nie wypadało mu powiedzieć tego na głos.

Co więcej, nabierał podejrzeń, że co najmniej połowa krążących tego dnia po muzealnych salach dusz myśli tak samo.

Podchodząc za Rose do kolejnego obrazu, zniecierpliwił się już. Była to płatanina kolorów, którą, Matt przysięgłby, mógłby stworzyć trzylatek mażący farbami po płótnie.

Niczego nie przyspieszał, jak radziła mu Beth. Miał już nawet wrażenie, że posuwa się tak wolno, iż w zasadzie cofa się, zamiast iść od przodu.

Na domiar złego wciąż kołatało mu po głowie pytanie zakonnicy. Zasiała ziarno, które w nim wzrastało.

Czy Rose jest w ciąży?

Z jednej strony sam pomysł wydawał mu się absurdalny, a z drugiej nie potrafił przejść nad nim do porządku dziennego. Męczyło go to, wyskakując jak złośliwy chochlik w najdziwniejszych porach dnia i nocy.

Zapytanie o to wprost podejrzanej byłoby co najmniej obraźliwe. Pozostało mu jedyne logiczne wyjaśnienie - Rose zemdląca z powodu upału.

Tak czy owak, pytanie zakonniczy wciąż brzęczało mu w uszach. A jeśli Rose jest jednak w ciąży? A jeżeli właśnie z tego powodu wyjechała? Bo nie mogła spojrzeć mu w oczy?

To bzdura, myślał, niby czemu nie mogłaby mu spojrzeć w oczy? W końcu, jeżeli jest w ciąży, to właśnie z nim....

Chyba że nie.

Otrząsnął się raptownie, nie pozwalając sobie na dalsze spekulacje na ten temat. Posuwa się za daleko, a zapewne nie ma w tym wszystkim żdźbła prawdy. Rose nie zasłużyła sobie na tak krytyczny osąd. Powinien panować nad swoimi myślami i nie dywagować bez sensu.

- I jak ci się podoba? - spytała nagle Rose. Cofnęła się od obrazu i spojrzała na niego uważnie. Uśmiechnęła się pod nosem. - Nudzisz się, prawda?

Starał się nie mrugnąć, jak ktoś obudzony z transu, w który sam się wprowadził.

- Nie - skłamał.

Nie potrafił kłamać. Zapisła to na jego korzyść.

- To czemu wyglądasz, jakbyś z trudem powstrzymywał ziewanie?

Wzruszył ramionami, przyglądając się na kolejnemu obrazowi. Na tym z kolei widniały czerwone i żółte smugi.

- Fatalnie spałem w nocy.

To akurat była prawda. Przez całą noc co chwilę się budził. Myślał o niej. Pragnął pokonać odległość między ich pokojami i wziąć ją do łóżka.

Kilka razy wstawał i za każdym razem sam siebie zaganiał pod kołdrę.

Jeśli tak dalej pójdzie, wydepcze ścieżkę w dywanie Beth, pomyślał z obawą.

- Może dość kultury na jeden dzień. - Rose zerknęła na zegarek.

Wiedziała, że muzeum zamykają za pół godziny. - Zresztą i tak zrobiło się późno. Może wrócimy do cioci, a potem razem wybierzemy się gdzieś na kolację?

Wolałby, rzecz jasna, kolację we dwoje, ale zatrzymał to dla siebie. Pokorny, bądź pokorny, powtarzał sobie w milczeniu. Albo zameczy ją i pokona swoją pokorą, albo sam się tym zadreczy.

- Jasne.

Ruszyli zatem na dół. Spędzili w muzeum większą część dnia. Matt dość dobrze opanował w tym czasie plan budynku. Poprowadził do wyjścia.

Był mężczyzną, który nie pyta o drogę, ale też nigdy nie musiał tego robić. Posiadał zadziwiającą orientację w terenie.

Tyle rozmaitych rzeczy wyróżniało go spośród innych. Czasami, mimo postanowienia, by trzymać się od niego z daleka, Rose chciała o tym zapomnieć i po prostu być z nim. Być w pełnym znaczeniu tego słowa. W ten sposób zniweczyłaby swoją ciężką pracę, ale coraz trudniej przychodziło jej trwać przy swoim planie. Zwłaszcza że niczego tak nie pragnęła, jak znaleźć się w jego ramionach. Niestety, Matt zdaje się uwierzył w końcu, że ona tego nie chce. Każdego dnia odwiedzali inne, nowe miejsce, a on zachowywał się jak skończony dżentelmen. I odkąd zemdlą przed katedrą, przestrzegał pilnie zasady pierwszej i drugiej.

Tak minął tydzień. Matt przez cały ten czas zachowywał się

nienagannie. Nie próbował nawet robić niczego wbrew jej woli. Może faktycznie przyjechał zwiedzać, pomyślała w końcu Rose. Może przestał się nią interesować.

Ta myśl bolała jednak mimo wszystko. Powinno być jej z nią lepiej, a było coraz gorzej.

Czuła się, jakby ktoś wypruł z niej wnętrzości.

Tak samo jak wtedy, gdy zebrała się na odwagę i okłamała go, mówiąc, że nie jest już zainteresowana ich związkiem i że najlepiej będzie, jak przestaną się widywać.

Może teraz po prostu przyszło jej za to płacić.

A może to jakaś wyrafinowana szarada, przez którą Matt chce jej pokazać, jak się czuje człowiek porzucony.

Może powinna wziąć w cugle swoją wyobraźnię i w ogóle przestać zawracać sobie tym głowę.

Wyszli na zewnątrz. Rose zdawało się, że wstąpiła do pieca, rozpalonego, wilgotnego pieca.

- Nic się nie ochłodziło - mruknęła, kiedy drzwi zamknęły się za nimi z cichym westchnieniem. Matt spojrzał na nią zmartwiony.

- Chcesz znowu zemdleć?

- Chcę? Tamto było kompletnie nie zaplanowane - zapewniła go. -

Wolałabym o tym nie mówić.

Ruszyli przed siebie ulicą. Minęło ich kilka taksówek, ale wszystkie były albo zajęte, albo zjeżdżały do domu.

- Dlaczego?

Zastanawiała się, czy Matt idzie wolniej, ponieważ jest zmęczony, czy robi to dla niej. Gdyby nie dziecko, które pozbawiło ją siły, zmysł

rywalizacji kazałby jej przyspieszyć.

- Ponieważ nie mam ochoty do tego wracać i myśleć o sobie jak o jednej z tych mdłych panienek, które tracą zmysły.

Spojrzał na nią rozbawiony.

- Nie jesteś mdłą panienką. Masz żelazną wolę. Twoja ciotka opowiadała o kimś, komu nadano przydomek Żelazny Motyl. Coś mi się zdaje, że do ciebie też znakomicie by pasował.

Przez sekundę wertowała w pamięci opowieści ciotki.

- To był przydomek Loretty Young. To nazwisko nic mu nie mówiło.

- Kto to jest?

Tak samo spytała, słysząc je po raz pierwszy z ust ciotki. A potem spędziła dwie godziny, oglądając na wideo „Córkę farmera”.

- To była wielka aktorka, prawdziwa gwiazda, w czasach, kiedy moja ciotka zaczynała karierę. Ciotka wybrała się wtedy do Hollywood. Dostała tam rolę w telewizyjnym show Loretty Young. Matt potrząsnął głową z podziwem.

- Twoja ciotka widziała kawał świata.

- Tak, to prawda. - Walczyła z pokusą wzięcia go pod ramię, przecież byłoby to takie naturalne. - Cieszę się, że ją polubiłeś.

- Bardziej lubię jej bratanicę.

Cholera. Wypnęło mu się. Złajał się w myśli. Miał nadzieję, że ta uwaga nie przesunęła go na wyjściową pozycję. Beth obiecywała mu, że Rose podda się, jeśli tylko będzie uległy. Liczył na to, że wiekowa dama wie, co mówi.

- Wybacz moją niewyparzoną gębę.

Rose uśmiechnęła się do niego ciepło. Komplement rozgrzał ją jak dobre wino, które lubiła sączyć przy specjalnych okazjach.

- Nie szkodzi, ja...

Nie miała szansy dokończyć. Przeszli przez jezdnię i mijali właśnie aleję. Wciąż rozglądali się za taksówką. Raptem ktoś chwycił ją od tyłu i wciągnął do cienia.

- Dawaj forszę, a twojej pani nic się nie stanie - rzucił mężczyzna w stronę Matta.

Rose zamarła, wytrzeszczała tylko oczy. W jednej i tej samej chwili poczuła strach i zapach wody kolońskiej nieznajomego. Spojrzała w oczy Matta. W ułamku sekundy zapłonęły furia, gwałtowną jak tornado, które okresowo nawiedzało Teksas.

Widziała, że Matt przymierza się do czegoś heroicznie głupiego. Gdyby został ranny w jej obronie, chybaby tego nie przeżyła.

- Masz. - Wciąż nie widziała mężczyzny, który ją zaatakował, czuła tylko ten zapach. Wykręciła rękę i wyciągnęła torebkę. - Weź to i zostaw nas.

Ręka w czarnym rękawie swetra wyrwała torebkę z jej dłoni. Potem mężczyzna odepchnął ją, dużo delikatniej niż się spodziewała.

Obróciła się szybko, ale i tak nie zobaczyła twarzy złodzieja. Zakrywała ją czarna czapka narciarka.

Kątem oka spostrzegła za to, że Matt szykuje się do ataku.

- Stój, Matt! - zawołała. - Proszę, to tylko pieniądze.

- To twoje pieniądze - warknął i rzucił się na mężczyznę.

Złodziej natychmiast zakręcił się na pięcie, rzucił torebkę na ziemię i już go nie było.

Matt puścił się za nim, ale mężczyzna okazał się szybszy. Mknął niczym olimpijczyk i bardzo szybko zostawił Matta daleko w tyle. Dalszy pościg nie miał sensu.

Zażenowany, że nie złapał złodzieja, Matt przeklął soczyście i wrócił pospiesznie do Rose. Stała blisko miejsca, w którym ją zostawił, ściskając w dłoni torebkę. Trzęsła się, miała mokre od łez oczy. Cholera jasna, czy ten drań ją zranił? Matt nie mógł sobie wybaczyć, że go nie dorwał. Już on by mu pokazał.

- Nic ci nie jest? - Przesunął dłonie wzdłuż jej rąk, jakby chciał się w ten sposób przekonać, czy nie są złamane.

- Nic. - I wtedy załamała się, ale nie ze strachu o siebie. - Mój Boże, Matt, kiedy zobaczyłam, że za nim biegniesz...

Nie dokończyła.

Zarzuciła mu ręce na szyję i całowała go z gorącym uczuciem, które dusiła w sobie przez cały tydzień.

Może cnota jest nagrodą sama w sobie, ale to jest o niebo przyjemniejsze, myślał Matt, trzymając ją w objęciach.

Pocałunek zabrał go w miejsca, które już znał i które rozpaczliwie chciał ponownie odwiedzić.

Wtem Rose odsunęła się, żeby się pozbierać. W następnej chwili w przyływie nowych emocji zacisnęła pięść i uderzyła go w piersi z całej siły.

Matt zakrył się rękami, bardziej ze zdumienia niż z bólu.

- A to za co?

Do jej oczu napłynęły świeże łzy. On żyje. A mógł stracić życie. Zginąłby i nie wiedziałby, że ona go kocha.

- Mógł cię zabić! - krzyknęła.

- Nie sądzę, żeby miał broń, zresztą to chuchro, jak mu się dokładniej przyjrzeć.- Ale mógł mieć broń - podkreśliła. - Matt, to tylko torebka. Oddał ją, nie musiałeś ryzykować dla niej życia.

Czy ona nic nie rozumie? Z rękami na jej ramionach patrzył jej w oczy.

- Nie narażałem życia dla torebki. Pobiegłem za nim, bo pozwolił sobie położyć na tobie rękę. Bo mógł cię skrzywdzić, a tego bym nie zniósł. - Delikatnie pogłaskał jej policzek. - Nikt nie ma prawa tak cię traktować.

Rose zmiękła, kompletnie i dosłownie. Po raz drugi objęła go za szyję i przykleiła wargi do warg jedyne go mężczyzny, którego kochała.

- Hej, może pokoik? - rzucił żartem ktoś z przechodniów, a oni pobiegli przed siebie.

To wcale nie był taki zły pomysł.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Matt odsunął się od Rose, choć przyszło mu to z trudem. Wolałby tysiąc razy tak zostać i całować ją do końca świata, albo dopóki by było nie wróci do domu z pastwiska. Zależy, co nastąpi później. Ale wiedział też, że im dłużej będzie ją całował, tym bardziej będzie tego pragnął, a przecież obiecał sobie, że nie będzie jej do niczego zmuszać.

- Może powinniśmy zmienić lokal - rzucił pośpiesznie.

Rose oblizwała usta, delektując się jego smakiem. Nie może, myślała z żalem, oznajmić, że najchętniej poszłaby z nim do domu, wśliznęła się

do swego pokoju i czekała tam na niego, kiedy ciocia Beth wyjdzie gdzieś wieczorem albo zaśnie. Chciała tak powiedzieć. Z całego serca chciała.

On zaś niczego tak nie pragnął, jak zabrać ją do domu i kochać się z nią, leniwie i powoli, żeby dosłownie zapłonęli z niecierpliwości. Ale gdyby jej to powiedział, przestraszyłby ją tylko, więc zamiast tego wybrał bezpieczniejszą drogę. Liczył na to, że będzie to kolejny właściwy krok do celu.- Co powiesz na kolację, a potem przejażdżkę po Central Parku jednym z tych zaprzęzonych wozów, jak proponowała twoja ciotka?

- Chodzi ci o dorożkę - poprawiła go.

- Niech będzie, że dorożkę. - Nie przejął się jej poprawkami.

Rose przypomniała sobie, że jakiś czas temu wspomniała, by wzięli na kolację ciocię Beth. Teraz straciła na to ochotę, ale może on nie? Zerknęła na niego kątem oka.

- Z ciocią Beth czy bez?

Matt dotknął lekko jej twarzy. Jego oczy mówiły jej, co ma w sercu, w sposób, w jaki nie powiedziałby tego słowami.

- Jak uważasz.

Uśmiech wypływał na jej twarz powoli, z krótką przerwą, po czym wygiął jej wargi w pełny łuk.

- Chyba nie chce mi się wracać do domu, żeby się przebierać.

- Niczego nie zmieniaj - mruknął jej do ucha. Trzymał ją w pasie jedną ręką i delikatnie pchnął

w stronę krawężnika. Drugą rękę wystrzelił w górę na widok zbliżającej się taksówki. Zostawił Rose na krawężniku i wyskoczył przed samochód, by taksówkarz go nie zlekceważył.

- Zaczynasz zachowywać się jak tubylec - zauważyła ze śmiechem,

kiedy taksówka gwałtownie zahamowała. Matt otworzył dla niej tylne drzwi.

- Zapomniałaś, że jestem elastyczny - szepnął jej do ucha, kiedy wsiadła i zajęła miejsce.

Przesunęła się, żeby i on mógł usiąść. Dobrze pamiętała, jaki był „elastyczny”, kiedy się kochali.

Elastyczny to właściwe słowo, stwierdziła, myśląc o jego znaczeniach słownikowych. Który inny mężczyzna odrzuciłby na bok swoją dumę i przyjechał tu za nią? Kto inny zadałby sobie trud odszukania jej? Miejsce jej pobytu znane było wyłącznie najbliższej rodzinie. Jakoś nie mogła sobie wyobrazić, że Matt jakby nigdy nic puka do drzwi domu Wainwrightów i pyta o nią jej ojca czy brata. Podobny brak rozwagi groziłby mu uszkodzeniem ciała. Zwłaszcza gdyby któryś z Wainwrightów podejrzewał, że Matt z nią sypia.

A zatem, by odnaleźć jej nowojorski adres, musiał rzeczywiście bardzo się postarać.

Matt przekrzywił głowę, chciał odczytać coś z jej twarzy.

- Co?

- Skąd wiedziałeś, gdzie się tu zatrzymałam? Mógłby wymyślić coś na poczekaniu, żeby zrobić

na niej wrażenie, ale nieraz już w życiu miał okazję stwierdzić, że najprościej jest powiedzieć prawdę. Kłamstwa, i to nawet 'te w dobrej wierze, często się potem mszczą. A on nie życzył sobie dodatkowych przeszkód na ciernistej drodze do Rose.

- Od Daisy, tej nowej barmanki w Men's Grillu. Pytałem ją, czy cię ostatnio widziała. A ona wspomniała, że właśnie wpadłaś do baru

pożegnać się przed wyjazdem do Nowego Jorku. Potem już sam przypomniałem sobie, że masz tu ciotkę.

W rzeczywistości wyglądało to trochę inaczej, ale nie chciał wdawać się w szczegóły. Po co ma wiedzieć, że odważył się zajrzeć do Internetu, szukając adresu Beth. Albo że dotarł do owego adresu dopiero za dwunastym podejściem.

Rose i tak była pod wrażeniem. Nie знаła mężczyzn, którzy słuchają, a do tego zapamiętują, co się do nich mówi.

- I zapamiętałeś jej nazwisko?

Teraz zdał sobie sprawę, że pamięta wszystko, co kiedykolwiek usłyszał z jej ust.

- Pamiętam mnóstwo rzeczy - rzucił jakby od niechcienia.

Po kilku poufanych rozmowach z Beth wciąż nie wiedział, co wolno mu powiedzieć Rose, a co powinien jeszcze zachować dla siebie. Cholernie nienawidził takich machinacji. Lubił być pewnym kolejnego kroku.

A tu jednego tylko był pewien, a mianowicie, że rozłąka z Rose jest dla niego absolutnym utrapieniem. Czy to znaczy, że jest w niej zakochany? Że to trwała miłość, taka, na której ludzie budują związki? Biorą ślub?

Tego nie wiedział. A może i wiedział, tylko bał się przyznać, nawet przed sobą. Zdegustowany taksówkarz obrócił się na siedzeniu, spychając czapkę Metsów na tył głowy i odkrywając okazałą połąkę łysej lśniącej czaszki.

- Naprawdę mi się nie chce przerywać tych cudnych rozmówek, ale dokąd niby mam jechać? - Pokazał ręką na licznik. Najwyraźniej

zamierzał go włączyć niezależnie od tego, czy pasażerowie podadzą mu wreszcie jakiś adres.

Rose spojrzała na Matta.

- Ty wybierz - odparł.

Próbowali już chińszczyznę, kuchnię tajską, steki, byli w restauracji, gdzie podawano owoce morza i raczyli się specjałami kuchni potomków osadników francuskich, Cajunów.

- Na co miałbyś ochotę?

Na ciebie. To była odpowiedź, którą, rzecz jasna, przemilczał. Bo to nie była dobra odpowiedź na tę chwilę, nie w obecności tego napakowanego taksówkarza z dwudniowym zarostem, który łytał na nich okiem.

- Niech to będzie niespodzianka - rzekł zatem. Myśląc o przejażdżce dorożką po Central Parku,

Rose podała adres restauracji mieszczącej się w pobliżu hotelu Plaza, gdzie zazwyczaj dorożki czekają na pasażerów.

Sadowiąc się wygodnie, spojrzała na Matta.

- No to dziś wieczorem kuchnia włoska.

Dziś wieczorem Rose, myślał Matt. Coraz bardziej mu tego brakowało, mógłby zliczyć sekundy, od kiedy kochali się po raz ostatni. Wtedy jeszcze nie wiedział, że następnego dnia dowie się, iż Rose znudziła się ich związkiem i nim. Bo wówczas nie zachowywała się, jak ktoś znudzony czy zmęczony. Była ciepła w jego ramionach. Zupełnie jakby schwycił słońce, które objęło go od stóp do głów.

Nie była w stanie przełknąć ani kęsa. Zawsze uwielbiała kuchnię włoską, a teraz, patrząc na talerz i wpychając pełny widelec do ust, miała

uczucia wręcz przeciwne. Odniosła wrażenie, że jej żołądek zawiązał się w ciasny supeł.

Ale tym razem nie oskarżała o to swojego dziecka. Wszystkiemu winne było oczekiwanie. Jakby zamieniła się w bombę zegarową, która odlicza sekundy do wybuchu. Nie wiedziała, kiedy ani gdzie to nastąpi. Jedno nie ulegało wątpliwości - Matt miał w tym swój udział.

Zerknęła na niego. Kończył właśnie swoją kolację. Przynajmniej jedno z nich jest w stanie jeść, pomyślała z żalem.

- Jak państwu smakuje? - spytał cienki w talii i jeszcze szczuplejszy w biodrach kelner kwadrans po podaniu im zamówionych dań. Spojrzał na talerz Rose i jego uśmiech przyblakł. Złączył dłonie i o mały włos nie zaczął wykręcać palców. - Czy pani nie smakuje? Ktoś ciężko pracował, żeby dogodzić jej tym daniem. Popatrzyła na swój talerz i odezwało się w niej poczucie winy.

- Nie, nie, to jest wspaniałe. Naprawdę - dodała, ponieważ kelner patrzył wciąż podejrzliwie. - Zdaje się, że nie jestem taka głodna, jak mi się wydawało.

Kelner skinął głową.

- Mogę to zapakować na wynos - zaoferował. Rose wiedziała, że Beth chętnie przegryzie jej niedokończone danie o północy albo na śniadanie.

- Byłoby bardzo miło z pana strony, dziękuję.

- Rozumiem, że nie masz teraz ochoty na deser - odezwał się Matt.

Ni stąd, ni zowąd pomyślała o lodach. A te z kolei przywołały wspomnienie pikniku, kiedy to Matt zlizzał kropelkę lodów, która kapnęła jej na rękę.

Powoli, Rose...

- Lody - rzuciła raptem, po czym podniosła wzrok na oddalającego się kelnera, który zatrzymał się, słysząc jej zamówienie. - Proszę.

Mężczyzna rozpromienił się, przechylając idealnie ufryzowaną głowę.

- Oczywiście. Jaki smak?

Rose starała się nie patrzeć na Matta, ale sama nie była pewna, czy jej się udało.

- Waniliowe.

Kątem oka dostrzegła coś w rodzaju uśmiechu na twarzy swego towarzysza przy stole, lecz i za to nie dałaby głowy.

Kiedy w końcu opuścili restaurację, z nieba powitał ich księżyc w pełni. Powietrze było nieprawdopodobnie nieruchome. Lepkość, która trzymała miasto w kurczowym uścisku, zelżała, ale tylko nieznacznie. Od hotelu Plaza dzielił ich krótki spacer. Pod hotelem zastali całą flotyllę pojazdów zaprzężonych w pierwszorzędnie wyszczotkowane rumaki, powożone przez woźniców w eleganckich strojach. Wszyscy czekali na pary zakochanych, którym zapewnią romantyczne zakończenie pamiętnego wieczoru.

Matt wybrał dorożkę i pomógł Rose wsiąść, po czym zajął miejsce obok niej.

Dźwięki wielkiego miasta odpływały w tło rytmicznego stukania kopyt kasztana.

Dorożka kołysała się z lekka. Działo to niezwykle kojąco. Za to obecność Matta u boku oddziaływała na Rose wprost przeciwnie. I tak owe dwa uczucia uzupełniały się wzajem. Rose spuściła z tonu i położyła

głowę na ramieniu Matta. Westchnęła. Jest idealnie, po prostu idealnie.

- Podziękowałam ci już, że mnie uratowałeś? - spytała rozmarzonym głosem.

- Dwa razy. - Nie mógł się oprzeć i wycisnął całusa na jej czole. Nie powinna mieć mu tego za złe. Przecież wcześniej z własnej woli pocałowała go w usta. - Ale możesz to zrobisz jeszcze raz, jeśli będziesz się lepiej czuła.

Stłumiła śmiech, który pojawił się zniemacka. Tak jak podejrzewała, twarz Matta przecinał uśmiech. Niewiele myśląc, wyciągnęła rękę i dotknęła jego warg opuszkami palców. Musiała go dotknąć.

Przytrzymał nieznacznie jej dłoń i przycisnął jej palce do ust, całując każdy z nich po kolei.

Serce jej waliło. Była pewna, że Matt je słyszy. Wszystko zepsuła. Nie chciała poddawać się tego wieczoru, chociaż miała pełną świadomość niebezpieczeństwa. Nie wolno jej dać ponieść się marzeniom ani wierzyć, że czeka ją szczęśliwe zakończenie. Że jakoś to się ułoży między Carsonem i Wainwrightówną.

Opuściła rękę na kolano.

- Dziękuję - mruknęła.

- Nie ma o czym mówić. - Powtórzył pocałunek w czoło, tęskniąc za jej wargami. - Chyba że chcesz.

Rose roześmiała się.

Jaka to ulga śmiać się u jego boku. Upał i wilgoć odeszły w cień. Został tylko Matt i kłębiące się w niej emocje. Uczucia, których głównym bohaterem był Matt Carson.

Dobrze było wiedzieć, że szczerze kocha ojca swojego dziecka. Że

to dziecko miłości, choć poczęte przypadkiem. Takie dziecko ma z góry zapewniony dobry start.

Ale co z całą resztą? Co potem, kiedy się już urodzi? Jakie życie będzie mogła mu zaofiarować? Życie pełne miłości, zapewniła w milczeniu. Bo przecież kocha to dziecko, kochała je od pierwszej chwili, gdy dowiedziała się, że jest, że jego maleńkie serduszko bije pod jej sercem. Że rośnie w niej. Sama zrobiła sobie test ciążowy i całkiem nieświadomie z początku poczuła miłość na widok zabarwionego na niebiesko paska.

Matt objął ją ramieniem i przyciągnął bliżej siebie. Od chwili próby napadu rabunkowego widział w Rose inną kobietę. A raczej tę samą, którą pamiętał z Mission Creek, i która zabrała mu serce.

Przyszło mu nawet do głowy, że niedoszły złodziej zasłużył sobie na napiwek.

Matt milczał zbyt długo. Umoszczona w zagłębieniu jego ramienia Rose czuła na sobie jego wzrok. Ciekawe, co on widzi? Kobietę, która go porzuciła? Kobietę, którą duma kazała mu odzyskać? Czy może kobietę, która coś dla niego znaczy?

Zatrzymaj się, ostrzegła się sama. Przestań oceniać, ciesz się chwilą. Mają przecież tylko te parę chwil.

- O czym myślisz? - spytał w końcu Matt łagodnym głosem.

Zaskoczył ją. Nie mogła powiedzieć mu prawdy. Czym prędzej szukała w myślach czegoś, co nadawałoby się do powiedzenia, a następnie podniosła na niego wzrok. Znalazła odpowiedź.

- Że niebo jest dziś przepiękne, tyle na nim gwiazd. Matt podniósł głowę. Gwiazdy rozrzucone na niebie

migotały jak drogocenne klejnoty.- Którą byś chciała? - spytał.

- A co? - Zaśmiała się. - Złapiesz mi ją na łąasso?

- Nie, myślałem raczej, żeby zamówić ją dla ciebie w magazynie Neimana-Marcusa.

Wyprostowała się, patrząc na niego. Matt mówi przecież o brylantach. Czy ma na myśli pierścionek zaręczynowy? Żartuje sobie z niej czy mówi serio? Kocha ją i chce ją poślubić?

A może dowiedział się o dziecku?

Szukała rozwiązania w jego twarzy, lecz go nie znalazła.

- Nie potrzebuję gwiazd ani brylantów. Dopóki mam ciebie, dodała w myślach.

Matt zamilkł. Wtedy Rose zrozumiała, że to były tylko słowa. Nic nie szkodzi, pocieszała się. W końcu wyjechała z Mission Creek bez wielkich oczekiwań, więc nie powinna się niczemu dziwić.

Krok po kroku. Trzeba sobie z tym radzić krok po kroku, nie szybciej. Reszta przyjdzie sama. Bo musi przyjść.

Nie znała terminu wyjazdu Matta, co pozwalało jej udawać, że to w ogóle nie nastąpi. Że takie chwile jak ta, takie emocje, będą trwać wieczność, a nie tylko przelotny moment.

Sztuka polega na tym, żeby nie myśleć.

- Ma pan niezwykłą damę u boku - odezwał się woźnica z londyńskim akcentem, który pasował do jego cylindra. Odwrócił się do nich i mrugnął do Matta, by dodatkowo zaakcentować swoje oświadczenie.

- Już to odkryłem - odparł Matt, patrząc na twarz Rose.

Położyła mu dłoń na policzku i przyciągnęła do siebie jego wargi. Z

miejsca zakręciło jej się w głowie, jakby wypła do kolacji sporo wina. A przecież tak naprawdę nie jadła ani nie piła. Zjadła tylko lody. Czy można upić się lodami? A może za jej samopoczucie odpowiada siedzący obok mężczyzna? Nie wiedziała i nie dbała o to. Miała ochotę na więcej.

- Dobrze, to by było na tyle, drodzy państwo - oznajmił woźnica, głośno pokaszując, żeby ich rozdzielić. - Wróciliśmy do miejsca startu.

Rose odsunęła się od Matta i zamruwała powiekami, w głowie kręciło jej się wprost nie do zniesienia. Spojrzała na rząd dorożek ustawionych przed ich kasztanem.

- On ma rację - mruknęła z żalem.

Woźnica zerknął na nich przez ramię, bawiąc się lejcami.

- Mogę zrobić z wami jeszcze jedną rundkę, ale będzie kosztowało drugie tyle.

Matt miał wielką chęć kręcić te kółka do białego rana, tak długo, jak długo Rose pozostaje w jego ramionach. Spojrzał na nią pytająco, ale ona pokręciła głową.

Wolała znaleźć się w innym miejscu, w otoczeniu przyjaznych ścian, gdzie nie wypatrzą ich żadne ciekawskie oczy.

- Może następnym razem - powiedział zatem do woźnicy.

Matt dał mu hojny napiwek i wyskoczył. Obszedł dorożkę i chwycił Rose w pasie, żeby pomóc jej wsiąść.

Woźnica rozanielił się na widok napiwku, który znalazł się w jego ręce.

- Będę tu czekał na państwa - obiecał.

Ale mówił już do siebie. Matt i Rose szli ramię przy ramieniu w stronę apartamentowca, w którym mieszkała Beth. Zasada numer jeden

kompletnie uleciała im z głowy.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Drzwi windy rozsunęły się i weszli do środka. Razem z nimi wsiadło do windy kilka innych osób, zabierając miejsce i zmuszając ich do bliskiego kontaktu.

Jazda w górę trwała najdłuższe trzy minuty w życiu Rose. Pożądanie zawładnęło już każdą cząsteczką jej ciała. Zdawało jej się, że oszaleje, jeśli natychmiast nie znajdą się sami.

Postanowienia są dobre, jeśli mężczyzna, którego dotyczą, znajduje się tysiąc kilometrów dalej, bo, jak to mówią: co z oczu, to z serca.

No ale gdy nie dzieliła ją od niego nawet jedna tysięczna centymetra, postanowienie Rose poszło w strzępy szybciej niż bibułka podczas huraganu.

Chętnie znalazłaby coś lub kogoś odpowiedzialnego za ten stan rzeczy - na przykład księżyc, przejażdżkę dorożką, albo fakt, że Matt uratował ją z opresji. Ale wcale nie o to chodziło. Chodziło wyłącznie o niego. O to, że tak naprawdę nigdy go nie zapomniała i zapewne nigdy nie zapomni.

Bo przecież będzie widziała go za każdym razem, gdy spojrzy na swoje dziecko. Współpasażerowie wykruszali się z wolna na kolejnych przystankach. Kiedy winda wjechała na dwudzieste piętro, Rose i Matt zostali niemal sami. Drzwi otworzyły się, wyszli, po czym Rose wzięła

Matta za rękę.

Spojrzał jej w oczy i od razu wiedział, że myślą o tym samym. Koniec z czekaniem. Nie znał jeszcze swojego drugiego kroku, ale ten pierwszy, najbliższy stał się całkiem oczywisty. Będą się kochać.

Rose otworzyła drzwi i zawołała, modląc się w duchu, żeby nikt nie odpowiedział.

- Ciociu, jesteś w domu? Odpowiedziała jej cisza.

Rose w myśli zacisnęła kciuki. W zasadzie w takiej sytuacji powinna natychmiast wyjść z domu. Nie wolno jej zostawać sam na sam z Mattem. Bo to oznacza tylko jedno. Nieuniknione.

Matt zerknął na stół z marmurowym blatem i ujrzał tam różową kartkę. Przeczytał na niej dwa imiona, swoje i Rose, wypisane ręką Beth. Uśmiechnął się i pobłogosławił tę kobietę za jej dalekowzroczność.

- Chyba jesteśmy sami. - Wziął kartkę do ręki. - Poszła do teatru obejrzeć wznowienie „My Fair Lady”, a potem jeszcze na jakieś przyjęcie. Wróci dopiero po północy.

Wypuścił kartkę, wlepiając wzrok w Rose. Byli sami. Nareszcie zupełnie sami. Oddychał coraz szybciej.- Czyli chyba musimy się tu sami rządzić. Rose cofnęła się zdenerwowana, aż wpadła plecami

na ścianę. Patrzyła na Matta z sercem bijącym z podwójną szybkością. Uwięził ją wzrokiem. Sięgnął ku pierwszemu guzikowi jej bluzki i z wolna przeciągnął go przez dziurkę.

Czuła, że musi coś powiedzieć, by nie zorientował się, że ona sama mało nie wychodzi ze skóry.

- Co chciałbyś robić? - wymamrotała.

Drugi z jej guzików uwolnił się, a zaraz potem trzeci. Na twarz

Matta wymknął się uśmiech, z równą łatwością, z jaką wymykały się dziurkom guziki jej bluzki.

- Zgadnij.

Chciała przełknąć, ale miała sucho w ustach. Bardziej sucho niż na pustyni.

- Ile razy mogę zgadywać?

Bluzka była już rozpięta. Matt wyciągnął ją teraz zza paska spódnicy i wycisnął pocałunek na szyi Rose. Jego wargi przyłapały jej przyspieszony puls.

- Zależy. - Podniósł głowę, by na nią spojrzeć. - Ile razy byś chciała?

Oczekiwanie wirowało po jej ciele jak puszczona samowolnie balerina.

- Przestań tyle gadać i pocałuj mnie - rozkazała. Nie była w stanie czekać ani chwili dłużej.

Chwytał jej ręce i trzymał je wysoko nad jej głową przy ścianie. Przyłgnął do niej całym ciałem. Gorączka, którą czuł, była jak stary dobry przyjaciel, który powrócił po przykrych chwilach nieobecności.

- Tak jest, proszę pani - rzekł z przelotną radością, zmiecioną zaraz przez inne emocje.

Jego wargi wędrowały w dół jej ciała. I tylko jedno się w tym momencie liczyło. Pragnął jej. Żadne inne słowa, żadne inne myśli nie istniały. Trzymał ją między sobą a ścianą, nie przestając jej całować. Potem uwolnił jej ręce i dotykał ją, rozpoznając znajome kształty.

Czuł radość powrotu do domu.

Boże, ale on za nią tęsknił! Do tej chwili nawet nie zdawał sobie z

tego sprawy.

Jej ręce gwałtownie zaczęły go szukać. Usta Matta wykrzywiły się w uśmiechu. Rose ciągnęła go za koszulę, która ją od niego dzieliła. Na pół świadomie zrobił mały krok do tyłu, by ułatwić jej zadanie. I by samemu zyskać przestrzeń, która pozwoli mu jej w tym pomóc.

Rose tak się spieszyło, że omal nie pourywała mu guzików. Nie poddawały się łatwo jej manewrom, a ona nie mogła czekać. Chciała znowu poczuć przy sobie jego ciało.

I niezwłocznie przycisnęła wargi do jego piersi. Drżała, choć nigdy nie było jej tak gorąco. W następnej chwili ramiączka stanika ześliznęły się z jej drżących ramion, a za moment stanik odkrył jej piersi.

Zaraz potem Matt zsunął jej przez biodra spódnicę i Rose została tylko w skrawku białej koronki. Matt opadł na kolana. Wstrzymała oddech, a jego wargi przesunęły się w stronę koronkowego drobiazgu, który raptem zjechał w dół.

I tak Rose pozbyła się ostatniej przeszkody.

Zatopiła palce we włosach Matta, przysuwając go bliżej.

Powściągnęła jęk, przestała na chwilę oddychać. Oszołomiona znalazła się w jego ramionach, które gdzieś ją niosły. Oplotła jego szyję rękami.

Matt kierował się do jej sypialni. Położył ją ostrożnie i szybko zdjął spodnie, kopiąc je na bok, nim zrzucił z siebie bieliznę. Rose szepnęła, patrząc na to:

- Nie. Ja to zrobię.
- Zawsze do usług.

Ułożył się przy niej, czując, jak spieszą się jej chłodne palce.

Zamknął oczy, koncentrując się na jej dotyku, jej dłoni leciutko sunącej

po nim. Raptem Rose zmieniła bieg, szarpnęła jego spodenki i rzuciła je w kąt.

Widział błysk w jej oku. Chciała się z nim podroczyć, ale ściągnął ją w dół, żeby nie odwlekać. Uniósł głowę i poszukał jej warg. Kładąc rękę na jej karku, przytrzymał ją w miejscu.

Wtedy właśnie pomyślał, że nigdy się nią nie nasyci. Im dłużej ją całował, dotykał, tym bardziej tego pragnął. Przesunął się, żeby to ona znalazła się teraz plecami na łóżku, i na nowo zwiedzał znane mu już obszary. Na nowo zdobywał to, co już kiedyś należało do niego.

Rose za każdym jego dotykiem, za każdym jego pocałunkiem marzyła, żeby to nigdy nie dobiegło kresu, a równocześnie, żeby nareszcie doprowadziło ją do celu tej drogi. I te dwa przeciwstawne dążenia walczyły w niej o lepsze, choć rzeczywistość kazała im współżyć. Nie było wyjścia, Rose ledwo trzymała się krawędzi przepaści i czuła, że jeszcze moment, a przestanie za siebie odpowiadać.

Matt kochał się z każdą jej najmniejszą cząsteczką.

Tak był jej wdzięczny za tę drugą szansę.

Rose należy do niego.

Niech sobie mówi, co chce, niech zaprzecza, on wie swoje. Uległa mu po pierwszym dotyku. A jego to jednocześnie upokarzało i napełniało radością.

Ich namiętność rozpała nawet skłębioną pod nimi pościel. A oni zamieniali się rolami, raz on był jej więźniem, raz ona jego.

Rose spojrzała na niego:

- Proszę.

Ledwie ją słyszał. Dotarło do niego dopiero echo jej słowa. Jego

twarz przeciął miękki wrażliwy uśmiech.

- Nigdy nie proś o to, co już masz - szepnął jej do ucha.

Wsparł się na łokciach i rozsunął jej nogi. A kiedy opadł na nią po chwili, wiedziała, że cokolwiek stanie się po tej nocy, będzie dobre. Ze wszystkim sobie poradzi, ponieważ zostanie z tym wspomnieniem.

Tym razem było im ze sobą najlepiej.

W końcu Matt, wyczerpany, zsunął się z niej, choć Rose wciąż go obejmowała.- Jeszcze nie - powiedziała tak zmęczona, że słowa przychodziły jej z ogromnym trudem. - Jeszcze minutkę dłużej.

- Za minutkę będzie krócej. - Uśmiechnął się, całując ją w policzek.

- Nie chciałbym się przy tobie wstydzić - zażartował.

- Nigdy nie będziesz musiał niczego się wstydzić. Uniósł się na łokciu i oparł głowę na zaciśniętej w pięść dłoni. Patrzył na Rose.

- Robiłaś już porównania, tak?

Był jej pierwszym mężczyzną, i oboje o tym wiedzieli. Pierwszym i ostatnim - o czym już tylko ona wiedziała. Bo przecież w jej życiu nie pojawi się już ktoś taki jak Matt.

- Nie, kobieta po prostu wie takie rzeczy. Zaśmiał się, czule pieszcząc jej piersi.

- Żebyś tylko absolutnie nie przeprowadzała żadnych badań w tej kwestii - ostrzegł ją z szerokim uśmiechem.

Pożądanie ogarniało Rose niczym promień słońca, który zagarnia ziemię. Jeszcze chwilę wcześniej przysięgłaby, że nie ma już sił oddychać. A tu, ni stąd, ni zowąd, takie przebudzenie. Co on jej takiego zrobił?

- Wręcz przeciwnie.

Matt uniósł brwi rozbawiony. Przytulił ją. Chwycił delikatnie zębami koniuszek jej ucha. W najśmielszych marzeniach nie przypuszczała, że mężczyzna może ją tak rozpać.

- Dużo myślisz o sobie, prawda?

- Prawdę mówiąc, myślę o tobie. - Wplótł palce w jej włosy, odgarniając je z twarzy. - Martwego byś obudziła, Rose. A każdy, kto przysięgł sobie żyć w celibacie, złamałby przysięgę.

Teraz ona roześmiała się, wtulając się w niego.

- Akurat ty żyłeś kiedyś w celibacie!

- Żyłem - spowaźniał. - Odkąd odeszłaś. Myślała, że serce jej pęknie z radości. Ujęła jego

twarz w dłonie i podniosła głowę, żeby go pocałować. I żeby zacząć drugą rundę z trzech, jakie odbyli tej nocy.

Beth cicho zamknęła za sobą drzwi, wchodząc do domu na palcach. Przedstawienie było wspaniałe, towarzystwo na przyjęciu znamienite, a mimo to zdarzało jej się parokrotnie wybiegać myślami ku swojemu mieszkaniu i temu, co tam ewentualnie się dzieje.

Zauważyła, że wciąż pali się światło w salonie. Czyżby siedzieli tam do tej pory?

Miała nadzieję...

Znieruchomiała, kładąc torebkę na stoliku.

Jej liścik zniknął. Leżał na podłodze, obok bluzki Rose. A tuż koło bluzki spoczywała koszula Matta.

Szeroki uśmiech rozciągnął wargi Beth. Nareszcie, ucieszyła się, zamykając oczy. Alleluja! Już zaczynała tracić nadzieję, że tych dwoje

kiedykolwiek znów się połączy. Pogwizdując „O ho ho, Higgińszczaku, czekaj no!” pochyliła się i zebrała ubrania z podłogi. Na widok spódnicy Rose z jej ust wydobyło się dla odmiany: „Czoła pałą, serca wałą, wałą tętna, chwila zbliża się pamiętna”. Podniosła spódnicę, czując, że to już nie żarty.

W następnej kolejności wyszła z bielizną bratanicy, dosłownie kilka kroków dalej. Zaczęła gwizdać największy przebój „My Fair Lady” - „Przetańczyć całą noc”.

Nie przestając nucić, rozejrzała się bacznie wokół, czy nie wpadną jej w oko spodnie Matta albo jego niewymowne. Nie wypatrzyła ich. Nie szkodzi, myślała. Pewnie są w którejś z sypialni, Rose albo jego.

Odłożyła zebrane ubrania na oparcie fotela i pomyślała, że musi znaleźć jakiś sposób, żeby je o świcie podrzucić do właściwych pokoi.

Nie ma sensu ambarasować gołąbeczków, uznała. Chciała tylko, żeby się dobrze umościli.

Prostokątne lustro w holu odbiło jej promienny uśmiech. Jej zadanie na ten wieczór zostało wykonane. Beth, usatysfakcjonowana, podreptała do łóżka.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

O nie, nie teraz.

Gwałtowny ścisk żołądka nielitościwie wyrwał Rose z krainy mglistych marzeń i ciepłego zadowolenia.

Proszę, nie teraz. Przecież on śpi obok.

Tak mocno zaciskała dłonie pod kołdrą, aż zbieleły na kłykciach.

Leżała, z całej mocy skierowując myśli na inne tory. A jeśli nie myśli, to przynajmniej żołądek.

Ale im bardziej się starała, tym gorzej jej wychodziło. W dwie minuty po przebudzeniu wiedziała już, że jeśli nie wstanie czym prędzej, wymiotuje w łóżku.

To by dopiero była spektakularna pobudka dla Matta.

Przyjrzała mu się i wysunęła stopy spod przykrycia. Matt ani drgnął.

Nie marnując czasu na westchnienie ulgi, poderwała się i jak najciszej potruchtała po dywanie. Chwyła cienki bawełniany szlafrok, przerzucony poprzedniego wieczoru przez wezglowie łóżka. Zaciśnęła wargi, by nie wymiotować, nim zajdzie do łazienki.

Nad jej brwiami zabłyśły krople potu, przez moment sądziła, że nie zdąży, lecz w końcu jakoś się udało.

Jak najciszej zamknęła za sobą drzwi łazienki i włożyła ręce w rękawy szlafroka. Przyszło jej do głowy, że gdyby miała tam umrzeć, za nic nie chce być znaleziona naga.

Ledwie włożyła szlafrok, padła na kolana. W ostatniej chwili. Natychmiast zdała sobie sprawę, że tym razem będzie dużo gorzej. I nie pomyliła się. Miała wrażenie, że jej wnętrzności wywracają się do góry nogami.

Łzy napłynęły jej do oczu, w gardle zaschło. Już myślała, że to koniec, i okazywało się, że jeszcze nie. Taka sytuacja powtórzyła się kilkakrotnie. Kiedy już nic w niej nie zostało, trzewia wciąż wykrcęwały się, aż myślała, że naprawdę umrze. Ścisnęła kurczowo porcelanową miskę klozetową i ciężko oddychała.

Co za piekielna ceremonia ku czci poczętego dziecka!

Lekki wczesnoporanny wietrzyk po cichu zakradł się do sypialni, szukając schronienia przed upalnym i wilgotnym dniem, który zbliżał się wielkimi krokami. Delikatnie musnął ledwie zakryte ciało Matta, rozbudzając go.

Matt obrócił się z westchnieniem wyrażającym o niebo więcej niż zadowolenie i nie podnosząc powiek, wyciągnął rękę ku Rose. Chciał ją przytulić i zatrzymać przy sobie możliwie najdłużej. Przeżył wymarzoną, niezapomnianą noc, i postawił sobie za cel, żeby była pierwszą z niezliczonych nocy, które spędzą razem. Prócz sporu ich rodzin nie ma żadnego innego powodu, żeby nie mogli dojść do porozumienia, jeśli tylko zechcą.

W chwilę potem otworzył oczy, znajdując potwierdzenie tego, co powiedziały mu już inne zmysły.

Rose nie było obok niego.

Rozczarowany, wciąż nie w pełni przebudzony, uniósł głowę i spojrzał przez pokój. Ciekaw był, czemu wymknęła się z łóżka, zostawiając go samego.

Zamknięte drzwi łazienki udzieliły mu odpowiedzi.

Usiadł, opierając się o poduszki, i splótł palce za głową. Chciał być gotowy, kiedy Rose wskoczy z powrotem pod kołdrę. Nie potrzebował wiele, wystarczyła mu pamięć minionej właśnie nocy.

Wspomnienie jej ciała.

Jego uwagę przyciągnął raptem dziwny zduszony dźwięk. Matt zaczął się weń wsłuchiwać. Dźwięk dochodził niewątpliwie z łazienki. I gdyby to nie był głupi pomysł, pomyślałby, że komuś zrobiło się niedobrze.

Ale tak właśnie było.

Rose?

Przejął się, spuścił nogi i wstał czym prędzej. Odgłosy wymiotów trwały dalej. Czyżby Rose się czymś zatrula?

Przystanął pod drzwiami łazienki na moment, żeby to rozważyć. Poprzedniego wieczoru oboje jedli to samo, łącznie z jabłecznikiem na deser. Proponował drinka, ale Rose nie miała ochoty na wino, a zatem zamiast alkoholu wybrali coś słodkiego. Uświadomił sobie przy okazji, że Rose nie wypła ani kropli alkoholu do żadnego z posiłków, które jedli wspólnie od jego przyjazdu do Nowego Jorku. Pamiętał też, że mówiła mu kiedyś, iż zdrowo jest wypić kieliszek wina do kolacji. Ciekawe, dlaczego nagle tak radykalnie zmieniła zdanie?

Potem uprzytomnił sobie także, że poprzedniego wieczoru Rose prawie nie jadła. Bawiła się widelcem i przełknęła ledwie kilka kęsów. A więc, gdyby w grę wchodziło zatrucie, on pierwszy powinien był mu ulec.

A jemu nic nie dolegało.

Z drugiej strony, jeśli odgłosy dochodzące z za drzwi mówiły cokolwiek, to z pewnością świadczyły o tym, że Rose jest w opłakanym stanie. Zastanowił się, czy nie powinien zawołać Beth.

Wrócił do łóżka i sięgnął po spodnie. Bielizna nie wydała mu się ważna w tym momencie. Włożył spodnie i zapiał zamek błyskawiczny, po czym podszedł raz jeszcze do łazienki.

Zapukał lekko. Dźwięki urwały się w jednej chwili. Matt oparł się o drzwi. Co się tam dzieje?

- Rose, jesteś tam? Nic ci nie jest?

O Boże, pomyślała Rose, wszystko słyszał. Załamana kompletnie,

zakryła usta, żeby nie zawyć z rozpacz.

- Nic - zdołała jakimś cudem wykrztusić, podciągając się w górę na miękkich nogach.

Jak najszybciej i możliwie najciszej odkręciła wodę i zmoczyła twarz. Wypiła łyk wody nabranej w dłonie. Wypłukała usta i wypłukała wodę.

Czuła potworny niesmak, cała była obolała. Ale przynajmniej przestała wymiotować. Na dzisiaj.

Matt zmarszczył brwi.

- Na pewno? Zaszkoziła ci wczorajsza kolacja?

- Tak. - Wytarła twarz, czepiając się podrzuconej przez niego wymówki. - Chyba tak. To znaczy... - Nie miała siły tego rozwinąć. - Może.

W następnej minucie Matt otworzył drzwi. Kropelki potu przykleiły włosy Rose do jej czoła. Zupełnie tak samo jak w nocy, pomyślał. Tyle że w nocy wyglądała pięknie, a teraz kryła się za wymuszonym uśmiechem.

Stał tak chwilę bez ruchu, niepewny, czy nie przekracza jakiejś nieprzekraczalnej granicy. Za każdym razem, gdy czuł się źle, wybierał samotność. Ale z drugiej strony nie potrafił jej tak zostawić.

- Mogę ci w czymś pomóc?

Rose pokręciła głową. Bardzo powoli, żeby nie spowodować samoczynnych konsekwencji.

- Nie, chyba że mógłbyś za mnie wymiotować. - Posłała mu najjaśniejszy uśmiech, na jaki było ją stać w tych okolicznościach. - Już mi przeszło. Naprawdę.

Matt dotknął jej czoła, by sprawdzić, czy nie jest gorące. Nie było

gorące, za to zupełnie mokre. A policzki Rose zaczerwieniły się mocno. Tak samo jak wtedy, gdy zemdląła w poprzednim tygodniu.

Tamta scena wracała do niego jak bumerang wraz z pytaniem siostry Mary Katherine, które zadała, widząc Rose w jego ramionach w katedrze Świętego Patryka. Rose odsunęła głowę.

- Już mi przeszło - powtórzyła.

I wtedy zobaczyła to jego spojrzenie. Dziwne spojrzenie, jakby widział ją po raz pierwszy. Niepokojące spojrzenie, które postanowiła zignorować. Lecz nie mogła tak sobie zignorować pytania w jego oczach. Stwierdziła zatem, że musi stawić czoło życiu, a on stanowił jego część.

- Co? - spytała.

Matt poczuł się głupio, ale miał świadomość, że dopóki nie zada jej tego pytania, nie znajdzie spokoju. Nękał go też lęk, że jej odpowiedź może w dużym stopniu zmienić jego życie. A w zasadzie życie ich obojga.

Nie namyślając się dłużej, by nie zrejterować, rzucił:

- Rose, jesteś w ciąży?

Zbladła śmiertelnie. Zadał jej właśnie to pytanie, którego tak się bała, odkąd stanął na progu domu jej ciotki. Nie potrafiła kłamać, ale prawda też była wykluczona.

Zagrała na zwłokę.

- Skąd coś takiego przyszło ci do głowy?

Nie zaprzeczyła mu gwałtownie. Gdyby nie była w ciąży, pewnie by tak zrobiła. A zatem poznał jej odpowiedź. Nie takiej odpowiedzi sobie życzył, ponieważ czuł się wobec niej bezradny.

Rose jest przecież taka szczupła, pocieszał go wewnętrzny głos.

Dotykał ją w nocy. Czuł pod palcami tę samą Rose, którą znał z domu, a jeśli już coś się w niej zmieniło, to stała się bardziej namiętna. Nie, to wykluczone, żeby była w ciąży. A gdyby jednak?

- Więc jesteś, tak?

Nie miała zwyczaju kłamać. Wykręty, wymówki, to tak, ale nie kłamstwo prosto w oczy. Nigdy tego nie robiła, w stosunku do nikogo, a już na pewno nie wobec osoby, która tyle dla niej znaczy. Gdyby jej ojciec spytał ją wprost, czy Matt Carson jest ojcem jej dziecka, nie zostałyby jej nic innego, jak wyznać prawdę.

Teraz też nie miała wyboru.

Owszem, już go okłamała, twierdząc, że chce z nim zerwać. Ale nie chciała tego zrobić, została do tego zmuszona. Tak to sobie w każdym razie tłumaczyła.

Teraz nie dysponowała podobnymi wymówkami. Istniało tylko proste pytanie zawierające bezpośrednią hipotezę.

Prostując ramiona, spojrzała na Matta, nieświadomego ojca jej dziecka. Stała niczym żołnierz na wprost swojego wroga.

- Tak, jestem.

Matt przeżył szok, i to pomimo tego, że takiej właśnie odpowiedzi się spodziewał.

- Czemu nic nie mówiłaś? - spytał, a jego oszołomienie zamieniało się szybko w złość.

Nie podobał jej się ów ton. Brzmiało to tak, jakby była mu winna codzienne raporty ze swoich zajęć.- To chyba oczywiste - odparowała. - Bo nie chciałam.

On zaś widział tylko jeden powód takiego zachowania. Zabolalo go

bardziej niż tego dnia, kiedy zrzucił go koń i złamał sobie trzy zębra.

- Czyje to jest? - warknął rozgorączkowany. Rose szeroko otworzyła oczy. Jak on śmie?

- Co?

Złość roznosiła go do tego stopnia, że nie usłyszał niebezpiecznej nuty w jej głosie. Zaślepiła go możliwość zdrady.

- Chce to wiedzieć, Rose. Mam prawo wiedzieć.

- Sporo go kosztowało, żeby nie chwycić jej i nie potrząsnąć nią z całej siły. - Kto jest ojcem tego dziecka?

Teraz krzyczał jak jej własny ojciec. Z tą różnicą, że tamten nie oskarżał jej, że jest niewierną dziwką. A to właśnie tkwiło w podtekście słów Matta.

W Rose rodził się bunt i wściekłość.

- Jak w ogóle masz czelność tak się do mnie zwracać?

- Jak?! - wrzasnął. - Jak śmiem? Powiem ci, jak śmiem. Śmiem, bo jestem głupcem, który przyleciał aż do Nowego Jorku, żeby namówić cię do powrotu.

- Jego ból był tak wielki, że mało nie zatkał mu gardła.

- Bo jestem skończonym idiotą, który zakochał się w pannie Wainwright.

To był cios ostateczny. Zdaniem Rose ten rodzinny spór był kompletnie absurdalny, ale nie znaczy to, że pozwoli komukolwiek, nawet Mattowi, obrażać jej rodzinę.

- Idiotą, który zakochał się w pannie Wainwright?

- powtórzyła. - Mówisz, jakby Wainwrightowie byli tylko o stopień lepsi od trędowatych! - krzyknęła na niego. - Tak właśnie uważasz?

Z miejsca pojął swój błąd i wiedział, że powinien ją przeprosić. Ale czuł się zbyt urażony, żeby bawić się w sprostowania.

- Już nic nie wiem, co czuję, do diabła.

- A ja wiem. Jestem wściekła. Cholernie wściekła, że straciłam czas, myśląc o tobie, martwiąc się o ciebie... - Martwiła się, jak zareaguje Matt na wieść o dziecku.

- O mnie się martwiłaś?! - dosłownie zawył. Co ona bredzi? - A czemu niby miałabyś się o mnie martwić?

Chwyliła poły szlafroka i związała go.

- Bo to ja jestem głupia, a nie ty. Właśnie dlatego.

- Nie zamierzała wyjaśniać nic więcej, kiedy on odzywa się do niej takim tonem, kiedy myśli, co myśli. Wymaszerowała z łazienki, wskazując na drzwi swojej sypialni.

- A teraz wynoś się! Nie żartuję. I to już!

Matt nigdzie się nie wybierał, dopóki nie dowie się wszystkiego.

- Nie ruszę się stąd, póki nie powiesz mi, jak się nazywa ten wąż, który wpełzł do twojego łóżka i kochał się z moją kobietą. Zabiję go.

Rose patrzyła na niego oniemiała. Teraz dla odmiany mówił o niej, jakby była jego własnością, którą należy zamknąć w jakimś sejfie z cennymi strzelbami i innymi przedmiotami z jego kolekcji.

- Twoją kobietą? A od kiedy to jestem twoją kobietą? Zawsze mówiłeś, że nic poważnego nas nie łączy, że to tylko przygoda.

Te właśnie słowa chodziły jej po głowie, gdy pakowała się przed wyjazdem z Mission Creek. Nie obciąża się dzieckiem faceta, który nie chce się wiązać. Chyba że chce się spędzić z nim życie w domowym więzieniu.

Matt odchrząknął.

- A ty w to uwierzyłaś, prawda? Natychmiast podniosła do góry brodę.

- Uwierzyłam kłamcy - zadrwiła. - Tak, chyba tak. Chciał ją przytulić i zażądać wyjaśnień, dlaczego tak się zaparła, żeby złamać mu serce.

Nie był w stanie.

Nie chciał okazywać przed nią swoich słabości. Nie chciał, by zobaczyła, że wciąż ją kocha, i to mimo to, że poszła do łóżka z jakimś obcym facetem.

Zrobiłby najlepiej, gdyby trzasnął drzwiami i szedł przed siebie, nie zatrzymując się, byle dalej. Tego też nie potrafił. Najpierw musiał sobie poradzić z roznoszącą go furia.

Nie umiał sobie pomóc, więc złapał Rose za ramiona.- Powiedz mi, kim jest ten drań, a wyrwę mu serce i przyniosę ci na tacy.

Jego oczy zamieniły się w wąskie szparki. Mimowolnie podrzucił jej rozwiązanie. Jeśli Matt uwierzy, że to nie jego dziecko, myślała Rose, wyjedzie i więcej się już nie zobaczą. To będzie koniec. Tak jak planowała na początku.

Tylko czemu taka perspektywa boli jak rana zadana prosto w serce?

- Nie masz prawa odzywać się do mnie w taki sposób, nie masz prawa mnie przesłuchiwać. A teraz wynoś się z mojego pokoju! - rozkazała.

Matt ani drgnął. Uderzyła go otwartą dłonią w piersi i wypchnęła za drzwi.

Prosto na ciocię Beth.

Beth, przywołana przez uniesione głosy, patrzyła na nich z troską i

zmieszaniem rysującymi się na jej wypielegnowanej twarzy.

- Co tak krzyczycie? Właśnie odebrałam telefon z katedry. Pytali, czy życzymy sobie wizyty egzorcysty. - Przenosiła wzrok z jednej wzburzonej twarzy na drugą.

- Co się tu dzieje, na Boga świętego?

- Jego spytaj. - Rose gwałtownie wysunęła palec w stronę Matta. - On zna wszystkie odpowiedzi.

Z tymi słowy zatrzasnęła przed nimi drzwi i zniknęła.

Beth spostrzegła, że Matt opuszcza ramiona. Współczucie napłynęło do niej tak gwałtowną falą jak huragan. Obdarzyła go pełnym zrozumienia uśmiechem. - Wpadniesz do kuchni na filiżankę kawy? Matt westchnął, uniósł ramiona i odwrócił się.

- Jasne. Możesz dorzucić do niej szczyptę arszeniku?

- No, no, nie jest chyba tak źle - powiedziała, dodając poufalę: - Chociaż muszę przyznać, że przez chwilę brzmiało to raczej fatalnie. - Weszła do kuchni, zapalając górne światło. - Wyrwaliście mnie z głębokiego snu.

- Przepraszam.

- Nie ma potrzeby przeproszać - rzekła. - Przynajmniej nie mnie - poprawiła się.

Położyła mu rękę na ramieniu i skierowała go na krzesło przy kuchennym stole.

- Zostań - poleciła z przymrużeniem oka, po czym zajęła się kawą.

Ada przychodziła dopiero o dziesiątej, czyli mniej więcej o tej porze, o której Beth wstawiała zwykle z łóżka. Ale kawa nie robi się sama. Beth musiała najpierw znaleźć filtry do kawy, jeśli miała ochotę na-

pić się jej przed dziesiątą.

Wybrała na chybił trafił jedno z wielu drzwiczek kredensu i rozpoczęła poszukiwania. Nie miała zielonego pojęcia, gdzie mieści się większość sprzętów w jej własnej kuchni.

- No cóż - podjęła radośnie, kontynuując łowy. - Powiesz mi, czego dotyczył ten pojedynek na wrzaski?

Wlepiając wzrok w dłonie, Matt rzucił ponuro:

- Dowiedziałem się, że Rose jest w ciąży.

Beth przerwała na moment polowanie, zerkając na niego przez ramię.

- O.

- Wiedziałaś? - spytał zdumiony.

Czyżby wszyscy wiedzieli? Poczuł się jeszcze większym głupcem niż przed chwilą.

Machnęła ręką. Nie pofatygowała się, by mu powiedzieć, że wyczytała to z oczu Rose w ciągu pół godziny od jej przyjazdu. A w zasadzie jeszcze prędzej.

- Każdy, kto ma oczy, to widzi. - Znów na niego spojrzała, tym razem z dobrotliwym uśmiechem. - Może oprócz mężczyzn - dodała.

Uważała, że mężczyźni to zupełnie inny gatunek. Nie potrafią wyłapać takich delikatnych niuansów, a jeśli już, to nieprędko.

Matt nie bardzo wiedział, czy ma się z tego cieszyć. Poczuł się nagle zbyt nieszczęśliwy, by mówić. Jak Rose mogła mu zrobić coś takiego? Jak mogła?

- No i są - oznajmiła Beth, przerywając jego rozpaczliwe myśli.

W rękę trzymała triumfalnie filtry do kawy. Postawiła pudełko na

blacie i podeszła do lodówki. Wiedziała przynajmniej, gdzie szukać kawy.

- Chyba nie wydzieraliście się tak dlatego, że Rose jest w ciąży? A jak się w ogóle dowiedziałeś?

Wzruszył ramionami. Jakie to ma znaczenie, jak się dowiedział? Ważne, że to fakt.- Była w łazience, wymiotowała. Zbudziłem się i usłyszałem ją.

- Tyle wystarczy. - Skinęła głową zaaferowana, odmierzając odpowiednią ilość ziaren. - A skąd ci w ogóle przyszło do głowy, że jest w ciąży? Przecież mogła po prostu być chora.

- W zeszłym tygodniu zemdląła przed katedrą. Zakonnica, która nam pomogła, spytała mnie, czy Rose jest w ciąży.

Rose nie wspomniała ciotce o tamtej chwili słabości. Beth ściągnęła brwi. Ta dziewczyna musi łykać więcej witamin dla przyszłych matek, stwierdziła.

- Aha, no to już wiesz. - Nalała wodę do dzbanka. - To czemu tak na nią krzyczałeś?

Matt poczuł nową falę złości.

- Bo to nie moje dziecko.

Beth odwróciła się od kawiarki, zaskoczona.

- A czemu nie miałyby być twoje?

Dla niego było to dość oczywiste. Doszedł do takiego wniosku w jedyny znany sobie sposób.

- Bo mi nie powiedziała, że moje, więc... Beth tylko pokręciła głową.

- Matt, Matt, Matt. - Zmierzwiała mu włosy. - Wiesz co, jak na młodego inteligentnego mężczyznę, bywasz potwornie głupi. Nawet jak

na Carsona. - Matt gwałtownie cofnął głowę oburzony, a ona uśmiechnęła się do niego z satysfakcją. - Widzisz? Niezbyt to miłe, jak strzała przebija twoją grubą skórę. - Zobaczyła konsternację na jego twarzy. -

Wkroczyłam do akcji, kiedy robiłeś tę uwagę o zakochaniu się w pannie Wainwright. Zawstydzony i speszony przede wszystkim tym, że został przyłapany, Matt wzruszył ramionami.

- Przepraszam, nie miałem nic złego na myśli. Po prostu emocje wzięły górę. Myślałem, że znalazła sobie kogoś - tłumaczył się bezradnie - że może spotyka się równocześnie ze mną i z tym drugim, przez cały czas, i dowiedziała się, że to jego dziecko.

Beth westchnęła, stawiając na stole dwie znalezione w kredensie filiżanki. Wycelowwała w Matta palec.

- Po pierwsze, mój chłopcze, nie wyciągaj pochopnych wniosków. - Przyjrzała mu się, zastanawiając się, jak dojść do prawdy, nie odkrywając czegoś niepotrzebnie. - Czy Rose powiedziała ci, że ma kogoś?

- Nie - odparł udęcony. - Ale też nie zaprzeczyła. Przecież powinna zaprzeczyć, gdyby nikogo nie było.

Beth pozostawiła odkrycie prawdy Rose, bo to w końcu jej prawda. Miała związane ręce. A raczej, w tym wypadku, usta. Przewidywała, że trudno będzie utrzymać spokój i przekonać Matta, by został dłużej. Czasami sama miała ochotę potrząsnąć dobrze tą dziewczyną.

Uniosła drugi palec.

- Po drugie, nigdy niczego nie zakładaj z góry. Zaczekaj, aż otrzymasz dowody. A po trzecie, nawet jeśli było was dwóch i Rose odkryła, że jest w ciąży - co wcale nie znaczy, że faktycznie jest was dwóch - ojcostwo można ustalić dopiero po zrobieniu testów. Matt spuścił

głowę i schował ją w dłoniach. Czuł się zdradzony przez Rose, był zły, że stracił panowanie nad sobą.

- Chyba nie umiem teraz jasno myśleć - mruknął.

- Chyba masz rację. - Beth stwierdziła, że zapomniała o jednej z istotnych czynności w parzeniu kawy i czym prędzej podstawiła dzbanek pod dyszę. W samą porę, bo czarny płyn już płynął. Obejrzała się na Matta zadowolona. - I co teraz zamierzasz?

Logicznie rzecz biorąc, powinien wyjechać. Zdawał sobie z tego sprawę. Ale logika ustąpiła pragnieniu opieki nad Rose. Jego rozsądek został odesłany do diabła.

- Mogę zrobić tylko jedno - stwierdził. - Poproszę Rose o rękę. Nie może wrócić do domu w takim stanie i bez męża. Czasy mamy niby takie postępowe, ale tam, u nas, wciąż piętnuje się samotne matki. Nie pozwolę, żeby ją to dotknęło. Ona na to nie zasługuje.

Tak, uznała po cichu Beth, to prawda. Zaczęła podejrzewać, że Rose otrzyma to, na co zasługuje. Chyba że okaże się zbyt uparta i wszystko zepsuje.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

- Nie pchaj w to nosa, bo zobaczysz metkę z ceną, na którą cię nie stać.

Głos urwał się równie nagle, jak się pojawił. Sędzia Carl Bridges usłyszał w słuchawce ciągły sygnał, który wciąż dzwonił mu w uchu. Zobaczył, że jego ręka drży. Dobierają się do niego...

Zmusił się, by odłożyć słuchawkę. Do jego gabinetu napływały z

wolna cienie zmierzchu. Stał sam w osaczających go ciemnościach.

Ile było tych telefonów? Trzy? Nie, cztery. Cztery telefony do jego domu w Mission Creek z mętными pogroźkami, które tylko on rozumiał. Nie musiał pytać, co znaczy owo „to”, o którym wspominał męski głos po drugiej stronie. On wiedział.

Ostrzegali go, by trzymał się z daleka od wszelkich spraw związanych z teksaską mafią. Zapewne uważali, że sędziowie nie są odporni na strach.

I mieli rację.

Stało się dla niego oczywiste, że ktoś widział go, jak odwiedzał w szpitalu Isadore Mercado, matkę Haley, tuż przed morderstwem. Nie miał cienia wątpliwości, że kobieta, którą niegdyś kochał, którą wciąż kocha, nie umarła na skutek komplikacji po pobiciu przez kogoś z mafii. Zamordowano ją w szpitalnym łóżku, uduszono. Jako ostrzeżenie dla jej męża, Johnny'ego. Nie ma odwrotu od mafii, mówili mu w ten sposób. Mafia nikomu nie pozwala odejść.

Carl cieszył się tylko, że zdołał porozmawiać z Haley i przemycić ją do pokoju szpitalnego, by po raz ostatni spotkała się z matką.

Teraz było jasne, że ten prosty akt uprzejmości naraził go na niebezpieczeństwo. Dla Haley było on podwójne.

Liczył na to, że FBI nie spuszcza jej z oka.

Uspokajał się myślą, że gdyby mafia chciała go zlikwidować, już by to zrobiła. Znał ich, wiedział, co to za ludzie. Odznaczali się okrutnym poczuciem humoru, które kazało im bawić się z niedoszłą ofiarą. Był myszą dla ich kota. Taka prosta gra.

Nie wiedział, czy jest sens zawiadamiać FBI o telefonach z

pogrózkami. Czy to by mu w czymś pomogło? Czy pomogłaby ochrona, której naprawdę potrzebował? Wątpił, by dało się wyśledzić jego rozmówców z pomocą podsłuchu. Mafia jest za sprytna na takie niewymyślne sztuczki.

No ale on jest sędzią i ma jakieś układy. Może więc warto jednak zadzwonić? W końcu co ma do stracenia?

Ale gdy sięgnął ponownie za słuchawkę, nie zadzwonił do najbliższego biura FBI. Tym telefonem zaprowadzi w swoim życiu porządek, który dawno już należało zrobić. Jak ponury, nieproszony gość prześladowała go świadomość własnej śmiertelności. Gdyby miał zakończyć życie tego wieczoru, w ciągu najbliższej godziny, jego konflikt z synem Dylanem, który zerwał z nim stosunki, pozostałby nie rozwiązany.

Trzeba to wyprostować. Nie może umrzeć z takim balastem na sumieniu. Nie może odejść z tego świata, zostawiając Dylana w niewiedzy, że wybaczył mu wszystkie grzechy przeszłości.

Naciskał na tarczy cyfry, które, jak sądził, dawno uleciały mu z pamięci. Cyfry składające się na domowy numer syna. W słuchawce zabręczało pięć sygnałów. Zawahał się, czy się nie rozłączyć, nim odezwie się automatyczna sekretarka. Nie chciał, żeby po tak długim czasie jego pierwszy kontakt z synem odbył się w formie bezosobowego jednostronnego nagrania.

Ale lepsze to niż nic, stwierdził jednak pesymistycznie. W słuchawce tymczasem wybrzmiały kolejne dwa sygnały.

- Słucham?

Carl ścisnął mocno słuchawkę. To nie była automatyczna sekretarka.

To był głos syna. Carl wziął głęboki oddech.

- To ty, Dylan?

- Tak? - Po drugiej stronie linii zapadła cisza. Syn nie rozpoznał go.

- Kto mówi?

Coś kazało Carlowi odłożyć słuchawkę, odłożyć tę idiotyczną rozmowę. Okazał się wszelako silniejszy od podobnych podszeptów.

- Dylan, mówi twój ojciec.

- Tata? - spytał Dylan z niedowierzaniem. Niepewność w jego głosie wskazywała na to, że stara się wybadać, czy to czasem nie jakiś bezduszny żart.

Carl zaczął zaraz mówić, i to szybko, wiedząc, że jeśli nie wykorzysta tej okazji, nigdy tego nie zrobi. Nie dawał Dylanowi szansy na odłożenie słuchawki. Po takim długim czasie syn miał do tego pełne prawo. To on, Carl, zawinił, nie Dylan. Powinien był wykazać więcej zrozumienia, nie dbać tak przesadnie o swój wizerunek, o to, jak świat postrzega sędziego, któremu przytrafił się trefny syn.

To wszystko należy jednak do przeszłości. Dylan zmienił się, rozpoczął nowe życie. Nadszedł czas, by wyleczyć rany.

- Tak, to ja. Nie pamiętam już, o co nam poszło, co nas ostatecznie rozdzieliło, ale chcę cię bardzo przeprosić za swoje zachowanie. Nie - poprawił. - W ogóle za wszystko. Ogromnie mi przykro, że to wszystko zabrało mi cię na tak długo.

Z drugiej strony słuchawki panowała cisza. Trwała tak długo, że Carl nie był pewien, czy syn jeszcze tam jest.

Potem usłyszał:

- Tato, dobrze się czujesz?

Poczuł wielką, wszechogarniającą ulgę.- Już dawno nie czułem się tak dobrze.

Teraz w głosie syna pojawił się szczery niepokój.

- Tato, chcesz, żebym po ciebie przyjechał? Gdzie jesteś?

Pytania rozbawiły go. Dylan sądzi pewnie, że dolega mu starcza demencja. A przecież ma teraz dużo jaśniejszy umysł niż kiedyś.

- Jestem w domu, synu.

Dom. To słowo wywołało u Dylana mnogość wspomnień. Może, pomyślał nagle, zaczynając ten dialog z ojcem, może czas, żeby dom stał się czymś więcej niż wspomnieniem, więcej niż słowem, Może czas, żeby go znowu zobaczyć na własne oczy...

Matt nie mógł się uspokoić. Czuł się dokładnie jak tytułowa kotka ze wznowienia sztuki, na którą Beth dała jemu i Rose bilety. „Kotka na gorącym blaszanym dachu”. To właśnie on. Nerwowe stworzenie, które nigdzie nie znajduje oparcia ani miejsca. Do tego doprowadziły jego stosunki z Rose.

Słowa Beth odbijały się echem w jego głowie. Kiedy oznajmił jej, że zamierza oświadczyć się Rose, dała mu bilety do teatru.

Wybierz właściwe miejsce, publiczne miejsce, gdzie nie będzie mogła na ciebie krzyczeć, radziła mu Beth. Co prawda pojęcia nie miał, dlaczego kobieta miałaby krzyczeć na mężczyznę, który właśnie oddaje jej swoje serce na całą wieczność, ale kto wie...Do diabła, kobiety w ogóle są nie do pojęcia. Nawet nie udawał, że którąś z nich rozumie, a już najmniej tę kobietę, która złapała na lasso jego serce i zacisnęła tak mocno, że nie uwolni się bez pomocy stalowych nożyc.

Gdy wyszli z teatru Helen Hayes, komar zakreślił się wokół jego

głowy. Zaczął się od niego odganiać. Komar, jak zauważył, omijał Rose z daleka.

Rose nie przyjęła jego ramienia. Szła chodnikiem, pół metra od niego. Dwoił się więc i troił, ufając, że Rose zmieni nastrój.

- Podobało ci się? - spytał, nawiązując rozmowę. Jej twarz przeciął pierwszy tego wieczoru uśmiech.

- Zawsze lubiłam tę sztukę - odparła, przypominając sobie, że po raz pierwszy oglądała ją w wieku sześciu lat. Była to filmowa wersja tego dramatu, pokazywana w telewizji, z Paulem Newmanem i Elizabeth Tylor w rolach głównych. - Tak bardzo mi się podobało, jak ten komar polubił ciebie.

Matt mruknął coś pod nosem, odganiając drugiego komara, który okrążał jego głowę wyżej niż pierwszy.

- Musisz mieć słodką krew. - Jej uśmiech rozszerzył się. - Komary lgną specjalnie do niektórych ludzi. Cóż, o gustach się nie dyskutuje.

- Właśnie widzę, że ciebie nie tykają - zauważył ponuro.

- Dopóki jestem z tobą, jestem bezpieczna... Spędzili wyjątkowo miły wieczór, stać ją było na wielkoduszność. Dziwiła się, że Matt nie wyjechał, biorąc pod uwagę, czego się o niej dowiedział i co o tym myślał. Wiedziała, że w końcu będzie zmuszony wracać na ranczo. A zatem wszystko dobrze się skończy. A w międzyczasie może udawać, że nic się nie stało. Nic ją to nie kosztuje. Zostało im najwyżej parę wspólnych dni.

- Jesteś moim osobistym środkiem owadobójczym - powiedziała.

Nie zabrzmiało to zbyt romantycznie. Przeżyli namiętą noc. Potem, gdy odkrył jej tajemnicę, Rose zaczęła traktować go chłodno. Pewnie nie

spodziewała się, że wiadomość o jej ciąży wpłynie na niego w taki sposób. Może za dużo obiecywał sobie po ich związku? W każdym razie nie mógł tego tak zostawić.

Starał się nie myśleć bez ustanku o tym drugim mężczyźnie. Rose nie potwierdziła jego istnienia, ale też nie zaoponowała. Wymigiwała się od odpowiedzi wprost.

Pewnie powinien dać sobie spokój. Gdyby tylko nie był tak bardzo do niej przywiązany...

Rose nie odzywała się do niego jakiś czas po incydencie w łazience. Cały dzień czuła się do niczego. Pomogły dopiero mediacje cioci Beth i bilety do teatru.

A Matt zamierzał tak długo nad Rose pracować, aż przyjmie oświadczyzny. W końcu to w jej interesie. Nie żartował bynajmniej w rozmowie z ciotką. Żadna kobieta nie może wrócić do Mission Creek i jak gdyby nigdy nic urodzić nieślubne dziecko, i na dodatek oczekiwać, że to niczego w jej życiu nie zmieni. Zresztą Beth wiedziała to równie dobrze jak on, choć lata całe mieszkała z dala od tej miejsciny.

Nie ma najmniejszego znaczenia, czyją Rose jest córką. Dzięki jej nazwisku nikt nie powie jej nic prosto w oczy. Ale za plecami będą gadać bez końca.

Na samą myśl o tym krew Matta gotowała się. Nikt nie ma prawa wyrażać się pogardliwie o Rose. Dopóki on żyje i ma na to jakiś wpływ.

W kieszeni paliło go pudełeczko z pierścionkiem. Wziął pierścionek zaręczynowy od Beth, by nim wesprzeć wyznanie swoich zamiarów. Beth otrzymała go na zaręczyny od swojego drugiego męża, a teraz podarowała go Mattowi na zawsze. Kiedy się krygował, zapewniła go, że ten drobiazg

nie ma dla niej żadnej sentymentalnej wartości. Trzymała go tylko dlatego, że ten „śmierdziel jej nie chciał”. Po siedmiu latach małżeństwa nakryła go w łóżku z dużo młodszą kobietą. Uznała wówczas, że zasługuje na to, by po rozwodzie zatrzymać nie tylko całą biżuterię, ale wszystko, co tylko uda się z niego wyciągnąć.

Matt zauważył, że Rose rozgląda się za taksówką. Dla niego było za wcześnie na powrót do domu, choć zegarek mówił co innego.

- Nie masz ochoty czegoś zjeść? Potrząsnęła głową.

- Robi się późno. - No i zarówno ona, jak i jej dziecko potrzebują dużo snu. - To może napijemy się kawy? - Jego umysł pracował szybko, zastanawiając się, czym by tu ją zatrzymać. Rada Beth, by oświadczył się w miejscu publicznym, nabierała ważkości. - Może wolisz herbatę? - poprawił się, przypominając sobie o jej stanie.

Jego troskliwość ją ujęła. Rose skłoniła głowę.

- No dobrze. Przecznicę dalej jest taka mała kafejka, dla krytyków teatralnych. Zbierają się tam po premierze, czekając na poranne wydania gazet.

Nie wyobrażał sobie bardziej koszmarne sposobu zarabiania pieniędzy niż pisanie recenzji. No a ci biedni artyści? Bez ustanku przejmują się tym, co powiedzą o nich jacyś obcy ludzie! Jak oni żyją? On sam denerwował się już, co odpowie mu Rose. A oto ktoś całkiem obcy jedną linijką tekstu może złamać ci karierę albo zrobić z ciebie gwiazdę!

Oczywiście, biorąc pod uwagę ryzyko, nie ma porównania. Z jednej strony jest tylko sztuka, przedstawienie. Z drugiej - cała reszta jego życia.

Reszta ich życia, myślał, zerkając z ukosa na Rose.

Było coś nieodgadnionego w jego spojrzeniu.

- Co?

Nie miał zamiaru dzielić się z nią myślami. Tylko by ją spłoszył.

- Nic, po prostu podziwiam, jak ślicznie wyglądasz dziś wieczorem.

Jej włosy skręcały się od wilgoci. Sukienka, jasnoniebieska z białymi wstawkami, zaczynała się do niej lepić, choć dopiero co wyszli z klimatyzowanego teatru. Wilgoć i upał dopadały bezwzględnie.

Rose zdarzały się już lepsze dni i noce. W odpowiedzi na komplement wzruszyła ramionami.

- Kiepskie tu światło - mruknęła.

Matt przystanął i wziął ją pod brodę, jakby chciał obejrzeć jej twarz pod innym kątem. A tak naprawdę chciał zajrzeć jej w oczy. Bo tylko one od czasu do czasu dawały mu wgląd w jej duszę.

Ale to nie był ten właściwy czas.

- Światło jest akurat, Rose.

Nie wiedziała czemu, ale jego pewność przywołała na jej twarz uśmiech.

Kafejka miała miły ogródek otoczony przez kute żelazne ogrodzenie. Rose siedziała, tuląc w dłoniach wysoką szklanę z ziołową mrożoną herbata, przyglądając się rozpuszczającym się w niej kostkom lodu. Kelnerka odchodziła właśnie od ich stolika. Przyniosła Mattowi kolejną filiżankę kawy. Zbliżała się północ.

- To już trzecia - zauważyła Rose. Odstawiła swoją szklanę na stół. Krople spłynęły po szkle na blat, łącząc się w kałużę. - Czy coś się stało?

Nie wypadało mu pić nic mocniejszego, szukał więc kurażu w

kawie. Pomyślał, że jak już się tak mocno nakręci, to łatwiej zniesie tę konfrontację i łatwiej doczeka odpowiedzi Rose, która przypieczętuje ich los.

- Nic. Po prostu podają tu świetną kawę.- Najlepszą - zgodziła się.

Przyszła tu pierwszego dnia po przyjeździe do Nowego Jorku i zgrzeszyła jedną kawą. Dla dobra noszonego w brzuchu malucha wybrała kawę z mlekiem. Zresztą herbata smakuje tu również wybornie, myślała, bawiąc się słomką.

- Ale jak wypijesz jeszcze jedną, będziemy musieli przywiązać cię do krzesła, żebyś nie odleciał. Wiem, ile jest w tym kofeiny. Pewnie już jesteś na haju.

- Niezupełnie. - Odstawił filiżankę. Dość kawy i dość lawirowania. Czas przejść do rzeczy. - Rose, chciałem... chciałem... Do diabła z tym. - Nigdy nie był dobry w gębie, w żadnym gadaniu, niezależnie od okazji. Najwidoczniej brakowało odpowiedniego połączenia między jego sercem a ustami. I nigdy, aż do tej chwili, w ogóle się tym nie przejmował. - Co ja będę gadał...

Położył na stole pudełeczko z pierścionkiem. Rose zmrużyła oczy. Przestała mieszać kostki lodu słomką. Nie ruszyła się, żeby wziąć pudełeczko. Jego zniecierpliwienie niepokojąco rosło.

- No co, nie otworzysz?

Poznała to pudełeczko. Któregoś dnia Beth pokazała jej ten pierścionek. Proponowała, żeby go sobie przerobiła, ale Rose odmówiła.

- Nie muszę go otwierać. To trzeci pierścionek zaręczynowy cioci Beth. - Beth otrzymała wcześniej dwa inne pierścionki, najpierw od swojego pierwszego męża, potem od mężczyzny o imieniu Hal, który

zmarł, nim zdążyli się pobrać. - Dlaczego miałabym oglądać trzeci pierścionek zaręczynowy cioci Beth?

- Nie chcę, żebyś go oglądała. Chcę, żebyś go włożyła.

To było jeszcze gorsze.

- A niby czemu mam włożyć trzeci pierścionek zaręczynowy cioci Beth? - spytała, jakby te pytania nie miały się skończyć.

- On nie należy już do Beth. Jest mój, dała mi go. Odgadła już intencje Matta. Teraz za nic nie wolno dopuścić do tego, by wyraził je słowami.

- Gratulacje. Mam nadzieję, że będziecie żyli długo i szczęśliwie. Życzę wam dużo dużo szczęścia.

- Rose, do cholery... - Zdał sobie sprawę, że podniósł głos. Ludzie przy sąsiednich stolikach obrócili się w ich stronę. Zaczął znów ciszej, choć ledwie się kontrolował. - Nie chcę się zaręczać z twoją ciotką. Próbuję zaręczyć się z tobą.

A niech to, jakoś to z siebie wykrztusił. Powiedział to, czego nie chciała usłyszeć. Na co nie mogła mu dać pozytywnej odpowiedzi.

- No to proponuję, żebyś sobie znalazł inne hobby, bo to jest niemożliwe.

Czemu ona tak się cholernie upiera? I jeszcze zachowuje się, jakby to on zawinił.

- Kobieto, to dziecko potrzebuje nazwiska. Rose podniosła się.- Będzie miało nazwisko. Będzie się nazywało Wainwright.

- Może się nazywać Carson. - Chciał ją złapać za rękę, ale się wywinęła. - Rose, cholera jasna. Chcę cię ochronić.

- Nie trudź się. Potrafię się sama chronić.

- Aha. Tak jak przed dzieckiem.

Z gniewu i bólu jej oczy zwęziły się w szparki.

- To nie było fair.

Matt już to wiedział, wiedział to w chwili, kiedy wypowiadał tamte słowa.

- Nie chciałem.

- Doprawdy? - Najchętniej rzuciłaby w niego tym pierścionkiem, gdyby nie należał do Beth. - Powinnam była domyślić się, że zachowasz się anachronicznie.

O czym ona znów mówi?

- Co to niby znaczy?

- Mamy dwudziesty pierwszy wiek. - Nie chciała robić przedstawienia, nachyliła się nad stołem i mówiła cicho, ledwie powściągając złość. - Kobiety zawsze rodziły nieślubne dzieci. Nie chcę twojej litości, nie obchodzi mnie twoje poczucie winy ani twój świat wartości. Dam sobie radę bez ciebie i bez kogokolwiek innego. Chyba dowiodłam tego, przyjeżdżając tutaj.

Czasowe zerwanie z ludźmi, do których zawsze zwracała się w kłopotach, wymagało od niej odwagi. Postanowiła ich wszystkich chronić, w tym także tego głupka, który właśnie przed nią siedział. Pewnie jest szalona, bo nie ma na to innego wytłumaczenia.

- Masz tutaj ciocię Beth - zauważył Matt. - Jakoś nie widzę, żebyś była taka bardzo samodzielna.

Rose była bliska załamania.

- Zawzięłeś się, żeby się ze mną kłócić?

- Nie, zawzięłem się, żeby się z tobą zaręczyć.

Prosił ją o rękę. Co w tym takiego strasznego? Czemu ona tak się irytuje? Nie zdaje sobie sprawy, czym on ryzykuje? Jego rodzina wpadnie w furję, gdy dowie się o wszystkim. On ryzykuje dla niej konflikt, a może i zerwanie z najbliższymi sobie ludźmi. Czego więcej może chcieć kobieta od mężczyzny?

- Rose, staram się jak mogę.

Zabrzmiało to tak, jakby musiał zdać jakiś test, stanąć z kimś do walki niczym Odyseusz w swojej podróży. Miała tego już serdecznie dość.

Wstała od stolika.

- No więc zdawało ci się, że to twój najlepszy strzał, ale chybiłeś celu. I to co najmniej o kilometr. A teraz, jeśli pozwolisz, złapię taksówkę i pojedę do nie-mojego nie-samodzielnego domu.

O czym ona znów mówi? Ulice są w Nowym Jorku tak niebezpieczne.

- Jest późno.

- To ty jesteś dobrym celem - rzuciła sarkastycznie. - Ale dla kogoś innego, nie dla mnie.

Chwyił ją za rękę.- Dlaczego? Dlaczego nie dla ciebie? Kochałaś się ze mną w nocy.

Przechodzący obok kelner zerknął najpierw na nią, potem na Matta i uśmiechnął się do niego z aprobatą. Rose zaczerwieniła się.

- To bez znaczenia - powiedziała.

- Wyglądało na to, że znaczy bardzo wiele - upierał się.

Tak, ona też tak czuła, ale nie powie mu tego. Dałaby mu tylko kolejny argument, a i tak mu ich nie brakowało.

Odsuwając go od siebie, Rose zakręciła się na pięcie i szybkim krokiem okrążyła żelazne ogrodzenie. Minęła się z piątką nowych gości i wyszła.

Pobiegła przed siebie ulicą. Rozglądała się za taksówką. Nie wolno jej zachęcać Matta, jeśli on chce tylko dać nazwisko jej dziecku. Dobre małżeństwo wymaga czegoś więcej, dużo więcej, bo inaczej nie przetrwa wielu czekających je trudności. Jeżeli kiedykolwiek powie mu tak, to jedynie pod warunkiem, że Matt przyzna, że ją kocha. Prawdziwie i szczerze kocha. Bo z pomocą miłości można przenosić góry.

Ale on kieruje się wyłącznie honorem. Tyle razy wypowiadał to słowo. Za to słowo miłość nie padło ani razu, a ona nie miała ochoty oddawać swojej duszy mężczyźnie, który jej nie kocha.

Matt, zaskoczony jej nagłą ucieczką, pogrzebał szybko w kieszeni i wyciągnął kilka banknotów, by zapłacić rachunek. Rzucił je na stół, zastanawiając się, czy biec za Rose. Musiałby ją złapać, zanim wsiądzie do taksówki.

- Przepraszam - odezwał się do kobiety, która stanęła mu na drodze. Pchnął ją lekko na bok i przeskoczył przez ogrodzenie.

Po chwili dogonił Rose i złapał ją za rękę.

- Co ty wyprawiasz, do diabła? Wyrwała mu się.

- Nie twój interes.

Wtem taksówka omal nie wjechała im na stopy Taksówkarz wystawił głowę.

- Naprzykrza się pani?

Matt wtrącił się zaraz, nie dając Rose dojść do słowa ani wsiąść bez niego do auta.

- Nic się nie dzieje, małe przyjacielskie nieporozumienie. Dzięki, że pan pyta, ale nikt tej pani nie dręczy.

Za to ona go dręczy, myślał, zaciskając w dłoni pudełko z pierścionkiem, które wylądowało na powrót w jego kieszeni.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Chciała się go pozbyć. To stało się już koniecznością. Musi odejść, nim ogarnie ją znowu słabość i zaakceptuje oświadczyńy Matta z zupełnie niewłaściwych powodów. Tak, chwilami bała się samotności z dzieckiem. Dziecko powinno mieć obok siebie ojca. No a przede wszystkim Rose nie wyobrażała sobie, jak przeżyje resztę swoich dni bez Matta.

Te wszystkie motywy stanowiły świadectwo jej lęków, a przecież jest z domu Wainwright. Wainwrightowie nie są tchórzami. Ona też ma swoją dumę.

Szarpnęła tylne drzwi taksówki i wskoczyła do środka, zatraskując drzwi za sobą. Pochyliła się do przodu.

- Pięćdziesiąta Dziewiąta i Central Park West - rzuciła kierowcy. - Szybko.

- Jak pani życzy.

Teraz Matt szarpnął drzwiami i usiadł obok Rose. Taksówkarz nie zdążył nawet wcisnąć gazu i zjechać z krawężnika w wielkim stylu. Dopiero potem, gdy siedzieli już oboje w aucie, docisnął pedał i zakołysał wozem. Miał na głowie czapkę drużyny Jankesów wsuniętą głęboko na długie, falujące siwe włosy. Odwrócił się na siedzeniu i spojrzał na Matta.

- Nigdzie nie pojedę, proszę pani, jeśli pani nie zechce.

Rose popatrzyła z wyrzutem na Matta. Wiedziała, że i tak złapałby drugą taksówkę i jechał w ślad za nią do mieszkania Beth. Zostały tam jego bagaże. Ale już niedługo tam poleżą.

- Wszystko w porządku - powiedziała ugodowo.

- Na pewno? - dopytywał się taksówkarz. - Nie trzyma pani na muszce ani nic z tych rzeczy?

Matt był już na skraju cierpliwości, jeszcze chwila, a by go poniosło.

- Odczep się, pan, dobrze? Nic jej nie zrobiłem, poprosiłem ją tylko o rękę.

Kierowca obrócił się na powrót ku przedniej szybie. Z rękami na kierownicy zerknął na Matta we wstecznym lusterku.

- Może pani nie życzy sobie wyjść za pana. Nie wpadło to panu do głowy?

Rose westchnęła i pokręciła głową, odsuwając się możliwie najdalej od Matta. Przeniosła na niego wzrok i zrobiła coś, czego się po sobie nie spodziewała. Skłamała.

- No właśnie, nie chcę. Taksówkarz zarechotał pod nosem.

- No to wszystko jasne, co? Nie masz się pan tu co kręcić. Jesteś na straconym.

Matt miał już tego po dziurki w nosie. Wsiadłby z tej taksówki i poszedł do Beth na piechotę. Poszedłby nawet dalej, do samego Teksasu. Ale to by niczego nie rozwiązało i wcale nie czułby się lepiej.

Ignorując wkurzającego faceta na przednim siedzeniu, spojrzął na Rose.

- Dlaczego nie, Rose? Przecież mnie kochasz - upierał się przy

swoim. - Wiem, że mnie kochasz.

Tego jednego był pewien, choć mnóstwo spraw tego świata wzbudzało w nim wątpliwości. Rose go kocha i jest to równie murowane jak to, że rano znowu wstanie słońce. Widział to w jej oczach, Beth miała rację. Czuł to w jej pocałunkach i w sposobie, w jaki mu się oddawała.

- No co, jasna sprawa, że nie chce - włączył się znów taksówkarz.

- Niech pan się zamknie i skupi się na prowadzeniu

- rozkazał Matt, obrzucając kierowcę zjadliwym spojrzeniem. Potem zwrócił się znów do swej towarzyszki.

- Rose?

Jakaż ja jestem żalosna! - myślała Rose o sobie. Matt wie, że go kocham, lecz sam słowem nie wspomniał, że coś do mnie czuje. To właśnie jasno pokazuje jego stosunek do niej. Zero uczuć, tylko jakieś szalone poczucie honoru.

Odsunęła się jeszcze dalej. Wyglądała jak żołnierz szykujący się do bitwy.

- Wiesz, że cię kocham? To ciekawe. A może on ma rację. -

Wskazała na kierowcę - Może cię nie kocham. Może to był tylko przelotny romans, już ci to zresztą mówiłam.

Stając na czerwonym świetle, taksówkarz obrócił do nich głowę.

- Powiedz mu, dziewczyno.

Matt łypnął na niego z wyraźnym milczącym ostrzeżeniem i przeniósł wzrok na Rose.

- Nie sądziłem, że jesteś taka.

Poczuła się bardzo zmęczona. Wciąż ktoś jej dyktował, co ma robić, wciąż ktoś inny stanowił, co jest dla niej najlepsze. Nikt nie pytał jej o

zdanie. Nawet ciocia Beth nie była wolna od takich zachowań.

Obruszyła się.

- Kobieto - poprawiła oburzona, - Nie jestem żadną dziewczyną, jestem kobietą. A ty, Matt, chyba wcale mnie nie znasz.

Matt szeroko otworzył usta i machnął ręką w stronę wkurzającego taksówkarza.

- On cię właśnie nazwał dziewczyną i jakoś nie odgryzłaś mu głowy.

Rose oddychała ciężko. Walczyła z sobą, żeby zatrzymać łzy pod powiekami.

- Ale on nie zakłada, że ma we wszystkim rację. Taksówka zatrzymała się gwałtownie.

- Jesteśmy na miejscu, jeśli to kogoś interesuje - oznajmił kierowca.

Rose sięgnęła do torebki i wyciągnęła banknot dziesięciodolarowy, który podała kierowcy. Znowu mi pokazuje, że jest niezależna, myślał Matt. Ta kobieta zna masę podobnych sztuczek.

- O nie, nie będziesz za mnie płacić. Ja też jechałem tą taksówką i ja zapłacę.

Ale jej już nie było. Zostawiła kierowcę z pieniędzmi w rękę. Taksówkarz zaś kręcił głową, przyglądając się Mattowi. Miał w oczach coś jakby litość.

- Panie, jak pan chcesz się dowiedzieć, czego chcą kobiety, czeka pana długa droga przez mękę - oznajmił i pokornie pozwolił swojemu pasażerowi zamienić jeden banknot dziesięciodolarowy na drugi. - Jak pan chcesz coś zdziałać, musisz pan im prawić słodkie słówka.

Matt właśnie otrzymał poradę w sprawie swojego życia

uczuciowego od taksówkarza, od którego czuć było jakąś dziwną egzotyczną przyprawę za każdym razem, gdy otwierał usta. Ciekawe, czy można upaść jeszcze niżej w tym mieście?

- Dzięki - warknął przez ramię, wysiadając w pośpiechu.

Dogonił Rose, kiedy otwierały się drzwi windy.

- Twoje pieniądze. - Podał jej banknot. Z windy wysiadła akurat para starszych ludzi.

Rose skinęła głową z podziękowaniem i wsiadła do windy.

Nacisnęła guzik z numerem dwadzieścia, modląc się, żeby szybko ruszyć do góry.

Matt włożył rękę między drzwi i zablokował je. Rozsunęły się i wszedł do środka. Przez chwilę byli sami.

- Słuchaj, Rose. Wysłuchałem cierpliwie twoich obraźliwych stów i tego taksjarza, któremu zdaje się, że jest dobrym ojczulkiem. To chyba coś znaczy, nie? - Z trudem panował nad swoim rozdrażnieniem. - No, czemu nie chcesz za mnie wyjść?

Czemu on nie może zaakceptować jej odmowy i dać jej święty spokój? Czemu tak jej to utrudnia? Jak nie przestanie jej nagabywać, w końcu mu ulegnie. A to byłoby nieszczęście dla niej i dla niego, a także dla tego nie narodzonego jeszcze dziecka.

- Po pierwsze - odparowała - małżeństwo między nami jest z góry przegrane. A może o tym zapomniałeś?

- Nie zapomniałem, ale uważam, że sobie z tym poradzimy. -

Winda zatrzymała się na dziesiątym piętrze. Jakaś para zamierzała wsiąść, lecz Matt powstrzymał ich, wystawiając rękę. Nacisnął guzik zamykający drzwi. - Wybaczcie, to prywatny kurs. - Odwrócił się do Rose, jakby w

ogóle nie przerywał swojego wywodu. - Z dzieckiem też sobie poradzimy.

Kiedy wjechali wreszcie na piętro Beth, żołądek Rose zwinął się i skurczył. Nie wiedziała tylko, czy to dziecko wyraża w ten sposób swój protest, czy może Matt tak ją zdenerwował.

- Z niczym nie będziesz sobie dawał rady, to nie twoja sprawa. -
Drzwi otworzyły się i wypadła z windy, nie odwracając się za siebie. Matt biegł o krok za nią. Nie pozwolił na takie zakończenie rozmowy, on musi wygrać.

- Nie moja, do diabła.

Rose, rozsierdzona na dobre, wsadziła klucz do zamka i otworzyła drzwi. Widząc, że Matt nie zamierza się wycofać, zaczęła wzywać pomoc.

- Ciociu! - zawołała na cały głos, rozglądając się nerwowo. -
Jesteśmy! - Niemal zamarła. Nikt jej nie odpowiadał. Czyżby ciotki nie było w domu? Wpadła w rozpacz. - Ciociu! - Wciąż odpowiadała jej cisza.

Matt patrzył na nią triumfalnie. Domyślał się jej planu.

- Wygląda na to, że ciotka cię nie uratuje.

- Uratuje? - Nie znosiła, kiedy ktoś czytał w jej myślach. - Nikt nie musi mnie ratować. - Pokazała mu plecy.

Wyskoczył przed nią.

- To dlaczego bez przerwy przede mną uciekasz? Trafił, i to celnie.

- Nie uciekam.

Ale on wiedział swoje. Wskazał ręką na mieszkanie ciotki.

- A jak to nazwiesz?

Zmrużyła gniewnie oczy. Kiedyż on się wreszcie odczepi?

- Separacją od szaleńca. Nie możesz w końcu wbić sobie tego do głowy? Nie chcę cię więcej widzieć. Jej słowa uderzyły w niego z siłą poważnego oskarżenia. Przyjął je ze spokojem i podniósł na nią wzrok.

- Mówisz serio?

- Tak. - Ten smutek w jego oczach był nie do wytrzymania. - Nie. - Wyrzuciła w górę ręce, była u kresu sił. - Nie wiem już, co mówię.

To mu zupełnie wystarczyło. Podszedł do niej od tyłu i szepnął, tuląc wargi do jej karku:

- Jesteś za bardzo skołowana, żeby podejmować samodzielne decyzje. Pozwól, że ja za ciebie zadecyduję.

Zakreśliła się natychmiast i zajrzała mu w twarz. Znalazła się ledwie centymetry od jego warg. Nagle chęć walki ją opuściła.

- Chciałbyś, co?

- Tak. - Jego wargi znalazły się nagle bliżej niż jej własne myśli. - Chciałbym.

To początek końca, pomyślała. W następnej sekundzie Matt już ją całował. Całował ją bez pamięci. Gdy tylko dotknął jej warg, obudził w niej wszystkie tłumione uczucia.

Uprzytomniła sobie, że nie zdoła trzymać go na dystans, że to daremne, że to droga donikąd. Bo przecież prawda jest taka, że jej jedynym życzeniem jest wtulić się w niego i pozostać w jego ramionach.

Wpakowała się w niezłą kabałę i pojęcia nie miała, jak się z niej wydostać.

Od początku wiedziała, że kłamie. Kłamała, zrywając z nim. Wiedziała także, że nie wytrwa w tym kłamstwie, nawet gdyby to miało być dla dobra Matta.

No i co najważniejsze, nie chciała, żeby odszedł.

Z westchnieniem, które oznaczało kapitulację, zarzuciła mu ręce na szyję i oddała mu pocałunek, wkładając w to całą duszę. Matt chciał się z nią kochać natychmiast, w przedpokoju. A jednak nie zrobił tego co poprzednio. Nie zerwał z niej ubrania, tylko wziął ją na ręce.

Patrzyła na niego skonfundowana.

Nie potrafił sobie odmówić całusa w jej czoło. Jak to się stało? Jak mógł tak do szczętu stracić serce?

- Nie wiemy, kiedy wróci Beth - zauważy! - a nie chciałbym, żeby nas zaskoczyła.

- Dlaczego? - Jej wargi wygięły się. Przysięgłby, że ten uśmiech był jednocześnie seksowny i przewrotny. - A co takiego będziemy robić?

Pchnął ramieniem drzwi jej sypialni i, wciąż trzymając ją na rękach, zamknął je, opierając się o nie plecami.

- Dokładnie to, na co mamy ochotę.

Położył ją ostrożnie. Wysuwała się z jego rąk, ocierając się o niego i podniecając go jeszcze bardziej.

- Bez przerwy myślę tylko o tym, żeby się z tobą kochać. W nocy i w dzień, w dzień i w nocy, oglądając te głupie obrazy w Metropolis...

- Metropolitan - poprawiła go, uśmiechając się szeroko.

- Niech ci będzie. Nawet kiedy mi pokazywałaś te kości dinozaurów - ciągnął - miałem tylko w głowie, żebyśmy wreszcie byli sami i żebym mógł cię kochać.

- Chciałeś powiedzieć, kochać się ze mną. Sądził, że Rose zawdzięcza nawyk poprawiania go swojej pracy w bibliotece. Ale tym razem miała świętą rację.

- Tak, to też.

Przekrzywiła głowę, przyglądając mu się.

- Co to znaczy: To też?

Nie chciało mu się gadać, chciał się w nią wtulić, aż do chwili, gdy jego zużytemu, umęczonemu ciału zabraknie oddechu.

- Kobieto, na ile sposobów mam ci to tłumaczyć? Nie, teraz jej znów nie rozumiał. Rose wiedziała,

jakich słów od niego oczekuje. On pewnie tego nie wiedział.

Stwierdziła, że nie da się sprowokować.

- Będzie miło, jak zrobisz to tradycyjnie - poprosiła. - Po prostu to powiedz.

Westchnął, kręcąc głową. Ta kobieta wymaga od niego potwornie dużo cierpliwości. Dobrze choć, że mu się to oplaci. W każdym razie liczył na to, że tak będzie. Jest warta takich poświęceń.

- Przecież właśnie to robię.

Pochylił się, żeby ją pocałować, ale ona położyła palec na jego wargach.

- Chodziło mi o słowa.

Wycofał się na moment, wpatrując się badawczo w jej twarz. - Naprawdę muszę? Skinęła głową z powagą.

- Tak. - Może to jej słabość, ale chciała usłyszeć te słowa przynajmniej raz. Wiara i przypuszczenia wyczerpały już swoją moc.

- No to masz - rzucił z rezygnacją. - Kocham cię. - Powiedziawszy te słowa raz, natychmiast je powtórzył, rozwijając: - Kocham cię tak bardzo, że czasem boli mnie, jak oddycham. - Pieścił jej twarz, ujął ją w dłonie. Przyniósł jej wargi do swoich. - Męczę się bez ciebie. Kiedy

dowiedziałem się, że wyjechałaś, coś we mnie kurczyło się i umierało. - Przełknął głośno ślinę, zdumiony swą tyradą. Powoli odzyskał oddech i spytał: - I jak, zadowolona?

Kąciki jej ust uniosły się.

- Prawie.

- Prawie? - powtórzył. - Kobieto, do diabła, to co mam jeszcze zrobić?

Objęła go za szyję, przytulając się i kusząc.

- Teraz mi pokaż.

Roześmiał się na te słowa. To przynajmniej dobrze rozumiał.

- Przecież od dawna próbuję to zrobić - powiedział. Nachylając się nad nią, całował jej kark. Nie od

razu zorientowała się, że Matt rozwiązuje zębami węzeł jej bluzki.

Po chwili jej krótka bluzka zjechała w dół do pasa.

Odsunął się tyle tylko, żeby widzieć jej odkryte pier- si. Był bezbrzeżnie wypełniony tęsknotą. Delikatnie wziął jej piersi w dłonie i całował jej wargi tak, jakby zależał od tego dalszy los kuli ziemskiej.

Całował ją bez końca, aż mało nie oszaleli z pożądania. Nic już się nie liczyło. Żadne wymówki, żaden bezinteresowny czyn, nic. Wszystko bladło w gorączce namiętności.

Rose kręciło się teraz w głowie jeszcze bardziej niż poprzednim razem. I tylko to trzymało ją na ziemi, choćby tę odrobinę.

Po omacku znalazła pasek od spodni Matta i rozpięła go. Równie mocno pragnęła dotykać, co być dotykana. Niecierpliwie pozbawiała go ubrania, które dzieliło ją od niego. Odpinała guziki, zamki, paski.

Wszystko, byle szybciej znaleźć się bliżej.

Aż w końcu runęli oboje na łóżko, splątani. Znali już nawzajem swoje ciała, potrafili z nich czytać.

A mimo to ich napiętność nie malała. Każde z nich wiedziało, co je czeka, a jednak oczekiwanie na ten jeden jedyny moment czyniło każdą chwilę niepowtarzalną i wielką.

Każda chwila jednocześnie stanowiła obietnicę przyjemności i była przyjemnością.

Przynosiło im to radość, dawało pociechę. Było gorączką, która zapowiadała ukojenie.

Rose chciała ofiarować Mattowi coś, czego jeszcze nie doświadczył. I wcale nie powstrzymywał jej fakt, że Matt był bardziej doświadczony w owym świecie przyspieszonych oddechów. Przeciwnie, jeszcze bardziej ją to dopingowało.

Przycisnęła go do materaca. Oczy mu błyszczały jak nigdy. Zaskoczyła go. Owszem, zawsze była napiętą kochanką. I to o wiele bardziej napiętą, niż mógł się spodziewać, nim ją lepiej poznał, lecz nigdy dotąd nie zachowała się w taki sposób. Nigdy nie przejęła prowadzenia. Mało nie zwariował.

Czuł, że musi coś zrobić. Chwycił ją za ramiona i położył na sobie.

- Do diabła, dzika z ciebie kobieta - powiedział drżącym głosem. - Nie wiedziałem, że robią gdzieś takie kobiety.

Pochyliła się nad nim, jej włosy zawisły po obu stronach jego twarzy jak czarna jedwabna zasłona. Jej piersi dotykały jego piersi.

- No to już wiesz - powiedziała, poruszając coraz szybciej biodrami.

Wiedziała, co nastąpi za chwilę, co ich czeka. Wyczerpana, nie była nawet w stanie złapać tchu. Opadła na wilgotną pierś Matta i uśmiechnęła

się, czując jego ręce, tulące ją jak coś cennego i nieosiągalnego.

Jak ona go cholernie kocha. Gdyby miała za chwilę umrzeć, wcale by się tym nie przejęła.

- Wyjdź za mnie, Rose - usłyszała jego szept przy uchu. - Wyjdź za mnie, a przysięgam, że zawsze będę dla ciebie dobry. I zaadoptuję to dziecko - obiecał jej. - Będę je traktował jak moje własne. Jego słowa tłukły się echem w jej głowie, rozchodząc się falami i potęgując jej poczucie winy.

Nie mogła go już dłużej oszukiwać. Podniosła głowę i spojrzała mu w twarz. Zdrowy rozsądek walczył w niej z pragnieniem zwierzeń.

Matt ma prawo wiedzieć, myślała.

Nie spuszczając z niego wzroku, modliła się o mądrość, która ustrzeże ją przed błędem. Nie miała wszak żadnej gwarancji, że jej modlitwa zostanie wysłuchana.

Jedyną, czego była pewna, to że nie może kryć tego dłużej przed Mattem. Spotkali się wzrokiem.

- To twoje dziecko.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Miał wrażenie, że w jednej chwili wszystko w nim zamarło. I że to samo stało się ze światem zewnętrznym.

- Co powiedziałaś?

Jego oczy pociemniały, stały się zupełnie nieczytelne. Rose poczuła ukłucie niepokoju. Po raz drugi było jej dużo trudniej wypowiedzieć to zdanie.

- To twoje dziecko.

Bardzo dobrze słyszał, po prostu jej słowa nie mieściły mu się w głowie. Jego świadomość odbijała je od siebie niczym maleńkie koraliki.

- Nosisz moje dziecko? - spytał z niedowierzaniem.

Rose przy niejednej okazji słyszała od ojca, że najlepszą obroną jest atak. Poza tym Matt zasłużył sobie na to swoją niesłuszną sugestią.

- Oczywiście, że twoje - podkreśliła. - Nie byłam z nikim innym.

Jak w ogóle śmiałeś przypuszczać inaczej?

Siadł prosto, osłupiały i zmieszany. A kiedy już nieco się otrząsnął, emocje dopadły go jak hordy barbarzyńców atakujących bezbronną wioskę. - To dlaczego mi od razu nie powiedziałaś? - spytał.

Rety, przecież już przez to przechodzili.

- Podałam ci przecież powód. Nie mówiłam ci, bo nie chciałam być świadkiem, jak zostajesz żywcem obdarty ze skóry. Mój ojciec zapowiadał, że przybije do wrót naszej stodoły skórę tego, kto mnie skrzywdził, obojętne kto to jest. Wierz mi, że mając do czynienia z Carsonem, mógł zachować się dużo gorzej.

Dlaczego on każe jej to tłumaczyć? Doskonale zna wszystkie okoliczności, nie gorzej niż ona. Dlatego właśnie tak długo wahała się, kiedy go poznała, bo chciała uniknąć podobnych sytuacji.

Ale zdarzyło się, i trzeba to jakoś rozwiązać.

- Matt, nasze rodziny nie znoszą nawet swojego widoku. Nie pozwolę ci ożenić się ze mną, żebyś miał satysfakcję, że zachowałeś się przyzwoicie i dałeś dziecku nazwisko. Nie jestem krową, którą możesz sobie oznakować, bo weszła do twojej zagrody. Dziecko też nie jest takim przedmiotem. Nie chcę wymuszonego przez los małżeństwa, chcę

takiego, które los mi przeznaczył.

Znowu wychodzi z niej bibliotekarka, myślał Matt rozdrażniony. Nie był w nastroju na gry słowne, a Rose nieustannie bawiła się słowami.

- Jaka to różnica? O co w tym chodzi?

- O szczęście.

Owijając się kołdrą, podniosła się na kolana. Matt, odwrócony do niej tyłem, pochylił się, by zgarnąć z podłogi spodenki. Wciągnął je na stojąco. Przyłożyła rękę do jego pleców, żeby się do niej odwrócił.

- Jesteś zły - zauważyła.

Zapiął spodenki i rzucił jej zagniewane spojrzenie przez ramię.

- Masz, cholera, rację. Jestem zły.

Teraz ona poczuła się zmieszana. Wyjawiła mu w końcu prawdę, rozwiła jego, obawy, że była mu niewierna. Czego on jeszcze chce?

- Z jakiego powodu?

- Bo mnie okłamałaś.

- Nie okłamałam cię. - Bardzo się przykładała do tego, by nie kłamać. - Po prostu nie powiedziałam ci dotąd, że to twoje dziecko. Chyba widzisz różnicę.

Westchnął, głęboko sfrustrowany.

- Grasz w jakieś gierki.

Rose nie wierzyła w żadne gierki, bo gra oznacza, że jedna osoba wygrywa, a ktoś inny przegrywa. A ona nie chciała, by którekolwiek z nich przegrało.

- Nieprawda. Staralam się postąpić tak, żeby nikomu nie stała się krzywda. - I tym właśnie sposobem unieszczęśliwiła siebie. - Jakie małżeństwo moglibyśmy stworzyć, gdybyś uważał, że zostałeś do niego

zmuszony?

Matt porwał ją za ramiona. Była taka drobna, tak krucha, że mógłby ją zgnieść w rękach, gdyby mocniej ścisnął.- Teraz ty mnie posłuchaj. Nikt nigdy nie zmusił mnie do niczego, nie ma takiej siły. Tylko ty zmusiłaś mnie do zerwania. Jesteś też chyba jedyną osobą, która może mnie zmusić do pokonywania przeszkód.

Smutek z jego oczu przeniósł się natychmiast do jej serca, przekręcając się tam jak ostrze.

- Nie miałam takiego zamiaru.

Wzruszył ramionami, uwalniając ją z uścisku. Jego złość zelżała, usiadł przy niej na łóżku.

- Ale tak wyszło. Więcej na to nie pozwolę. Sam jestem dla siebie panem, zawsze tak było i tak pozostanie. - Spojrzał znów na nią, jego głos nabrał siły i pewności. - I zrobię, co zechcę.

Rose skinęła głową, nie spuszczać z niego wzroku.

- W porządku.

Uśmiechnął się, był pewien, że ona wie, co teraz nastąpi równie dobrze jak on.

- Chcę się z tobą ożenić.

Jej serce podskoczyło, uradowane, że Matt tak przy tym obstaje. Tym razem nie protestowała już tak gwałtownie.

- Ale...

- Żadnych ale. - Spuścił wzrok na okrycie, które przylegało do jej ciała.

Do diabła z tym ciągłym zamartwianiem się o wszystko i o wszystkich. Może już pora wyrwać życiu kęs szczęścia dla siebie.

Szczeńcia z Mattem.

- Jesteń pewny, że tego chcesz?

Wziął jej dłoń, uniósł i pocałował. Patrzył na nią pełnym pożądaniam wzrokiem.

- Nigdy nie byłem niczego taki pewny.

Rose przeszły ciarki, od stóp aż do czubka głowy.

- To nie będzie łatwe. Przesunął się, by ją przytulić.

- Fakt. Wiedziałem to już w chwili, kiedy cię po raz pierwszy zobaczyłem. Kiedy cię trzymałem w ramionach, ziemia się zatrzymała i wszystko jakoś zbladło. Nawet mi się to spodobało. - Udał, że poważnie, choć daleko mu było do poważnego nastroju. - No więc powiesz mi wreszcie tak, czy mam cię związać i porwać gdzieś, gdzie i tak nie będziesz miała innego wyjścia?

- Zrobiłbyś to?

Zawsze będzie miało dla niego znaczenie, co powie Rose, ale teraz nie podzielił się z nią tą informacją.

- Zrobię wszystko, żebyś ze mną została. Uśmiechnęła się lekko.

- Za takie rzeczy wsadzają ludzi do więzienia.

Mówiła o porywaczach. Zamiary Matta nie zasługiwały na taką etykietkę. Jej szczęście zawsze będzie dla niego ważniejsze niż jego własne dobro. I gdyby rzeczywiście była bez niego szczęśliwsza niż z nim, odszedłby i zostawił ją, chociażby bolało. W każdym razie, na wszelki wypadek, tego też jej nie powiedział.

- Byłoby warto. Wiedz jednak, że nic mnie nie powstrzyma. Nie ma takiego miejsca, gdzie mogliby mnie zamknąć i utrzymać z dala od ciebie.

Tym razem Rose uśmiechnęła się szeroko.

- To chyba faktycznie nie mam wyboru. Stanowczo pokręcił głową.

- Nie, nie masz. - Jego wzrok spokojniał. - Chociaż byłoby miło wiedzieć, że robisz to z własnej woli.

- Jakie to ma znaczenie? - Wstrzymała oddech, czekając na jego odpowiedź.

W takiej sytuacji szczerłość stała się koniecznością.

- Ma znaczenie. Wszystko, co myślisz, ma dla mnie znaczenie. - Zdobył się na taką otwartość z nadzieją, że Rose go zrozumie. - Dwa tygodnie, które spędziłem bez ciebie, były dwoma najdłuższymi tygodniami w moim życiu. Zdawało mi się, że to dwa lata. Dla mężczyzny to nie do zniesienia.

Rose uniosła głowę, odpowiadając mu pytaniem.

- Ale kochasz mnie?

- Już ci mówiłem.

Otarła się o niego jak kotka.

- Powiedz mi jeszcze raz - poprosiła.

- Kocham cię. Zadowolona?

Westchnęła, zarzucając mu ręce na szyję i przysiadając na piętach,

- Będę zadowolona tylko wtedy, jeżeli będziesz mi to powtarzał każdego ranka do końca życia.

Obejmując ją w pasie, Matt przyciągnął ją do siebie.

- Masz wymagania, co? To są twoje warunki? Rose skinęła głową.

- To są moje warunki.

- Bo ja wiem, jeśli nie mam wyboru... umowa stoi.

Delikatnie dotknął jej warg, a po chwili oboje zagubili się w

pocałunku. Obejmując Rose, Matt odsunął przykrycie, którym się owinęła.

A ona całowała go, jakby nie miało być żadnego jutra, jakby nie istniało żadne wczoraj. Jak gdyby świata nie było, prócz tego jednego jedyne momentu, równocześnie nieskończonego i tak ulotnego, domagającego się, by wykorzystali go do cna, nim minie.

Matt zorientował się, co się dzieje, dopiero po kilku sekundach. Nie wypuszczając Rose z objęć, odsunął się, by widzieć jej twarz. Jej policzki były mokre.

- Płaczesz.

- Nie, nie płaczę... - Było to normalne zaprzeczenie tego, co dla jej ojca było wyrazem słabości. - Może trochę - przyznała.

- Czemu? - Wędrował po niej wzrokiem. - Coś cię boli? Co się stało?

Rose pokręciła głową.

- Nic się nie stało i po raz pierwszy, odkąd wiem, że jestem w ciąży, nic mnie nie boli. - Przyszła pora na uczciwe wyznania. - Płaczę ze szczęścia.

Coś takiego naprawdę przerastało już Matta. Uważał, że człowiek płacze najwyżej wtedy, gdy coś go boli. Potrząsnął głową zdumiony.

- Nigdy nie zrozumieję kobiet.- Hej, kowboju, nie będzie żadnych kobiet, nad którymi musiałbyś się głowić - ostrzegła go żartobliwie. - Ja ci wystarczę.

Pochylił się ku niej z uśmiechem.

- To mi się nawet podoba.

Kompletnie wykończony i tak szczęśliwy, jak jeszcze nigdy dotąd,

Matt z wolna przesunął swój własny ciężar, kładąc się obok Rose.

Zdumiało go, że kochali się jeszcze dwa razy. Tak, ta kobieta odkrywa w nim nie znane jemu samemu zdolności.

- Jesteś pewna, że to nie zaszkodzi dziecku? Nie przypominała sobie, żeby była kiedykolwiek tak

bardzo zmęczona, a równocześnie tak ogromnie szczęśliwa. I jeszcze bardziej kochała go za tę okazaną jej właśnie troskę i wrażliwość.

- Gwarantuję ci, że dziecko się teraz uśmiecha, bo jego mama jest szczęśliwa.

- To znaczy, że nie zmieniłaś zdania?

Minęło już kilka godzin od jego oświadczeń, które wówczas przyjęła. A jeśli chodzi o Rose, Matt wołał niczego nie zakładać z góry.

- Nie. - I nagle wpadła jej do głowy pewna myśl. Przysunęła się ku niemu. - A ty?

- Mowy nie ma. - Poglaskał jej policzek. - Im szybciej weźmiemy ślub, tym lepiej.

Ni stąd, ni zowąd Rose poczuła wielkie podniecenie. Uniosła się na łokciu i spojrzała na Matta. - Chodź, powiemy cioci Beth.

Zerknął na zegar za jej głową, stojący na nocnej szafce.

- Jest siódma rano. Twoja ciotka nie należy do rannych ptaszków, daj jej spać. Potem jej powiemy.

Nie mówiąc już o tym, że zmęczenie powoli mu mijało i nabierał sił, by znów ją mocniej przytulić. I w ogóle chciał tylko zostać w łóżku razem z nią.

Za to ona siedziała już i szukała swoich ubrań. Ale na podłodze zobaczyła tylko spodenki Matta.

- Ciocia na pewno chciałaby wiedzieć, zaręczam ci. Odkąd tu przyjechałeś, nie może się ciebie nachwalić i bez przerwy tylko wyśpiewuje peany na twoją cześć.

Wyszczrzył zęby w uśmiechu i pokiwał głową.

- Ta kobieta ma znakomity gust, nie ma co. Zaśmiała się, rzucając mu spodenki na głowę.

- Taa, nie zapomnij się ubrać. Nie chciałbyś chyba przyprawić cioci o zawał.

Spojrzał na nią zdziwiony.

- Od razu zawał? - Ona chyba nie zna swojej ciotki. Rose była raczej skryta i wstydliwa, dopóki nie pojawił się w jej życiu. - Coś mi podpowiada, że twoja ciotka nie przejęłaby się widokiem nagiego faceta. Słyszałem, jak opowiadała, że była w Woodstock podczas tych słynnych koncertów w sześćdziesiątym dziewiątym. Czy wiesz, że tańczyła tam nago w deszczu?

- Nie, ale wcale mnie to nie dziwi. - Widziała fotografie swojej ciotki z lat jej młodości. Ciotka, która wciąż była atrakcyjną kobietą, w wieku dwudziestu paru lat po prostu zwała mężczyzn z nóg. - Jeśli chodzi o ciocię Beth, to chyba nic mnie nie dziwi. Ona lubi korzystać z życia.

Zastanawiała się, czy się kompletnie ubrać, po czym zdecydowała, że zarzuci na siebie tylko jedwabny szlafrok. Była tak podniecona, że nie mogła dłużej czekać.

- Jesteś gotowy? Matt zerknął na łóżko.

- Nie wybiję ci tego z głowy?

Chwytając go za rękę, wyciągała go z łóżka. W odpowiedzi na jego

pytanie pokręciła głową.

- Jeśli natychmiast tego komuś nie powiem, to chyba zwariuję. Poza tym ciotka jest jedyną bliską mi osobą, która ucieszy się z tej wiadomości.

Westchnął zrezygnowany. Wolną ręką odrzucił kołdrę, podniósł się i sięgnął po swoje spodenki.

- No dobra, daj mi minutę.

Starła się nie patrzeć na niego, kiedy się ubierał. Odnosiła wrażenie, że nigdy się nim nie nacieszy. Modliła się po cichu, by taki dzień nigdy nie nadszedł.

Udała zatem, że patrzy na zegar, a w jej oczach tańczyły radosne iskierki.

- Daję ci trzydzieści sekund.

Uwinał się w dwadzieścia dziewięć. Na bosaka wziął ją za rękę i wyszli z pokoju.

- Uważam, że spokojnie mogliśmy z tym poczekać. - Wycieczka z pokoju Rose do sypialni Beth nie zajęła im wiele czasu. Matt wskazał głową drzwi ciotki. - Bardzo proszę.

Rose uśmiechała się od ucha do ucha, jakby uśmiech przecinał jej twarz na pół. Zapukała do drzwi, zaciskając palce na dłoni Matta.

- Ciociu? Wiem, jest wcześnie, ale ja... my - poprawiła się, patrząc radośnie na Matta - musimy z tobą porozmawiać.

Zza drzwi dało się słyszeć jakieś nagłe poruszenie. A potem coś grzmotnęło.

Rose i Matt wymienili spojrzenia.

- Spadła z łóżka? - przeraził się Matt i pociągnął ją lekko za rękę. - Może lepiej przyjdziemy później.

Ale ona nie dała za wygraną.

- Nie, nic się nie stało. Na pewno już wstała. Ciociu, to my, Rose i Matt. Możemy wejść?

- Rose i Matt? - W chropawym, niskim głosie Beth znać było zdziwienie. Po kilku chwilach szurania zawołała: - Wejdźcie, wejdźcie!

Rose podniecona otworzyła drzwi i stanęła w nich jak wryta. Beth nie była sama. W jej łóżku leżał niebywale przystojny młody mężczyzna, w którym Rose rozpoznała jednego ze studentów. Gdyby kazano jej zgadywać, dałaby mu około trzydziestki. A trzydziestka cioci Beth dawno już odfrunęła w przeszłość.

Wspierając się wygodnie o poduszki, Beth naciągnęła przykrycie na swoje pełne piersi.- Och, Rose, nie bądź taka zszokowana. Zupełnie jakbyś była moją matką. - Jej uśmiech przeznaczony był również dla Matta. - Pamiętajcie, moi drodzy, że trzeba spijać życie co do kropelki. - Odwróciła się do młodego mężczyzny, który zachowywał się z niewiarygodną wprost swobodą, jak na tak krepującą obiektywnie sytuację. - Bryce'a chyba już znasz.

- To twój student - stwierdziła Rose, na chwilę zapominając, co spowodowało ją do pokoju ciotki.

Znała wszystkie opowieści o niesfornej i dzikiej młodości cioci Beth, lecz uważała, że owe wybryki minęły wraz z upływem czasu. A jeśli w ogóle przysłoby jej do głowy, że ciocia zadaje się wciąż z mężczyznami, spodziewałaby się, że będą oni raczej rówieśnikami ciotki, a nie jej.

Beth uniosła palec.

- Były student, jeśli chodzi o ścisłość. Bryce oficjalnie zakończył

naukę u mnie ponad rok temu. - Zwróciła się do niego. - Prawda, kochanie?

- Widziałam go wczoraj - rzekła Rose. - Był wśród twoich studentów.

Beth tylko machnęła ręką. Czoło bratanicy przecięła pionowa zmarszczka. No tak, myślała Beth, może sobie gadać, co chce, a Rose i tak pozostanie córką Archy'ego.

- Nieoficjalnie. Skończył szkołę w czerwcu zeszłego roku, ale twierdzi, że mój wpływ na jego talent jest wprost nieoceniony. - Poklepała Bryce'a po ręce. - Tak to ująłeś, mój drogi?- Powiedziałem: przemożny - odrzekł Bryce. Było jasne, że Beth jest dla niego kimś więcej niż

tylko nauczycielką, a jego swoboda równała się co najmniej zażenowaniu Rose.

- Pani ciotka jest najmłodszą kobietą, jaką znam.

- Uśmiechnął się do Rose. - Bez urazy.

- Nie czuję się urażona - mruknęła.

I poczuła, że za chwilę chyba udusi się ze śmiechu. Właściwie dlaczego ciotka nie miałyby kogoś mieć? Z tego, co zobaczyła na własne oczy od przyjazdu do Nowego Jorku i z opowieści ciotki wynikało jasno, że Bryce ma problem z kobietami.

Nagle wszystko wydało jej się cudowne. Jej życie nareszcie zostanie uporządkowane. Matt pozostanie u jej boku z własnej nieprzymuszonej woli, a nie z jakiegoś poczucia obowiązku. Znalazła kogoś, kogo kocha z wzajemnością, i zdawało się, że podobne szczęście spotkało jej ciotkę.

Beth poprawiła się, opierając się o wezgielnicę niczym królowa

Wiktoria w swojej monarszej sypialni. Uśmiechnęła się dobrotliwie do stojącej przed nią pary młodych.

- Czyli rozum wam wrócił i postanowiliście skończyć z tym głupim zachowaniem. Mam rację? - Nie czekała na odpowiedź, widziała ją na ich twarzach.

- Najwyższy czas. - Przenosiła wzrok z Rose na Matta i z powrotem.

- Coś jeszcze?

Rose przytaknęła, zaciskając wargi, by nie krzyknąć od razu. Miała ochotę wykrzyczeć tę wiadomość ze szczytu najwyższego wieżowca w Nowym Jorku, ale musiała zadowolić się sypialnią ciotki.

- Bierzemy ślub.

- Alleluja! - Beth klasnęła w dłonie z entuzjazmem. - Trzeba to uczcić. Matt, bądź tak dobry i podaj mi mój szlafrok. - Wyciągnęła rękę, wskazując na kimono w odcieniu elektryzującego błękitu, leżące na jej ukochanym fotelu. - Nie możemy przecież pić szampana *au naturel*, prawda?

Rose mogła to sobie łatwo wyobrazić, wiedziała, że dla jej ciotki to rzecz zupełnie normalna. Nim Matt sięgnął po szlafrok, wyprzedziła go. Potem wzięła go pod ramię i odwróciła do ściany, podając Beth kimono.

Ta kobieta, myślał Matt, to pistolet. Uśmiechnął się i szepnął do Rose:

- Może twoja ciotka da się namówić na wizytę w Mission Creek? Jestem pewny, że twój ojciec z radością gościłby ją i Bryce'a przez parę tygodni.

Tak, to z pewnością wywołałoby niezgorsze fajerwerki. Rose potrafiła akuratnie przewidzieć reakcję ojca na widok młodego

mężczyzny u boku ciotki Beth, i to tak młodego, że mógłby być jej synem.

Archy Wainwright urodził się stary i od urodzenia zbyt łatwo wyrażał o wszystkim krytyczne sądy.

Rose uśmiechnęła się.

- W każdym razie my zyskalibyśmy na jakiś czas spokój dzięki tej wizycie. Matt objął ją, zapominając, gdzie się znajduje, nie widząc nic prócz niej.

- Nie chcę mieć z tobą spokoju. Nigdy.

Beth podeszła do nich, kładąc im dłonie na ramionach.

- To jak, poszukamy jakiejś specjalnej butelki szampana, moi drodzy?

Rose okręciła się i spojrzała na ciotkę pytająco.

- Specjalnej butelki?

- No tak. Zachowuję tę butelkę od lat, oszczędzałam ją na taką właśnie okazję. - Idąc na czele procesji, opuściła pokój. - Wsadziłam ją do lodu, kiedy Matt do nas przyjechał.

- A to niby dlaczego? - zaciekawiał się. Ciotka rzuciła mu znaczące spojrzenie.

- Bo wiedziałam, że wszystko dobrze się skończy. Chłopaki od Carsonów są strasznie uparte.

Uparte szakale, jak nazywał ich ojciec Rose. Ciotka Beth także wyrażała się o nich podobnie, jakby znała ten problem z pierwszej ręki.

Rose spojrzała na nią.

- A ty skąd wiesz?

Beth przechyliła głowę, wskazując wzrokiem młodego człowieka,

który kończył pochód.

- Teraz nie pora wchodzić w szczegóły, kochanie. Opowiem ci to przy innej okazji - obiecała, po czym dodała głośniejszym głosem: - Chodź, Bryce. Wzniesiesz toast.

Bryce posłusznie wysunął się na czoło i zajął pozycję obok Beth. Gdy ją mijał, Rose poczuła zapach jego wody kolońskiej, który przywołał jakieś niejasne wspomnienia. Wtem szeroko otworzyła oczy. Ten następnik koło muzeum Metropolitan! Jej oczy wędrowały od Bryce'a do Beth i z powrotem.

Na twarzy ciotki powoli rodził się uśmiech.

Rose tylko pokręciła głową.

- To co, zapraszam do kuchni - rzekła Beth. Kiedy zbliżali się już do kuchennych drzwi, przystopował ich dość natarczywy dzwonek.

- Kto to może być o tej porze? - zdziwiła się Rose. Beth, wciąż z uśmiechem na twarzy, zmieniła kierunek i ruszyła do drzwi wyjściowych.

- To właśnie uwielbiam w tym mieście, Nowy Jork nigdy nie śpi. - Zapytała donośnie: - Kto tam?

- Justin Wainwright, ciociu - odparł niski męski głos z korytarza. - Przyjechałem po Rose.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Rose spojrzała na Matta, wybałuszając oczy. - A ten tu po co?

Justin nie miał żadnej szansy usłyszeć jej pytania, a mimo to dał jej odpowiedź przez drzwi.

- Wpuść mnie, ciociu. Słyszałem, że Matt Carson jej szuka.

Beth pokazała Bryce'owi bez słów, by ukrył Matta i Rose na tarasie i zasunął zasłony. Potem odezwała się do gościa za drzwiami, pragnąc zyskać na czasie:

- A po cóż miałby jej szukać?

- Daj spokój, ciociu. Otwórz i wpuść mnie do środka. Beth obejrzała się na Bryce'a, który skinął głową.

Ofiara polowania została bezpiecznie ukryta. Przekręciła zamek i szeroko rozłożyła ramiona, demonstrując nadzwyczajny entuzjazm.

- Szmata czasu nie widzieliśmy się, mój drogi. Za długo. No, uściskaj swoją ciocię.

Objął ją pokornie, choć nie bardzo miał na to ochotę. Całkiem jak jego ojciec, stwierdziła. Nie potrafi okazywać uczuć.

Justin cofnął się o krok i obszedł ją. - Rose śpi jeszcze? - Ruszył w głąb apartamentu.

- Nie, Rose nie śpi. Nie ma jej tu - poinformowała go niewinnie Beth.

Justin obrócił się na pięcie. Owszem, jego siostra była nieustępliwa, ale zamiłowanie do przygód nie leżało w jej naturze. Nie wyjechałaby tak sobie, nie poinformowawszy wprzód rodziny.

- Nie ma jej? - powtórzył. - Co to znaczy?

Jest siódma rano. Dlaczego nie ma jej w łóżku? Maszerował przed siebie, otwierając po drodze kolejne drzwi.

Beth szła za nim, skrywając rosnące zniecierpliwienie. Szczerze wierzyła w inteligencję Rose i Matta, którzy jej zdaniem powinni się zorientować, że Bryce zamknął ich na tarasie graniczącym z tarasem sąsiadów.

Oba tarasy dzieliła niewysoka, łatwa do pokonania ścianka. Van Holdenowie przebywali akurat w Europie. Wspomniała o tym wczoraj i miała nadzieję, że któremuś z jej gości zapadło to w pamięć.

- Co jest, u diabła?! - ryknął Justin, obejmując wzrokiem pokój Rose. Jej łóżko stanowiło bezładną plątaninę poduszek i prześcieradeł, zaś podłoga zasłana była rozrzuconymi ubraniami jego siostry, sąsiadującymi z męską koszulą.

Podniósł koszulę dwoma palcami. Trzymał ją na dystans, jakby oglądał właśnie dowód numer jeden na miejscu zbrodni. Przeniósł wzrok na Beth.

- No cóż, Justin, Rose jest dorosłą kobietą. Nie uważasz, że ma prawo przychodzić i wychodzić, kiedy jej się żywnie podoba i z kimkolwiek ma ochotę? Chyba nie muszę jej pilnować i przesłuchiwać?

Justin odrzucił koszulę na łóżko z obrzydzeniem i powiedział z kwaśną miną:

- Ostatnim razem, kiedy tak sobie wychodziła i przychodziła jak chciała, nabawiła się biedy. Ludzie gadają, że to dziecko tego drania Carsona.

Beth przeżywała w trakcie owej rozmowy niewiarygodne wprost *deja vu*. Znalazła się raptem w domu swojego ojca, słuchając jego wrzasków wspomaganych przez krzyk jej brata Archy'ego. Obaj dawali w ten oto gwałtowny sposób wyraz swej dezaprobacie wobec mężczyzny, z którym się wówczas spotykała. Był to niesłychanie utalentowany Indianin, który oczywiście nie spełniał standardów jej rodziny.

Poczuła się urażona w imieniu Matta, kiedy dzwonek do drzwi odezwał się po raz drugi. Dała znak Bryce'owi, żeby otworzył.

- Bądź tak dobry, Bryce - poprosiła i zwróciła się do bratanka. -
Matt Carson nie jest żadnym draniem. To wyjątkowo miły młody
człowiek.

Justin spojrział na nią ogłupiały. Beth wzięła się pod boki. Nic jej tak
nie złościło jak niczym nie poparte uprzedzenia.

- Sam byś się o tym przekonał, gdybyś z nim porozmawiał.- To on
tu był! - krzyknął.

- Gdzie jest mój brat?! - wołał tymczasem od drzwi kolejny
podniesiony głos.

Beth i Justin odwrócili się jednocześnie i ujrzeni przed sobą ni mniej,
ni więcej tylko Flynta Carsona, który wparował właśnie do pokoju.
Obrzucił ich srogim spojrzeniem i skinął głową młodemu mężczyźnie,
potem zdjął kapelusz i popatrzył na Beth.

- Gdzie mój brat - powtórzył, doczepiając na końcu: - proszę pani?

Nie miała trudności z odgadnięciem, z kim ma do czynienia.

Mężczyzna budową przypominał Matta. Jeśli nie zachowa ostrożności,
pomyślała, za chwilę w jej własnym mieszkaniu rozpęta się niezła jatka.

Położyła rękę na piersi, patrząc na Bryce'a.

- O mój Boże. Gdybym przypuszczała, że będę mieć tylu gości,
zamówiłabym dla wszystkich śniadanie. - Cały czas usiłując zyskać na
czasie, udawała, że nie poznaje ostatniego przybysza. - A pan, prze-
praszam, kim jest?

- Flynt Carson, proszę pani. Przyjechałem szukać mojego brata,
Matta. Słyszałem, że jest tutaj.

Szeroko rozłożyła ręce, rękawy jej kimona ciągnęły się niemal po
podłodze.

- Obawiam się, że ma pan złe informacje. Właśnie mówiłam mojemu bratankowi, że w mieszkaniu nie ma nikogo prócz Bryce'a, mnie i was, chłopcy.

Justin zawył.

- To gdzie w końcu jest Rose? Ciociu, przecież na pewno to wiesz.

- Gdzie jest Matt? - naciskał Flynt. Wykrzykiwane przez mężczyzn pytania nakładały

się na siebie. Beth westchnęła i zagrała głębokie zamyślenie.

Potem jej oczy zajaśniały, jakby wpadł jej do głowy jakiś genialny pomysł.

- Niech pan zadzwoni do ratusza.

- Do ratusza? - spytał Flynt.

A w zasadzie było to częściowo pytanie, a częściowo stłumiony okrzyk zdziwienia. Kiedy poradził Mattowi, by przestał snuć się z nieszczęśliwą miną i ruszył za kobietą, która go rzuciła, nie miał pojęcia, że wysłała go w pogoń za Rose Wainwright. Dlaczego ten gówniarz nie mu nie powiedział? Nigdy by go nie wysłał za tą dziewczyną. Ale Matt zawsze wszystko dusił w sobie.

- Tak - powiedziała Beth, zadowolona z własnego pomysłu.

Uznała, że w ten sposób najszybciej pozbędzie się z domu intruzów. Rzuciła im obu porozumiewawcze spojrzenia.

- Moglibyście już chyba zwracać się do siebie per szwagrze.

Odpowiedzi obu mężczyzn wystrzeliły jak petardy:

- Akurat, do diabła!

- Za skarby świata! Beth splotła dłonie, chowając je w rękawach kimona.

- Radzę wam poważnie nad wszystkim się zastanowić. W końcu dziecko jest w drodze. I to pół Carson, pół Wainwright. Nie można prowadzić wojny z dzieckiem. Moim zdaniem dziecko to najlepszy argumentem za tym, żeby nareszcie zwalić ten dzielący was mur i zakopać topory wojenne, czy jak tam brzmi ta głupia metafora.

Jej wywód dobiegł końca. Z oczekiwaniem przenosiła wzrok z jednej przystojnej męskiej twarzy na drugą. Wyraziła swoimi słowami to wszystko, co czuła w głębi serca. Mając za sobą nielichy przydział mężów i kochanków, doskonale orientowała się w pracy męskiego umysłu.

Powiedz „czarne”, a w odpowiedzi usłyszysz na pewno „białe”. Na razie chciała tylko, żeby sobie poszli, żeby para kochanków mogła spokojnie powrócić z wygnania.

Justin spojrział na Flynta z nagłą nadzieją.

- Może jeszcze nie zdążyli się pobrać.

Ta myśl zapaliła obu mężczyzn do działania i w jednej chwili obaj skoczyli do drzwi.

- Do zobaczenia na Boże Narodzenie, chłopcy! - zawołała za nimi Beth.

Bryce stanął za nią i oplótł ją ramionami w talii. Otarł się o nią pieśczośliwie.

- Jak myślisz, kiedy do nich dotrze, że w ratuszu nie pracują o tej godzinie? Roześmiała się łobuzersko.

- Mam nadzieję, że dopiero w połowie drogi.

Gwar podniesionych głosów dochodzących z wnętrza jeszcze się wzmógł. Matt rozpoznał bez trudu nowy głos.

- To mój brat - szepnął do Rose. To niemożliwe, myślał.
- Co Flynt tu robi, do jasnej cholery?
- Pewnie cię szuka - odparła. - Ma nadzieję, że powstrzyma cię przed największym głupstwem twojego życia.

Nie chciał tego słuchać ani nawet myśleć w taki sposób. Wziął ją w ramiona.

- Zrobiłem tylko jeden błąd: pozwoliłem ci odejść. Powinienem być twardo ci się przeciwstawić i słuchać tylko swojego serca.

Głosy dochodzące z mieszkania niosły się coraz donośniej. Rose знаła temperament brata i wiedziała, jak potrafi się zachować w ekstremalnych sytuacjach. Nie był to na pewno miły dla oka widok.

Wskazała na ścianę dzielącą dwa tarasy.

- Proponuję, żebyśmy ruszyli tą ceglana drogą, zanim któreś z nas skończy wysmarowane smołą i wytarzane w pierzu.

Matt wycisnął całusa na czubku jej głowy.

- Nie pozwolę, żeby ci się cokolwiek stało. A poza tym potrafię sobie radzić z moim bratem.- Myślałam o moim. Jeśli chodzi o rozsądek, jest nieodrodnym synem swojego ojca.

Matt świetnie ją rozumiał.

- No to nie dajmy się złapać.

Wspiął się na wspólny dla obu tarasów murek i podciągnął ją w górę, pomagając jej przeskoczyć na drugą stronę. Potem chwycił ją za rękę i podeszli do drzwi sąsiedniego tarasu.

Nacisnął klamkę. Drzwi stawiały opór.

Rose przygryzła wargi.

- Ciocia Beth mówiła zdaje się, że sąsiedzi wyjechali na jakąś

wycieczkę. I co teraz?

- Teraz zobaczymy, co mi zostało z niesławnej przeszłości.

Rozejrzył się w poszukiwaniu jakiegoś niewielkiego przedmiotu, i zaraz przypomniał sobie, że ma w portfelu spinacz do papieru. Spinał nim jakieś dokumenty. Wyciągnął portfel, znalazł spinacz i wyprostował go.

Wsadził go do zamka. Po kilku chwilach i manewrach coś w zamku kliknęło, drzwi poddały się.

Rose potrząsnęła głową.

- Nie przestajesz mnie zadziwiać.

- To bardzo dobrze wróży naszemu małżeństwu - zapewnił ją.

Wśliznęli się do ciemnego salonu, Matt zamknął za nimi drzwi możliwie najciszej.

- Mam wielką nadzieję, że twoja ciotka nie pomyliła się, mówiąc, że lokatorzy są na wakacjach - szepnął do ucha Rose.

- Zdaje się, że pojechali do Europy. To chyba daje nam gwarancję, że nie wrócą przynajmniej przez najbliższe dziesięć minut.

- Europa, mówisz? - Prześliznął się po niej wzrokiem, przypominając sobie raptem, że Rose ma na sobie tylko szlafrok. - Mam pewien pomysł, to zabierze nam trochę więcej czasu.

Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami, a jej uśmiech uwodził jak nigdy.

- Nasi bracia są za ścianą.

Ale on pracował już nad paskiem jej szlafroka.

- Nie będziemy ich tu przecież zapraszać. Pasek opadł, poły szlafroka rozchyliły się. Rose zadrżała.

- Matt, to jest po prostu nieprzyzwoite.

Nie przejmując się tym, ściągał szlafrok z jej ramion, całując je po kolei, kiedy się odsłaniały.

- Będzie co opowiadać dzieciakowi, jak się pojawi.

- Dziecku nie opowiada się takich rzeczy. - Nie mogła mu się dłużej opierać. - Co by sobie o nas pomyślała?

- Pomyślałby sobie, że jego rodzicie nie są takimi starymi zgredami, jak się zawsze wydaje dzieciakom.

- Pomyślałaby.

- Pomyślałby. - Delikatnie uszczypnął jej wargę. - Co tam, do diabła, będziemy mieć i takie, i takie, po jednym.

Rose nie mogła się dłużej skupić.

- Wcale nie musi nam tak wyjść.

Całował jej policzki, zmierzając w stronę szyi i dekoltu.

- Będziemy tak długo pracować, aż nam wyjdzie.

- Czy to twój sposób na mnie, żebym była bosa i ciężarna? - spytała.

- Nie. - Szlafrok sfrunął na podłogę. - Tylko naga. Unosząc się na czubkach palców, Rose zarzuciła mu

rękę na szyję.

- To mi się chyba podoba.

EPILOG

Dziesiąta rano to jeszcze nie pora na tłum, który zbiera się w porze lunchu. Prócz nich i Daisy przy barze w restauracji nie było nikogo.

Matt sięgnął po dłoń Rose. Była zimna jak lód. Oplótł ją palcami,

żeby dodać jej otuchy. Rose wyraźnie denerwowała się. On sam nie był zbyt spokojny, ale wiedział, że nie może tego po sobie pokazać. Stali przed pierwszą przeszkodą, której musieli stawić czoło razem, jako mąż i żona.

Nabierając po cichu powietrza, Matt ścisnął jej dłoń. Spojrzała na niego.

- Wszystko będzie dobrze - zapewnił.

Skinęła głową. Bardzo chciała w to wierzyć, bo inaczej zostaliby całkiem sami. Dwoje przeciw całemu światu.

No, troje, poprawiła się, myśląc o dziecku.

Rodzina była dla niej zawsze bardzo ważna. W związku z tym sama myśl o rozłące z najbliższymi wydawała jej się nie do przyjęcia. W obecnej sytuacji mogła liczyć wyłącznie na miłość, jaką ją niewątpliwie darzą. Tylko ta miłość mogłaby ewentualnie załagodzić konflikt.

Słońce późnego poranka znalazło drogę do prostej złotej obrączki na jej lewej ręce i rozświetliło ją. Pani Matthew Carson, teraz już oficjalnie.

Należy do Matta, a on do niej.

Pobrali się przy ołtarzu katedry Świętego Patryka, a nie w ratuszu, jak początkowo planowali.

Ciocia Beth, nieoceniona jak zwykle, знаła kogoś, kto im w tym dopomógł. Tym razem był to ksiądz związany z katedrą. Ojciec Thomas Gannon przyjął ich po dziesiątej wieczorem, ledwie trzydzieści sześć godzin temu. On też odprawił ceremonię ślubną przy ołtarzu, przed Bogiem, ciocią Beth i domniemanym przestępcą Bryce'em.

Rose nie mogła sobie wymarzyć piękniejszych okoliczności zaślubin niż witraże, zachwycające rzeźby i podniosła cisza starej

świętyni. Byłaby w pełni szczęśliwa i usatysfakcjonowana, poślubiając Matta pod gwiazdami na prerii, ale musiała przyznać, że ślub w katedrze przechodził jej najśmielsze marzenia. Wszystko było idealne, poza jednym - brakiem najbliższej rodziny.

Z tym właśnie wiązało się ich obecne czekanie. Rose i Matt, każde z osobna, poprosili swoich najbliższych o spotkanie w tymczasowej siedzibie Men's Grilla.

Rose modliła się w duchu, by z tego spotkania nie wynikła jakaś wielka wojna. Jej żołądek zacisnął się zniechęcająco w ciasny supeł. Nie mogła wydusić słowa, dobiegł ją właśnie szorstki głos jej ojca spod drzwi.

- Już tu są - powiedziała do Matta.

Drzwi restauracji otworzyły się raptownie. Archy Wainwright wkroczył do środka pierwszy, a tuż za nim wszedł Ford Carson. Zaraz za nimi do sali wparadowali członkowie obu skłóconych ze sobą rodzin, zdumieni, zaskoczeni, obrzucający się nieufnymi spojrzeniami. Każda z rodzin trzymała się osobno, niepewna dalszego ciągu i rozwoju wydarzeń.

Archy wystrzelił w stronę swojej córki z szybkością kuli z rewolweru.

- Co to ma znaczyć, do diabła, Rose? - dopytywał się. - Miałas siedzieć w Nowym Jorku z tą moją postrzeloną siostrą. - Kątem oka dostrzegł dezaprobatę w oczach swojej byłej żony, Kate, i nieco się uspokoił.

Z tego co wiedziała Rose, ani jej brat, ani brat Matta nie wrócili jeszcze z Nowego Jorku. Ale w tej chwili i tak chodzi przede wszystkim o głowy ich rodzin.

Wzięła głęboki oddech i mocniej ścisnęła rękę męża.

- Matt i ja chcemy wam coś powiedzieć. - Pogratulowała sobie, że jej głos nie drżał, kiedy stawiała czoło wściekłości swojego ojca.

Ford Carson przymrużył oczy.

- A cóż takiego? - zwrócił się do syna. - Co to, chłopcze, baba będzie za ciebie gadać? Matt wyprostował się. Znał cięty język ojca, który nie sprawiał już na nim wrażenia. Nie życzył sobie jednak, by ojciec obrażał Rose. Dość już przeszła.

- Nie przeszkadza mi, że moja żona czasami za mnie mówi.

W sali zaległa martwa cisza. Obie rodziny patrzyły na siebie z kłopotliwą rezerwą.

- Co takiego?! - ryknął Ford.

Archy objął córkę oburzonym spojrzeniem.

- To on ci to zrobił? Rose uniosła dumnie głowę.

- Jeśli pytasz, czy to on mnie uszczęśliwił, tato, to tak, właśnie Matt to zrobił.

- Nie graj ze mną w te swoje słowne gierki, dziewczyno! -

Wycelował krótki gruby paluch w stronę Matta. - To on cię do tego zmusił?

Matt wyszedł do przodu, by się bronić, ale Rose wystawiła przed niego rękę, zatrzymując go w miejscu. Nie chciała, by dwaj najbliżsi jej mężczyźni toczyli walkę na jej oczach.

- Nikt mnie do niczego nie zmusił, tato. Kocham Matta i on też mnie kocha. - Popatrzyła na ojca męża. - Tak, panie Carson. Jestem w ciąży. To dziecko będzie w połowie Carsonem, a w połowie Wainwrightem, ale będzie potrzebowało całej waszej miłości.

- Tylko czy ją dostanie? - spytał Matt, przenosząc wzrok z ojca na

świeżo poślubioną żonę. - Czy mamy mu powiedzieć, że jego dziadkowie to uparte staruchy, które wybiorą raczej fałszywą dumę i głupi stary spór niż coś najlepszego, co zdarzyło im się od wielu, wielu lat? Wybór należy do was.

Obaj starsi mężczyźni spojrzeli po sobie w przygniatającej ciszy, rozważając, jak by tu równocześnie pogodzić się ewentualnie i zachować twarz.

Pierwszy odezwał się Archy. Spojrzał na córkę, miłość wzięła w nim jednak górę nad dumą.

- Wyszłaś za niego, co?

Rose skinęła głową i pokazała mu dłoń z obrączką.

- Wyszłam za niego.

Archy uniósł jedno ramię i opuścił je z rezygnacją.

- Ślub w takim miejscu jak Nowy Jork nie liczy się.

Rose nie dała się zwiść ojcu. Już mu na to nie pozwoli. Popatrzyła na niego zadziornie.

- Liczy się.

- Nie - zapierał się. - Nie liczy się. To ma być porządny ślub. -

Zerknął z ukosa na Forda, żeby ten nie próbował przeciwstawić mu się. - Tak jak się to robi w Teksasie, jeśli to małżeństwo ma w ogóle przetrwać.

Zrobił krok do przodu, widząc, że - Ford zbliża się do Rose, ale jego była żona zatrzymała go gestem.

Po chwili wahania Ford objął swą synową. Potem zadziwił wszystkich, powtarzając słowa Archy'ego:

- To mój wnuk i jego rodzice muszą mieć porządne wesele. - Nie mów mojej córce, co ma robić - ostrzegł ponurym głosem Archy. Spojrzał

na Rose i trochę się zmitygował. - No, raz w życiu Ford Carson ma rację. Jeśli to małżeństwo ma się udać, musicie tutaj urządzić wesele.

Zerknął na starego Carsona niechętnie. A może i czas zapomnieć o przeszłości...?

- W miejscu, gdzie pobierali się nasi dziadowie, nim się narobił ten cały bałagan. - Stając na wprost Forda, nabzdyczył się i zmarszczył brwi. - No to chyba ogłoszę rozejm, ze względu na dzieciaki, jeśli i ty tak zrobisz - rzekł i wyciągnął rękę.

Ford stał, wpatrując się w tę wyciągniętą do niego dłoń. Po chwili wziął ją w swoją zgrubiałą rękę z odciskami.

- Niech nikt nigdy nie gada, że Wainwright jest większy od Carsona. - Objął Archy'ego spojrzeniem, zatrzymując się na jego talii. - Chyba że mowa o wadze, oczywiście.

Rose czuła, że łzy wypełniają jej oczy i zarzuciła ojcu ręce na szyję.

- Dziękuję, tato.

Ojciec pogłaskał ją po głowie.

- Wszystko dla mojej dziewczynki - oznajmił łagodnie.

Odchrząknął i spojrzał na byłego już wroga, który trzymał swojego syna w uścisku. - Może najwyższy czas, żebyśmy zakończyli tę waśń.

Wszyscy obecni w sali przytaknęli z ulgą. Tymczasem w innym stanie Dylan Bridges nagrywał ostatnie notatki na dyktafon, wrzucając jednocześnie wolną ręką ubrania do leżącej na łóżku walizki.

Trzymało go tam milion spraw. Prawdę mówiąc, nie miał czasu do stracenia. Ale to właśnie czas był teraz najważniejszy. Od telefonu ojca Dylan znajdował się pod presją czasu i czuł, że to pilne.

Miał wrażenie, że jeśli nie pojedzie zobaczyć się z ojcem, będzie

tego żałował do końca życia. Wyłączył dyktafon i sięgnął po telefon komórkowy, po czym wybrał numer miejscowego lotniska.

- Halo? Chciałbym zarezerwować bilet do Mission Creek w stanie Teksas. Słucham? Tak, na razie w jedną stronę.

scandalous